

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 6 (309) • ROK XXVI • CZERWIEC 2021



MIĘDZY NAMI
MOSTY

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

fot. Tomasz Bieniek



W Sosnowcu, Dąbrowie Górniczej, Będzinie i innych miastach Zagłębia Dąbrowskiego na przestrzeni minionych ponad stu lat działała niezliczona ilość kin. Choć po większości z nich nie został już nawet ślad i czasem nie bardzo wiadomo, gdzie dokładnie się znajdowały, inne poradziły sobie w walce o widza i działają do dziś. Na zdjęciu skwer przy ul. 3 Maja w Sosnowcu, gdzie do lat 70. istniało założone w latach 20. kino Zagłębie.

Szczegóły str. 17

fot. Michał Buksa



Ogrody społeczne powstają w wielu miastach na świecie, także w Polsce. Na Śląsku są tylko dwa: w Gliwicach i Katowicach. Idea jest prosta: uprawy i integracja, nawiązywanie relacji sąsiedzkich i wspólna nauka, jak się dzielić pracą.

Szczegóły str. 32

Fot. Edward Wiczorek



W różnych częściach województwa śląskiego znaleźć można interesujące mosty i wiadukty z różnych epok. Niektóre tak mocno wrosły się w lokalny krajobraz, że stały się wręcz symbolami miejscowości, w których zostały wybudowane. Na zdjęciu Wisła-Dziechcinka – wiadukt kolejowy nad potokiem Dziechcinka.

Szczegóły str. 48

fot. Zbigniew Lubowski



Najstarszy w kontynentalnej Europie żelazny most wiszący dla pieszych jest atrakcją turystyczną Ozimka – niespełna dziewięcioletni miasteczka Opolszczyzny. Obiekt – zaprojektowany w początkach XIX wieku przez inspektora hutniczego, Carla Schotteliusa – łączy brzegi Małej Panwi, prawobrzeżnego dopływu Odry. Wizerunek charakterystycznego obiektu widnieje nawet w herbie miasta. Miniaturowe modele mostu można zobaczyć w pobliskim Parku Hutnika oraz w miejscowym Muzeum Hutnictwa.

Szczegóły str. 52

Nr 6 (309). Rok XXVI. CZERWIEC 2021

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztukaStali współpracownicy:
EWA BARTOSMAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
JAROSŁAW KAPSAWIEŚŁAWA KONOPELSKA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKIJAN MALICKI
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREKJERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARAHENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLEK
JOANNA WARONSKA
EDWARD WIECZOREK
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.Warunki prenumeraty:
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1700 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 4 Janusz Sztumski ELITY WŁADZY A GRUPY OPINIOTWÓRCZE I KULTUROTWÓRCZE
7 Marian Marek Drozdowski NACZELNIK PAŃSTWA JÓZEF PIŁSUDSKI (1918-1922) BŁASKI I
CIENIE WŁADZY
10 ks. Henryk Pyka W NIM WIARA STAŁA SIĘ KULTURĄ
14 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE Jarosław Kapsa OPOWIEŚĆ O ROZBITKACH
17 Tomasz Bienek DAWNY CZAR ZAGŁĘBIOWSKICH KIN
24 Wilhelm Szewczyk Z PAMIĘTNIAKA (1) Z rękopisu opracował Marian Kisiel
28 Antoni Wilgusiewicz LEON PINIŃSKI I JEGO WIZJA MIASTA
30 Ryszard Bednarczyk CZORNI JAK DIOBŁY PO SZYCHCIE
32 Małgorzata Lichecka OGRÓD SPOŁECZNY
34 Zbigniew Lubowski CZAS NA KULTURĘ. ROZMOWA Z EWĄ WEBER, WICEPREZYDENT
GLIWIC
40 Filharmonia Zabrzeńska KONCERTUJĄ I ZARAŻAJĄ MIŁOŚCIĄ DO MUZYKI
44 Piotr Skowronek O ROZUMIENIU PRAW ZWIERZĄT. ROZMOWA Z PROF. GRZEGORZEM
FRANCUZEM
48 Edward Wieczorek NA LEWO MOST, NA PRAWO MOST
52 Zbigniew Lubowski O KADZENIU I MEWACH TRÓJPALCZASTYCH
54 Wojciech Lipowski WYPRZEDZIĆ CZAS
56 Wiesława Konopelska „LA RONDINE” CZYLI PŁONĄCA JASKÓŁKA W OPERZE ŚLĄSKIEJ
58 Małgorzata Lichecka GRA ŚWIATEŁ, CZYLI BOGATE ŻYCIE KIN PROWINCJI GÓRNO-
ŚLĄSKIEJ. ROZMOWA Z URSZULĄ BIEL
60 PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek CO TO JEST FRAZA PILCHA? O POLSKIM NABO-
KOVIE
74 Stefan Gierlotka CARL SACHS: PIERWSZY BADACZ ELEKTRYCZNYCH RYB

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 68 Michał Szalast PROJEKT HOTEL
69 GALERIA: KRZYSZTOF GOŁUCH – FOTOGRAFIA

POEZJA I PROZA

- 3 Robert Gawłowski NA WYJŚCIE DUSZY JAKOBA BOEHMEGO W NIEDZIELĘ DNIA 17
MIESIĄCA LISTOPADA ROKU PAŃSKIEGO 1624
12 Robert Gawłowski WIERSZE
20 Michał Paweł Urbaniak KACZOR DONALD TEŻ MUSI UMRZEĆ
42 Ewa Winiarska-Drzyzga INTROLIGATOR

FELIETONY

- 36 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA. Jan Miodek ŚLĄSKI CHWALIPIĘTA I SKĄPIEC
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich TO BYŁO 13 CZERWCA
38 BIAŁE KRUKI Jan Malicki MILIANALIA W 12 EGZEMPLARZACH
41 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ Krzysztof Korwin-Piotrowski MARIA SARTOVA – REŻYSERKA Z
PARYŻA
73 JĘZYK W STRUNACH Piotr Grella-Możejko ALEKSANDRA LASONIA MUZYKA KATEDR
I GÓR

KSIĄŻKI

- 63 Ryszard Bednarczyk POSTAĆ W SZTRUKSOWEJ MARYNARCE WISŁA JERZEGO PILCHA
64 Laura Janoszek SOJUSZNICTWO, NIE SIOSTRZEŃSTWO
65 Andrzej Juchniewicz JEST REWELACYJNA!
66 Piotr Skowronek POJĘCIE KRZYWDY JEST UNIWERSALNE
67 Andrzej Jarczewski OD SULECKIEGO DO BUZKA
80 KSIĄŻKI NADEŚLANE

76 NOTATNIK KULTURALNY

Na okładce:

Zabytkowa kładka nad torami kolejowymi na dworcu w Bohuminie. Fot. Tomasz Bienek

Strona III okładki:

Premierowe wystawienie „La Rondine” na scenie Opery Śląskiej. Fot. Krzysztof Bieliński

Jedną tylko wypowiedzam prośbę gorącą do ludu śląskiego a mianowicie, by został wierny swym zasadom chrześcijańskim i swemu przywiązaniu do Polski i by oddał swe głosy na kandydatów szczerze katolickich, polskich, mających zrozumienie dla interesów Górnego Śląska.

Nie okazała się Polska taką, o jakiej marzyliśmy, ale nie ustajmy w pracy i poświęceniu, aby z niej zrobić Polskę, godną naszych marzeń, Polskę wielką, mocarstwową, Polskę katolicką, praworządną i zawsze sprawiedliwą.

Katowice na Polskim Śląsku, w grudniu 1927 roku.

Wojciech Korfanty.

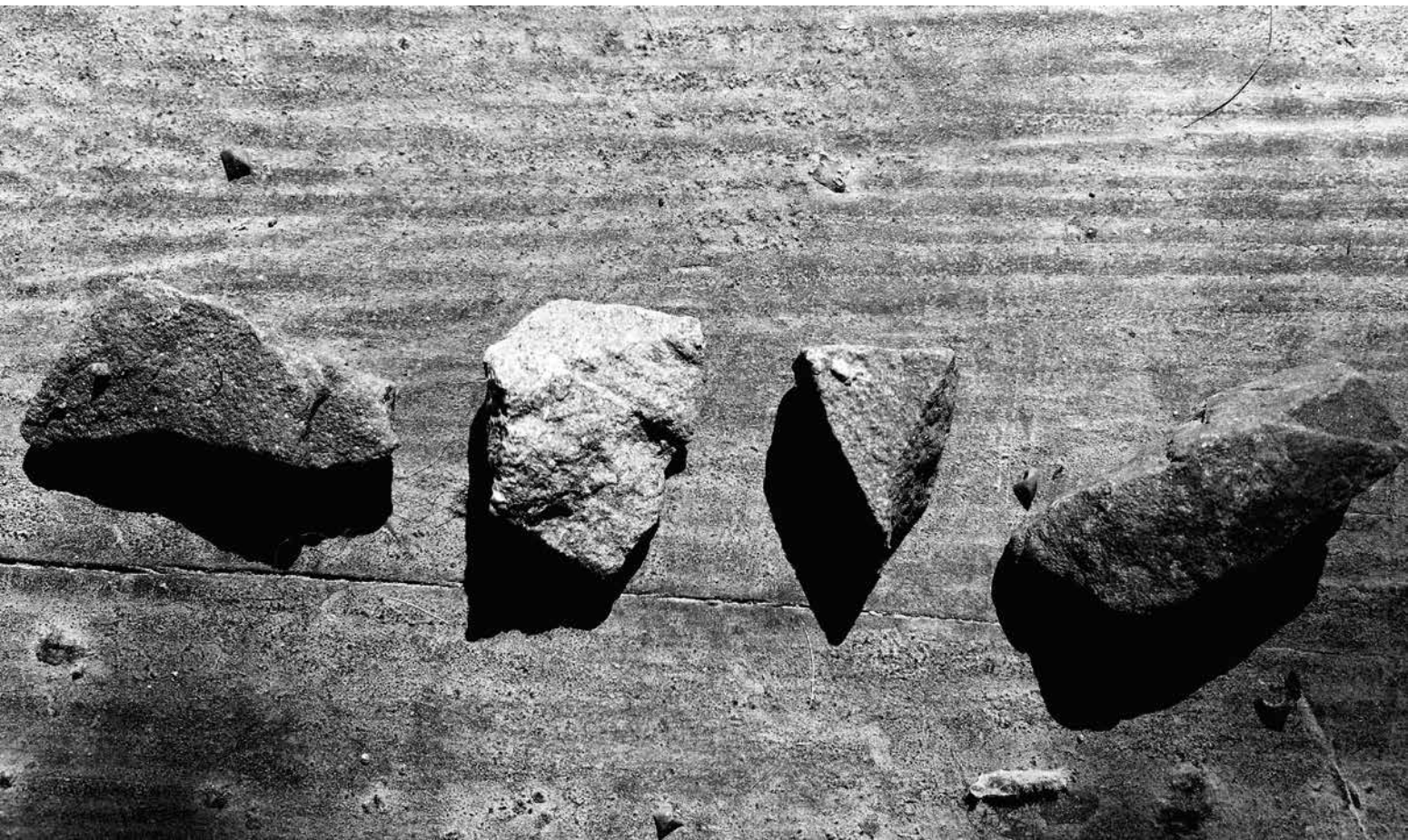
**Na wyjście duszy Jakoba Boehmego
w niedzielę
dnia 17 miesiąca listopada roku Pańskiego 1624**

Był zimny poranek, gdy Jakob umierał, a ciało moje
trwało jeszcze w łonie Matki; krząta się w kuchni
warzy rosół i ziemniaki, na maśle smaży cebulę.

I czuje, że jakby promień zza chmur w nią wnika,
i drży jej serce, kładzie ręce na brzuchu,
prosi akuszerkę, bo do rozwiązania blisko.

Ale już musi się przebrać w odświętne i iść z mężem
do zboru, służebnej więc każe domu pilnować,
a tu komin przytkany i dymi, wietrzyć trzeba pokoje.

Chwila niby zwyczajna, lecz przecież od innych inna;
tknięty przeczuciem wracam do tego po latach, może
jego dusza, idąc w zaświaty, lekko trąciła i moją duszę?



Elity władzy a grupy opiniotwórcze i kulturotwórcze

Janusz Sztumski

(...) *Grupę opiniotwórczą* współtworzą ludzie, którzy profesjonalnie zajmują się formowaniem poglądów na rozmaite sprawy budzące szerokie zainteresowanie. Niewątpliwie należą do nich zagadnienia społeczno-ekonomiczne i polityczne. Jest to oczywiście symptomatyczne dla społeczeństw charakteryzujących się wysokim stopniem społeczno-politycznego uświadomienia i zaangażowania lub też „rozpolitykowanych” na skutek pewnych doraźnych sytuacji, związanych np. z wojną, rozmaitymi kryzysami społecznymi itp. okolicznościami.

Natomiast zagadnienia światopoglądowe, religijne, moralne, kulturalne, naukowe itp. są na ogół przedmiotem poważniejszego zainteresowania węższych kręgów osób, bardziej intelektualnie pobudzonych, chociaż w nieco zbanalizowanych ujęciach spotykają się one też z szerszym odbiorem. Świadczy o tym m.in. podejmowanie ich w rozmaitych popularnych magazynach, gdzie budzą zainteresowanie czytelników o mniejszym wyrobieniu intelektualnym, zwłaszcza wtedy, gdy dotyczą tematów wzbudzających sensację.

Formowanie poglądów ludzi jest niewątpliwie złożonym procesem, w którym istotną rolę odgrywają wyrażane opinie, ponieważ na nich opierają się przecież rozmaite przekonania i poglądy, kształtujące z kolei społeczne postawy i zachowania.

Czym są owe opinie? Są one na ogół *stereotypowymi* ujęciami rozmaitych osób, instytucji, faktów, procesów itp. zjawisk lub też ich *uproszczonymi uogólnieniami*. Nie są to zatem kompetentne i rzeczowe opinie, wyrażane przez ludzi cieszących się autorytetem w konkretnych dziedzinach nauki. Ale nie takie przecież opinie są dominujące, zwłaszcza w środkach masowego przekazu i nie one oddziałują na poglądy ludzi w masowej skali.

Do szeroko rozumianej grupy opiniotwórczej należą specjaliści z różnych dziedzin, osoby posiadające duże doświadczenie i wynikające z tego tytułu kompetencje i szczególnie utalentowani popularyzatorzy wiedzy. Współtworzą ją więc uczeni, działacze polityczni, gospodarcy oraz artyści i dziennikarze. W rzeczywistości jednak nie wszyscy ludzie, którzy mogą być zaliczani do tej grupy ze względu na wspomniane właściwości, uczestniczą faktycznie w działalności opiniotwórczej. Bowiem

funkcjonowanie w tym zakresie łączy się nie tylko z kompetencjami danej osoby, ale przede wszystkim z jej możliwościami szerszego upowszechniania opinii poprzez środki masowego przekazu.

Wiadomo np., że nie wszyscy uczeni – i to nawet cieszący się szerszym uznaniem – są pytani przez decydentów o opinie dotyczące problemów, w których mają coś do powiedzenia i nie zawsze oni zabierają głos w środkach masowego przekazu. To samo można powiedzieć o wielu wybitnych działaczach lub ludziach utalentowanych w dowolnym dziedzicach. Podobnie nawet nie wszyscy aktywni zawodowo dziennikarze – choć są zatrudnieni w różnych środkach masowego przekazu – mają szansę na prezentację własnych opinii szerszej publiczności i to nie zawsze dlatego, że brak im talentu lub polotu.

Otóż niezależnie od istniejącej konkurencji, która powoduje, że do głosu dochodzą przeważnie najbardziej przebojowi osobnicy – co nie zawsze znaczy, że najlepsi – dają o sobie znać także różnorodne ograniczenia o charakterze politycznym, konfesjonalnym, koteryjnym i klikowym, powodujące określone selekcje wśród potencjalnie opiniotwórczych ludzi. Na skutek tego zdarza się, że do głosu dochodzą przeciętni quasi-uczeni czy nawet szalbierze, mianujący sami siebie ekspertami itp. osoby głoszące takie poglądy, jakich oczekują ich sponsorzy. I co gorsze – to oni właśnie pieszcząc swoimi słowami uszy decydentów – podpowiadają im niekiedy rozmaite pomysły, których skutki bywają często oplakane, jeśli zostaną zrealizowane.

Tak więc z szeroko rozumianej potencjalnej grupy opiniotwórczej w wyniku osobliwych selekcji społecznych wyłania się mniej liczna grupa, kształtująca faktycznie opinię publiczną, czyli grupa opiniotwórcza w węższym tego słowa znaczeniu. I tę grupę mamy na myśli, kiedy mówimy o grupie opiniotwórczej.

Grupę kulturotwórczą tworzą przede wszystkim pisarze, artyści różnych dziedzin i działacze na niwie kultury. Ludzie tej grupy są nie mniej ważnymi partnerami dla elit władzy niż poprzednio omówiona grupa opiniotwórcza, ponieważ odgrywają również istotną rolę w kształtowaniu opinii, postaw i zachowań ludzkich.

Od czasów starożytnych zdawano sobie sprawę nie tylko z przydatności tej

grupy m.in. do uprawiania propagandy lub agitacji, ale także korzystano z jej umiejętności i skutecznego działania w tym zakresie. Wiadomo, jak skuteczna bywa propaganda lub agitacja uprawiana przez słowo pisane, np. przez „listy”, pamflety, panegiryki, a także zaangażowane dramaty lub powieści, czy też tzw. propaganda wizualna, uprawiana za pomocą obrazów, fotografii i filmu. Oczywiście wspomniane formy propagandy nie byłyby możliwe bez udziału ludzi tworzących kulturę.

Nietrudno zauważyć, że spośród ludzi należących do grupy kulturotwórczej szczególnie lansowani są przez elity władzy ci, którzy wychodzą naprzeciw ich oczekiwaniom, czy też starają się być przydatni dla nich. Niekiedy z przekonania, a często ze zwykłego pragmatyzmu, konformizmu lub oportunistycznego przyjmują oni funkcje „inżynierów dusz”, rzeczników i panegirystów działań ludzi władzy. I oni też są przez władze wyróżniani zaszczytami i nagrodami oraz kreowani – jako wybitne autorytety – poprzez służące władzy środki masowego przekazu, stając się tzw. celebrytami, tzn. takimi istotami, które w przesadny i udziwniony sposób usiłują zaakcentować swoją niezwykłość. W tym też celu udziwniają swój wygląd np. osobliwymi fryzurami i strojami oraz posługują się rozmaitymi rekwizytami po to, aby pokazać własny styl. Są też skłonni do udziału w różnych skandalach, które zostaną opisane na ogół w bulwarowych publikacjach i rozślawiają ich imię. Stając się więc podziwianymi i popularnymi osobami w danym kraju, a niekiedy nawet poza jego granicami, mogą przyczynić się do swoistego uświetnienia polityka, który zechce skorzystać z ich usług.

Każda elita władzy chce mieć nie tylko własnych dziejopisarzy, którzy godnie – acz niekoniecznie wiernie, tzn. zgodnie ze stanem faktycznym – utrwala ją w historii. Chce ona mieć także na usługach znawców, którzy będą dbali o jej dobry społeczny *image*, czyli o taki społeczny wizerunek, jaki będzie pozytywnie wpływał na wzrost poparcia i szacunku dla niej. Bowiem ze wzrostem podziwu łączy się wzrost *prestżu*; natomiast ze wzrostem szacunku wzrasta *autorytet*.

Są to niewątpliwie dostatecznie ważne powody, dla których każda elita władzy dąży do tego, aby mieć sobie oddanych ludzi zarówno spośród grupy opi-

niotwórczej, jak i kulturotwórczej, mimo że trudno te grupy pozyskać w całości, ponieważ w owych grupach są przecież także ludzie na tyle przyzwoici, że nie dają się skorumpować. Jednak podobnie jak w innych grupach – tak i w tych, są również osoby podatne na umizgi władzy i skłonne do interesownego współdziałania z nią, licząc na promocje i awanse.

Zdarza się też, że do elit władzy są powoływani przedstawiciele wspomnianych grup bądź to dla dodania pewnego splendoru owym elitom, bądź w celu zwiększenia zaufania do nich.

Są to jednak działania często o charakterze quasi-magicznym, ponieważ w rzeczywistości trudno raczej spodziewać się takiego efektu, aby np. nawet paru genialnych uczonych mogło doprowadzić do istotnej poprawy opinii o jakości intelektualnej bardzo przeciętnej elity władzy, nie mówiąc już o takiej, która jest poniżej przeciętnej.

Jednakże nawet pomimo porażek doznawanych przez elity władzy w podejmowanych działaniach tego typu, ich przedstawiciele poprzez utrzymywanie bliskich kontaktów z artystami starają się ocieplić swój wizerunek w oczach społeczeństwa – wierząc, że to ich jakoś uszlachetnia.

Żalonym zjawiskiem jest to, że nawet utytułowani uczeni są gotowi dać się użyć politykom i to nie tyle z ideowych względów, ile dlatego, aby uzyskać ich poklask i protekcję w swojej karierze życiowej. Dla osiągnięcia tego celu są oni skłonni swoim autorytetem firmować każdą dowolnie absurdalną tezę wyrażoną przez wpływowego polityka. (...)

Faktem jest jednak, że między elitami władzy a grupami opiniotwórczymi i kulturotwórczymi istnieją dość osobliwe stosunki wzajemne. Otóż obie strony zdają sobie dobrze z tego sprawę, że zarówno „cmokanie” wokół ludzi władzy przez grupy opiniotwórcze i kulturotwórcze – w wąskim tego słowa znaczeniu – jak i *vice versa* – przyczynia się do pojawienia się i umocnienia prestiżu oraz autorytetu jednych i drugich. Z kolei przemilczanie, jak też różnego rodzaju dyskredytacja elit władzy przez grupy opiniotwórcze lub kulturotwórcze – i *vice versa* – działają niwecząco na autorytet lub prestiż osób każdego ze wspomnianych zbiorów.

Szczególną kategorię w obrębie grup opiniotwórczych i kulturotwórczych stanowią dziennikarze, którzy – choć na ogół nie tworzą sami ani teorii, idei, ani dzieł artystycznych – to jednak upowszechniają jedne i drugie, nadając im określoną *treść i formę*, przystępną dla masowego odbiorcy. To właśnie dzięki nim znakomita część ludzi dowiaduje się m.in. o rozmaitych odkryciach i wynalazkach, o nowych teoriach i ideach naukowych lub też o nowych prądach i kierunkach w sztuce. I w zależności od tego, jak in-



formacje na powyższe tematy są przez dziennikarzy opracowane i zaprezentowane – trafiają one lepiej lub gorzej do świadomości odbiorców tych informacji. Im bardziej uproszczona zostanie np. jakaś teoria lub idea, jakieś odkrycie lub wynalazek, tym łatwiej stają się one dostępne i utrwalone w świadomości odbiorcy. A jeśli jeszcze zostanie on przekonany o ich szczególnym znaczeniu lub wyjątkowej wartości, to wówczas owe informacje mogą oddziaływać na jego myślenie oraz kształtować opinie, przekonania, postawy i zachowania danego człowieka.

Ale też im bardziej jakaś myśl lub jakieś odkrycie zostaną uproszczone, tym bardziej stają się banalne, szablonowe i pozbawione oryginalnych wartości. Masowy konsument spreparowanych przez dziennikarzy informacji otrzymuje zatem mniej lub bardziej ubogą „strawę intelektualną”, i to często tak przyprowadzoną, żeby dogodzić jego gustom. Dziennikarzom zależy więc nie tylko na tym, aby ich czytelnicy lub słucha-

cze mieli określone wyobrażenie o tym, co im przekazują, lecz także na tym, aby przekazywane informacje wywoływały pewien rezonans w ich uczuciach. Zdają sobie oni sprawę z faktu, że człowiek to złożona struktura psychiczna, w której współwystępują elementy racjonalne i emocjonalne. Dążąc zatem do równoległego oddziaływania na rozum i uczucia ludzi, kształtują ich myślenie, a także postawy i zachowania w odniesieniu do prezentowanych osobowości i spraw.

Dziennikarze są utożsamiani z ludźmi wyrażającymi „głos opinii publicznej”, postrzeganej jako swego rodzaju *fetysz*, lub też z istotami wyrażającymi „ducha czasu”, w którym żyją. W rzeczywistości dziennikarze są nie tyle wyrazicielami jakiejś „opinii publicznej”, czyli pewnych ogólnych mniemań na jakiś temat, ile przede wszystkim są jej twórcami, organizatorami i kolporterami. Otóż „opinia publiczna” – ta osobliwa nowożytna bogini zniewalająca ludzi do przyjmowania rozmaitych myśli lub do manifestowania postaw i zachowań nie zawsze

zgodnych z własnymi przekonaniem i w imię zasady, że rzekomo „tak właśnie myśla wszyscy” – jest tworem grup opiniotwórczych, a w tej mierze i dziennikarzy, którzy są równocześnie jej najbardziej oddanymi kapłanami.

„Opinia publiczna” – przy całej wieloznaczności tego terminu jest – ogólnie biorąc – zespołem poglądów akceptowanych przez ludzi określonego środowiska, społeczności czy nawet w jakimś stopniu społeczeństwa, które na tyle sugestywnie zostały im kiedyś zaprezentowane, że stały się one przyjęte przez odbiorców jako słuszne i uznane za własne. Inaczej mówiąc: opinia publiczna to określone poglądy występujące w świadomości rozmaitych grup ludzi, które zostały owym grupom przekazane przez środki masowego przekazu. Nie byłoby więc opinii publicznej, gdyby nie było grup opiniotwórczych, dziennikarzy i środków przekazu danych opinii.

Zwróćmy uwagę na to, że w czasach upowszechniania się Internetu zaistniała możliwość pojawienia się bardzo rozproszonej publiczności internetowej. Otóż w obrębie tej publiczności – pomimo owego rozproszenia – może rozwijać się bliska więź pomiędzy należącymi do niej ludźmi ze względu na istniejące szanse utrzymywania wzajemnych kontaktów, nawet wizualnych, właśnie poprzez Internet. Pojawiła się również możliwość tworzenia się swoistych *internetowych wspólnot* w obrębie powstałych publiczności albo poza nimi.

Opinia publiczna nie jest więc jakimś spontanicznym wytworem poglądów danego społeczeństwa, lecz zespołem poglądów określonych zbiorów ludzi, które zostały im zaproponowane czy też sugestywnie wypowiedziane przez ludzi tworzących i szerzących dane opinie. Twierdzenie typu: „opinia publiczna jest temu przeciwna...”, znaczy po prostu, że jakiś zbiór ludzi (np. społeczność lokalna „X”) został do czegoś negatywnie nastawiony.

Ze względu na możliwość pozyskiwania ludzi oraz kształtowania ich myślenia, postaw i zachowań poprzez kształtowanie tzw. opinii publicznej – w czym decydująca rola przypada dziennikarzom – przyjęło się określać ich *czwartą siłą* społeczno-polityczną (lub w USA *gate-keeper*, tzn. odzwierciedlami, strzegącymi władzę przed intruzami i eliminującymi z niej intruzów). Stanowią oni niewątpliwie siłę dającą duże możliwości manipulowania ludźmi i dlatego są także nazywani *czwartą władzą*.

Kto może zatem zapewnić sobie przychylność owej „czwartej władzy” – ten ma też duże szanse na sukcesy w dowolnej sferze rzeczywistości społecznej. Bowiemy ta właśnie władza tworzy i kolportuje pozytywny albo negatywny *image* danego polityka, biznesmena, artysty czy nawet uczonego. I w zależności od tego na ile *image* konkretnego człowieka jest prze-

konujący w danych środowiskach, społecznościach lub w społeczeństwie, istnieje większa lub mniejsza szansa pozyskania przez niego społecznej akceptacji oraz wsparcia dla jego działań. Jeżeli będzie się mówiło np., że „opinia publiczna jest za danym człowiekiem” – to jego sukces staje się wysoce prawdopodobny.

Nic zatem dziwnego, że elity władzy, i nie tylko one, dążą usilnie do pozyskania dziennikarzy nie mniej niż ludzi zaliczanych do grupy opiniotwórczej w węższym tego słowa znaczeniu. Wspomniane elity zdają sobie bowiem dobrze z tego sprawę, że właśnie dziennikarze mogą przecież popularyzować, reinterpretować w sposób dla nich pozytywny, nawet niekorzystne opinie, będące wytworem np. uczonych lub opozycyjnych polityków. Oczywiście sposoby pozyskiwania dziennikarzy bywają rozmaite; mogą łączyć się np. z dopuszczeniem do udziału w elicie władzy i powierzeniem danemu dziennikarzowi redakcji pisma, będącego wyrazicielem poglądów rządzących. Może też wiązać się z działaniami o korupcyjnym charakterze lub nawet z szantażem.

Uzupełniając wcześniejsze uwagi dotyczące zjawiska, jakim jest opinia publiczna, należałoby zaznaczyć, że łącznie z nią poglądy nie istnieją poza badanymi zespołami danej społeczności lub społeczeństwa. Opinia publiczna nie jest też niezmienna, lecz ulega przeobrażeniom i modyfikacjom – podobnie jak przekonania konkretnych ludzi – pod wpływem różnych czynników. Nie należy również sądzić, że jest ona bardziej racjonalna – jako poniekąd mądrość zbiorowa – niż jednostkowe opinie poszczególnych ludzi, które nie zostają upublicznione. Opinia publiczna podzielana przez zbiory określonych ludzi składa się z tez opartych zarówno na przesłankach racjonalnych, jak i irracjonalnych, jakimi są np. różne stereotypy, przesady i fikcje. Zauważmy, że próby personifikacji opinii publicznej wynikają nie tylko ze skłonności do tworzenia hipostaz, czyli przypisywania realnego istnienia różnym pojęciom abstrakcyjnym, ale także z chęci wpływania poprzez indywidualizację i konkretyzację tego terminu na ludzi, a zwłaszcza na ich postawy i zachowania.

Twierdząc np., że „opinia publiczna kogoś faworyzuje” albo iż „jest czemuś przeciwna” – tworzy się nie tylko określone fikcje, lecz ponadto także określone

sugestie. Fikcje pojawiają się stąd, że zamiast wskazywać na konkretne osoby lub grupy osób, które głoszą poglądy przypisywane opinii publicznej, stwarzamy pozory, iż są to poglądy rzekomo powszechne wśród ludzi danej społeczności. Tym samym sugerujemy z kolei odbiorcom owych poglądów, że są to poglądy znakomitej większości – jeśli już nie wszystkich – i dlatego wypada i należy się im podporządkować. Floyd H. Allport wskazywał trafnie na tworzenie tzw. złudzenia uniwersalności danej opinii po to, aby w ten sposób właśnie wywierać określony wpływ na jej odbiorców. Nawiązując do słynnej zasady *vox populi – vox Dei*, sugeruje się, że opinia publiczna jest tym *vox Dei*, chociaż częściowo nie jest to nawet stanowisko podzielane przez większość ludzi danej społeczności.

Dziennikarze – jako dysponenci mediów i specjaliści w kształtowaniu opinii publicznej – mają niewątpliwie duży wpływ na politykę skutkującą oddziaływaniem na przekonania, poglądy, postawy i zachowania rozmaitych zbiorów ludzi. I tym znaczniejsze są wspomniane ich możliwości, im większy jest zasięg ich oddziaływania. Ale też nie należy owego wpływu przeceniać, ponieważ nie działają samodzielnie. Uwikłani w istniejący układ stosunków społeczno-politycznych i gospodarczych społeczeństwa, w jakim działają, są oni świadomi na ogół warunkowań i wynikających stąd możliwości. Nie protestują też przeciwko temu, iż są uważani tylko za „czwartą siłę” lub „czwartą władzę” we współczesnych społeczeństwach, chociaż to zapewne także nie miało. Zauważmy jednak, że funkcjonowanie owej „czwartej” siły lub władzy jest poważnie ograniczone przez właścicieli środków przekazu, tzn. prasy, rozgłośni radiowych i telewizji, którzy na ogół nie pozwalają dziennikarzom na przejawianie dużej niezależności w prezentowaniu swoich opinii. A ponadto w tych krajach demokratycznych, w których nie ma oficjalnie cenzury, działa dość skutecznie – choć niekiedy obłudnie *niewidzialna ręka poprawności politycznej* oraz raczej widzialna ręka właściciela danych mass mediów ograniczająca swobodę wypowiedzi i dbająca o to, aby upowszechniali we „właściwy” sposób określone punkty widzenia dotyczące rozmaitych problemów i zjawisk społecznych, ponieważ mimo pewnych podobieństw mają one swoją specyfikę. ■

Publikowany wyżej tekst jest wybranym przez Redakcję miesięcznika fragmentem książki wydanej przez Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, napisanej przez prof. zw. dr hab. Janusza Sztumskiego pt.: *Elity ich miejsce i rola w społeczeństwie*. Wyd. V poprawione i uzupełnione. Katowice 2021, edytowany tekst pochodzi z Rozdziału III: *Elity nowoczesnych społeczeństw*. Z artykułu usunięto przypisy z przywołaną przez Autora bogatą literaturą przedmiotu Prof. Janusz Sztumski jest prawnikiem, socjologiem i logikiem, byłym kierownikiem Zakładu Polityki Społecznej i Metodologii Badań Społecznych w Instytucie Nauk Społecznych i Dziennikarstwa UŚI.

Naczelnik Państwa Józef Piłsudski (1918–1922)

Blaski i cienie władzy

MARIAN MAREK DROZDOWSKI IH PAN

W biografii Józefa Piłsudskiego jego działalność jako Naczelnika Państwa jest oceniana przez znakomitą większość historyków polskich bardzo wysoko. Świadczą o tym min prace dokumentacyjne i analityczne.

W ocenie działalności Piłsudskiego jako Naczelnika Państwa istnieje zbieżność poglądów z poglądami Grzegorza Nowika, który w swej pracy (*Odrodzenie Rzeczypospolitej w myśli politycznej Józefa Piłsudskiego 1918–1922*, Warszawa 2017) pokazał w sposób wnikliwy kształtowanie się głównych nurtów myśli politycznych J. Piłsudskiego przed odrodzeniem niepodległości w postaci doświadczeń syberyjskich, działalności w PPS, szczególnie w Organizacji Bojowej, analizy roli powstania zbrojnego i kierowania polską irredentą po 1908 r. „Z takim bogatym doświadczeniem, kapitałem politycznym – pisze Autor – a przede wszystkim żelazną wolą kierowania państwem Józef Piłsudski powracał do Warszawy listopadzie 1918 r. Wracał także z nadzieją, że jego wysiłki i przykład ofiarności i niezłomności, walki i bohaterstwa, będą dla całego społeczeństwa wzorem postępowania. Liczył, że w chwili przełomu naród wzniesie się ponad dzielące go spory ideowe i polityczne, i że w imię „solidaryzmu państwowego” poświęci się wielkiej pracy dla odrodzenia Rzeczypospolitej, skupi się na walce o jej granice, odrobieniu wiekowych zaległości na każdym polu obywatelskiej aktywności politycznej, gospodarczej, społecznej, naukowej i oświatowej oraz wojskowej”. Rozumiejąc szlachetne intencje Autora myślę, że Piłsudski już w listopadzie 1918 r. liczył się z tragiczną sytuacją ekonomiczną kraju, rozbitymi rodzinami przez zarządzenia wojenne, masowym bezrobociem, kłopotami żywnościowymi, epidemiami, powszechnym analfabetyzmem, zwycięstwem obozu narodowo demokratycznego w lipcowych kurialnych wyborach samorządowych 1916 r., obawami przed niepodległym państwem polskim zdominowanym przez ruch narodowy ze strony znacznej części ludności żydowskiej. Żydzi stanowili w Warszawie 1918 r. 40% ludności i większość mieszkańców miast kresowych. W tych realiach przejmował władzę z rąk znienawidzonej przez znaczą część społeczeństwa Rady Regencyjnej i stworzonych przez nią załazków wła-

dzy państwowej. Jak słusznie podkreśla Grzegorz Nowik, opanowanie tego chaosu było wielkim dziełem Piłsudskiego, który skutecznie walczył o wzrost swego autorytetu z Ignacym Paderewskim, Romanem Dmowskim, Józefem Halletrem i Wojciechem Korfantym. W Warszawie największe tłumy brały udział w pochodzie narodowym 16 grudnia 1918 r. i w powitaniu Ignacego Paderewskiego 1 stycznia 1919 r. Wielką popularnością cieszył się w tym czasie Wojciech Korfanty.

Zwycięstwo Ententy i państwa stowarzyszonego Stanów Zjednoczonych oraz uznanie praw Polski do niepodległości przez Rosję rewolucji marcowej

zostało wyeksponowane w Traktacie Wersalskim jako zasadniczy czynnik odrodzenia Polski bez wzmianki o aktywnej walce narodu polskiego o Niepodległość. Na kształt granicy zachodniej istotny wpływ obok Traktatu Wersalskiego, konferencji w Trewirze z 18 lutego 1919 r., i decyzji Rady Ambasadorów z 20 października 1921 r. w sprawie podziału Górnego Śląska istotny wpływ wywarło Powstanie Wielkopolskie, trzy powstania śląskie i szeroki polski ruch społeczny podziałami partyjnymi. Granica południowa i wschodnia kształtowała się m.in. dzięki zwycięskim walkom z Ukraińcami, bolszewikami, Litwinami, prowadzonymi wbrew



for. arch.

zakazom Ententy, która z myślą o zwycięstwie w Rosji sił antybolszewickich narzuciła Polsce 9 grudnia 1919 r. Linie Curzona zmodyfikowaną 10 lipca 1920 w układzie w Spa, narzuconym premierowi Władysławowi Grabskiemu, w czasie poważnych sukcesów Armii Czerwonej na polskim froncie wschodnim.

Po mistrzowsku pokazał G. Nowik bezkrawce zwycięstwo Naczelnika Państwa w listopadzie 1918 r. nad garnizonami niemieckimi stacjonującymi w Królestwie Polskim oraz odsunięcie groźby ataku sił Ober-Ostu na Królestwo Polskie dzięki zawarciu 24 listopada układu o ewakuacji wojsk Ober-Ostu linią kolejową: Brześć-Białystok, Grajewo do Elku w Prusach Wschodnich. Układ ten został zawarty przy pomocy posła Republiki Weimarskiej hr Harrego Kesselera. Przed zawarciem układu „16 listopada 1918 r. niemiecki pułk huzarów śmierci dokonał pacyfikacji Międzyrzecza Podlaskiego (gdzie zginęły w walkach i zostały rozstrzelane 44 osoby, w tym połowa to żołnierze Polskiej Organizacji Wojskowej). W tym samym czasie w licznych potyczkach wojska niemieckie wyparły oddziały POW z Białej Podlaskiej, Janowa i Łosic, spacyfikowały pobliskie wsie rekwirując żywność”. Prasa ruchu narodowo-demokratycznego na czele z „Gazetą Poranną” demagogicznie krytykowała Piłsudskiego i Moraczewskiego za pobyt Kesselera w Warszawie i inspirowała zaburzenia uliczne przeciwko temu pobytowi.

Po nowatorsku Nowik zinterpretował Deklarację Niepodległości J. Piłsudskiego przekazanej radiostacji warszawskiej wyemitowanej w pierwszych godzinach 19 listopada 1918 r. z dwoma depeSZami do marszałka Ferdynanda Focha i prezydenta Woodrowa Wilsona. W sprawie powrotu do kraju z Francji Armii Polskiej. Deklaracja, bagatelizowana przez działaczy ruchu narodowo-demokratycznego, akcentowała odbudowę Rzeczypospolitej, nie zaś powstanie nowego państwa państwowego.

„Polska Deklaracja Niepodległości – podkreśla Nowik – była więc pierwszym ważnym dokumentem o charakterze międzynarodowym informującym państwa wojujące i neutralne o odrodzeniu Rzeczypospolitej. Zawierała program odbudowy państwa nakreślony przez Józefa Piłsudskiego i realizowany przezeń w okresie sprawowania funkcji Naczelnika Państwa i Wodza Naczelnego. Sformułowania zawarte w Deklaracji Niepodległości odwoływały się wprost do starożytnej doktryny *ius postlimini*, która nie pozwalała traktować Polski jako tworu nowego, nieposiadającego praw do spuścizny przedrozbiorowej, ani tym bardziej „państwa sezonowego”.

Do interesujących uwag Nowika o polityce historycznej Naczelnika Państwa

stawa dodałbym uwagi o jej roli w popularyzacji chrześcijańskiego etosu państwa publicznego, czego wyrazem była m.in. rozbudowa duszpasterstwa polowego wszystkich głównych wyznań. Około 90% żołnierzy Wojska Polskiego identyfikowało się z wyznaniem katolickim. Największe wydarzenia państwowe i zwycięstwa w wojnie polsko-bolszewickiej, czczone były z udziałem Naczelnika Państwa w Katedrze Warszawskiej, w Kościele Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie, w Katedrze Mińskiej, Żytomierskiej, Lwowskiej i Wawelskiej. 19 lipca 1919, w czasie audiencji Nuncjusza Papieskiego Achillesa Rattiego, Naczelnik Państwa złożył ważne oświadczenie: „Polska pozostanie strażniczką swych tradycji i starać się będzie jaśnieć siłami moralnymi, których źródłem jest religia”.

W krytycznej fazie wojny polsko-bolszewickiej, po wydaniu pierwszych zarządzeń ewakuacyjnych dla korpusu dyplomatycznego i Ministerstwa Spraw Zagranicznych Naczelnik Państwa zaproponował Częstochowę jako miejsce tymczasowego pobytu ewakuowanych urzędów, wspominając rolę Jasnej Góry w czasie szwedzkiego potopu. Większość członków Rady Obrony Państwa wybrała Poznań, dysponujący lepszym zapleczem logistycznym. W Poznaniu działacze ruchu narodowo-demokratycznego, na czele z Romanem Dmowski, planowali powołanie Armii Zachodniej na czele z gen. Józefem Dowbor-Muśnickim, która wkroczyć miała do akcji po zajęciu Warszawy przez bolszewików. Rolę Jasnej Góry w dziejach Polski przypomniał 27 lipca 1920 r. Episkopat polski akcentując w Apelu Jasnogórskim do Narodu: „Utwórzcie i Wy przez zjednoczenie uświęcenie nadprzyrodzoną wiarą armię narodowego zbawienia. Idźcie do niej wszyscy – a jak wtedy, tak i dziś duch jej przełamię obojętności i zwątpienia, i wszelką klasową partyjność, zbudzi w narodzie bogate drzewiście w nim siły i do zwycięstwa doprowadzi. Ufajmy, że tak będzie i tak się stanie”. Na apel polskiego Episkopatu Naczelnik Państwa, po Jasnogórskim apelu wystosował prośbę do Benedykta XVI o kanonizację bł. Andrzeja Boboli: „Wbrew zamiarom naszych wrogów Ojczyzna nasza zamartwychwała, co według rachub ludzkich zdawało się prawie niemożliwym. Przypisujemy to dokonanie się aktu sprawiedliwości dziejowej, możemu wstawiennictwu naszych Świętych Patronów, a zwłaszcza Błogosławionemu Andrzejowi Boboli... Dlatego błagamy Cię Ojciec Święty, by Wasza Świętobliwość raczyła zaliczyć w poczet świętych Błogosławionego Andrzeja Bobołę. Ufamy, że jako patron Kresów Wschodnich na których poniósł śmierć męczeńską, wyprosi nam u Boga, że Polska

w dalszym ciągu będzie przedmurzem chrześcijaństwa na rubieżach wschodnich. Prośbą tą spełnił dopiero Pius XI 17 kwietnia 1938 r.

Józef Piłsudski jako Naczelnik Państwa zrobił wiele dla konsolidacji narodowej na przełomie 1918/1919 r. Rozpoczął ją od konsolidacji Wojska Polskiego. Symbolicznym wyrazem tej konsolidacji było jego spotkanie 19 października 1919 r. z generałami: Józefem Hallerem, Józefem Dowbor-Muśnickim i Lucjanem Żeligowskim przy sarkofagu Tadeusza Kościuszki na Wawelu. Poza tym, zdaniem Nowika, wyrazem tej konsolidacji był skład kapituły Orderu Virtuti Militari, uchwalonego przez Sejm Ustawodawczy 1 sierpnia 1919 r.

O Rząd Narodowy przebiegała Rada Regencyjna, która przekazała Piłsudskiemu władzę nad wojskiem i władzę polityczną, ale istotną rolę w jego powstaniu miał kompromis zawarty przez Piłsudskiego z Dmowskim, przy pomocy Stanisława Grabskiego, Ignacego Paderewskiego, a także niedocenianego gen. Józefa Hallera. Jako dowódca Armii Polskiej we Francji w swym pierwszym rozkazie z 6 października 1918 r. apelował on: „Żołnierze Karpaccy, żołnierze Piłsudskiego, żołnierze Korpusów Polskich i wy byli żołnierze obcych armii rozrzućeni po obszarach Rosji i Syberii, wszyscy stając w licznych i karnych szeregach, by nieść Polsce w ostrzy bagnatów Wolność, Całość i Niepodległość”. Dla delegacji Naczelnika Państwa wysłanej do Paryża w styczniu 1919 r., pod kierownictwem Kazimierza Dłuskiego, Haller zorganizował uroczysty bankiet dla podkreślenia, że rodzi się jedność wszystkich oddziałów polskich, sojuszników zwycięskiej Ententy. Autorytet J. Hallera, współbudowniczego konsolidacji Wojska Polskiego był znaczny ze względu na to, że decyżją rządu francuskiego Armia Polska we Francji była traktowana jako armia sojusznicza zwyciężczych mocarstw, a jej dowódca gen. J. Haller był traktowany jako dowódca wszystkich oddziałów polskich, walczących po stronie Ententy. Jego armia była entuzjastycznie powitana w Warszawie przez specjalny Komitet Obywatelski, pod kierownictwem Prezydenta Piotra Drzewieckiego. Rada m.st. Warszawy przyznała mu 23 kwietnia 1919 r. honorowe obywatelstwo stolicy. Nazajutrz na Zamku Królewskim minister spraw wojskowych gen. Józef Leśniewski, wydał na cześć J. Hallera uroczystą wieczerzę, na której wiceminister gen. Kazimierz Sosnkowski mówił o znaczeniu sojuszu polsko-francuskiego. Gen. J. Haller swoje przemówienie rozpoczął od toastu na cześć Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego, przebywającego w Wilnie.

Szczególną rolę w zawarciu kompromisu między Komitetem Narodowym

Polskim, kierowanym przez Romana Dmowskiego, a Piłsudskim, odegrał Ignacy Paderewski. W trakcie powstałego triumwiratu Piłsudski-Dmowski-Paderewski nastąpiło uznanie państwa polskiego przez zwycięskie mocarstwa, Stolicę Apostolską i wiele państw neutralnych. Armia Polska wzrosła ze 100 tys. w styczniu do 600 tys. w grudniu 1919 r. Jej „pięścią uderzeniową” była Armia Błękitna licząca 67,7 tys. żołnierzy, w tym 1400 oficerów francuskich, 100 czołgów, 98 samolotów, setki armat i nowoczesnego sprzętu łączności. Wywarła ona, mimo zastrzeżeń sojuszników, istotny wpływ na zwycięskie zakończenie wojny z wojskami ukraińskim o Lwów i Galicję Wschodnią, opanowanie Pomorza Gdańskiego w styczniu i lutym 1920 r.

Wybory do Sejmu ustawodawczego i do samorządu terytorialnego z 1919 r. wykazały, że główną siłą polityczną polskiego mieszczaństwa i związanej z nim inteligencji, jest ruch narodowo-demokratyczny, reprezentowany w Sejmie Ustawodawczym przez Związek Ludowo-Narodowy, kierowany początkowo przez Wojciecha Korfanteo, a następnie przez Stanisława Głabińskiego. Program dla tego ruchu na zjeździe 27 października 1919 r. opracowali Stanisław i Władysław Grabski. Był to program liberalno-demokratyczny, polemiczny w stosunku do wielu poglądów Naczelnika Państwa i szeroko rozumianej lewicy polskiej, reprezentowanej przez PPS i PSL „Wyzwolenie”. Głosił on m.in. prymat własności prywatnej i wolności gospodarczej, zapewnienie miastom, przemysłowi i handlowi polskiego charakteru, wychowanie społeczeństwa w duchu religijnym i narodowym, w poczuciu równości wobec prawa i obowiązków państwowych, odpowiedzialność władzy wykonawczej przed przedstawicielstwem narodowym, jednolitość administracji państwowej i szeroki samorząd społeczno-gospodarczy, popieranie umiarkowanej reformy rolnej i ustawodawstwa robotniczego przy rozjemczej działalności państwa, stanowcze odcięcie się od federalistycznych koncepcji odtworzenia historycznego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Cytowany program, mający wielu zwolenników w Sejmie Ustawodawczym, a wcześniej Mała Konstytucja z 20 lutego 1919, a później Konstytucja Marcowa z 1921 r., poważnie ograniczające kompetencje Naczelnika Państwa, skazywały go na konflikt, przy jego charakterze i żelaznej woli skutecznego działania z większością sejmową i częścią korpusu oficerskiego. Konflikty te pogłębiały się w okresie porażek Wojska Polskiego w czasie kontrofensywy Armii Czerwonej i jej wkroczenia na etniczne ziemie polskie w lipcu-sierpniu 1920 r. W tym czasie docho-

dziło do masowych dezercji, szczególnie żołnierzy chłopskiego pochodzenia, osłabienia działań administracji państwowej i służb porządkowych na terenach objętych paniką ewakuacyjną, wzrostu antypaństwowych wystąpień na terenach Pomorza Gdańskiego, Ziemi Chełmskiej, Podola, Wołynia i Galicji Wschodniej. Zdezorientowany porażkami wojskowymi i ostrą krytyką niektórych członków Rady Obrony Państwa Naczelnik i Naczelny Wódz na krótko przeżywał swoistego rodzaju załamanie nerwowe, żądając 19 lipca 1920 r., po ostrej krytyce R. Dmowskiego, pod groźbą rezygnacji z funkcji publicznych, przegłosowania „votum zaufania”, które uzyskał dzięki zbiegom premiera Władysława Grabskiego. Piłsudski, po krytyce przywódców Ententy, ponowił rezygnację z funkcji Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza w liście do premiera Wincen- tego Witosa z 12 sierpnia 1920 r. List ten premier Witos ukrył przed opinią publiczną i zwrócił adresatowi po zwycięskich walkach z bolszewikami. W liście tym Piłsudski podkreślił: „Biorąc następnie pod uwagę mój charakter bardzo niezależny i przyzwyczajenie do postępowania według własnego zdania – to z warunkami postawionymi przez Ententę nie zgadza się (chodzi o połączenie funkcji Naczelnika Państwa z funkcją Naczelnego Wodza – p.m.) Wreszcie przeczy to systemowi, któremu służyłem w Polsce od początku swej pracy politycznej i społecznej, której podstawą zawsze była możliwie samodzielna praca nad odbudowaniem Ojczyzny, ta bowiem wydawała się jedynie wartościową i trwałą”.

W tym czasie trudno było Piłsudskiemu walczyć o jedność narodową w walce z zagrożeniem bolszewickim. Pióra najpopularniejszych publicystów zaangażowane były przeciwko jego działaniom. Były to min pióra Stanisława Strońskiego, Adolfa Nowaczyńskiego, ks. Stanisława Lutosławskiego. Po pierwszych sukcesach w Bitwie Warszawskiej Piłsudski stopniowo odzyskiwał utracony autorytet. Pomagali mu w tym m.in. Władysław Grabski, Wincenty Witos, Ignacy Daszyński, gen. Tadeusz Rozwadowski, gen. Kazimierz Sosnkowski, gen. Edward Rydz Smigły, gen. Maxim Weygand i wielu przedstawicieli środowisk twórczych. Koncentracja Piłsudskiego na zadaniach Wodza Naczelnego w czasie bitew: warszawskiej, niemeńskiej, lwowskiej, wołyńsko-podolskiej praktycznie wyłączyła go z kampanii konstytucyjnej i osłabiała udział jego zwolenników w rokowaniach ryskich o Preliminaria pokojowe, Rozejm i pokój, zawarty w Rydze 18 marca 1921 r. Nowym sukcesem Pierwszego Marszałka Polski od 14 listopada 1920 r. był sojusz polityczny i wojskowy z Francją i Rumu-

nią, akceptowany przez jego dotychczasowych oponentów.

W latach 1918–1922 wszyscy aktywni politycznie rodacy uczyli się służby państwowej osiągając wiele sukcesów ale popełniając też wiele błędów. Nie ominęły one także, moim zdaniem, Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza. Było to m.in. niedocenianie wpływu sytuacji ekonomiczno-społecznej na poglądy i nastroje własnego społeczeństwa i narodów sąsiedzkich. Klęska polityki federacyjnej Piłsudskiego w Układzie Ryskim związana była ze zmęczeniem długoletnią wojną, powszechnym żądaniem pokoju, tęsknotą Ukraińców za własnym państwem narodowym, nieskrepowanym układami unijnymi z biedną, zacofaną cywilizacyjnie Polską. Podobny stosunek do federacyjnych koncepcji Piłsudskiego mieli Litwini. Poza tym zwycięskie mocarstwa stale ujawniające swój paternalistyczny stosunek do nowych państw systemu wersalskiego z niechęcią oceniały próby budowy unii środkowo-europejskiej, która mogłaby zagrozić ich interesom państwowym.

Piłsudski wyrosły z konspiracyjnych tradycji polskiej irredenty, ze względu na bezpieczeństwo osobiste i towarzyszy, lubił się otaczać ludźmi do których miał absolutne zaufanie i którzy ulegali jego wzdowskiemu talentom. Stąd trudno było mu podporządkowywać się kolegialnym gremiom, w tym sztabom generalnym. Wolał dawne improwizacje i doraźne sztaby w kierowanych przez siebie bitwach. W ocenach ludzi, często był niekonsekwentny, niesprawiedliwy, kierując się doraźnymi spostrzeżeniami. Tą słabość ujawnił m.in. w ocenach generałów: S. Szeptyckiego, T. Rozwadowskiego, J. Hallera, W. Iwaszkiewicza z grudnia 1922 r.

Szczególnie kontrowersyjny był jego stosunek i jego ludzi do Wojciecha Korfanteo. Próby, skutecznie udermienne, zamachu stanu planowane przez piłsudczyków, ochotników na III powstanie śląskie wobec jego dyktatora i zablokowanie przez Naczelnika Państwa jego kandydatury na funkcje premiera RP, w podzięce seniorów Sejmu Ustawodawczego za odzyskanie wielkoprzemysłowej części Górnego Śląska.

Wysoka ocena zasług Piłsudskiego dla Polski jako Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza nie zwalnia nas z obowiązku przypomnienia jego słabości i jego pomyłek w ocenach ludzi, którzy nie muszą się wstydić swej służby dla państwa polskiego. Myślę m.in. o Ignacym Paderewskim, Romanie Dmowskim, Władysławie Grabskim, Ignacym Daszyńskim, Wojciechu Witosie, Wojciechu Korfancym, gen. Tadeuszu Rozwadowskim, gen. Józefie Hallerze i gen. Władysławie Sikorskim.

W Nim wiara stała się kulturą

Ks. HENRYK PYKA

Listem apostolskim 3 października 1982 roku Jan Paweł II zezwolił na oficjalny kult liturgiczny florenckiego malarza, brata Jana z Fiesole zwanego Bratem Anielskim – „Fra Angelico”. W dniu jego „narodzin dla nieba” 18 lutego 1984 roku w ramach Roku Odkupienia, Ojciec Święty wobec zgromadzonego świata sztuki, ogłosił go patronem artystów. Działo się to w dominikańskiej bazylice Santa Maria Sopra Minerva w Rzymie, gdzie w roku 1455 „Fra Angelico” został pochowany. Beatyfikacja Fra Angelico skłoniła artystów środowiska katowickiego do nadania jego imienia Galerii, którą otwarto w roku 1986 przy tamtejszym Muzeum Diecezjalnym, w trudnym czasie dla polskiej kultury. W roku 2004 ukazała się obszerna publikacja wydana staraniem katowickiego BWA: „Katowicki Underground Artystyczny po roku 1953” – to jej tytuł. Znalazły się w niej teksty wielu autorów. Działalność Kultury Niezależnej pod egidą Kościoła to jeden z tematów tej książki.

Zdumiewająca w swej prostocie wielkość artysty z Fiesole stanowiła dla mnie kierującego od roku 1989 „Galerią Fra Angelico” rodzaj kryterium przy doborze tematów wystaw. Zależało mi na tym, by poprzez sztukę Kościół obecny był we wszystkim, co winno być jego troską i nadzieją. Wielkie wystawy bienalowskie organizowane przez Muzeum miały dać temu wyraz. Sztuka to medium, poprzez które dochodzi do głosu to, co nurtuje człowieka. Spotkałem się z opinią, że sztuka współczesna jest dzisiaj projekcją ludzkich patologii. Dla brata Anielskiego sztuka miała być remedium na ludzkie choroby. Kiedy w niedzielę 21 lipca 1912 roku z udziałem Ludu Śląskiego obojga opcji – polskiej i niemieckiej – poświęcono przed klasztorem panewnickim figurę świętej Jadwigi „Katowitzer Zeitung” pisał o leczącej funkcji sztuki. „Każdy czas ma swoje choroby i w każdym czasie funkcjonuje taka sztuka, która te choroby potrafi leczyć”. Rzeźba świętej Jadwigi jako widomy znak pojednania miała być lekiem na narodowe podziały w śląskim społeczeństwie.

Podczas mojego pobytu w Rzymie na grób błogosławionego Jana z Fiesole udałem się z tym samym pytaniem, jakie niedługo Ojciec święty postawił przed laty artystom: „jaki związek ma dzieło Odkupienia Chrystusa [obecne sztuce Fra Angelico] z naszym życiem. Jest to także pytanie o terapeutyczną wartość sztuki religijnej w czasach, kiedy stała się ona polem bluźnierczych nadużyć.

Zapraszam czytelnika – być może w okresie wakacyjnym podróżującym przez Włochy – do samej głębi tego artysty, w którego życiu wiara stała się kulturą, czyli znalazła swój terapeutyczny wyraz chociażby w blasku wyłoczonego widnokągu i łagodnym kolorystyce barw.

Trzeba nam udać się na miejsce, w którym z krótszymi i dłuższymi przerwami upłynęło jego niezwykle życie. Jest to klasztor San Marco we Florencji.

Fra Angelico urodził się około 1395 r. w ojczyźnie Giotto, postaci o niezwykłym znaczeniu dla całej sztuki zachodnioeuropejskiej. Był ostatnim wybitnym malarzem szkoły Giotto, której kres położyli naturaliści tak znaczący dla roz-



Pośmiertny portret Fra Angelico autorstwa Luca Signorelli, fragment fresku Czyny Antychrysta (ok. 1501) w katedrze w Orvieto

woju malarstwa jak Masaccio. U Masaccia zmarłego młodo, Fra Angelico, choć starszy od niego, uczył się już we Florencji perspektywy.

Na imię miał Guido. Początkowo uczył się we Florencji malowania miniatur, jak jego brat Fra Benedetto. Niebawem objawił się w jego twórczości kierunek na wskroś religijny, który z czasem oddalił go od realistycznych dążeń sztuki florenckiej. W roku 1407 obaj bracia wstąpili do zakonu dominikanów w Fiesole i przebywali tam przez pewien czas, póki schizma papieska nie ogarnęła i tego zakonu. Guido, czyli Fra Giovanni, jak się teraz nazywał, wywędrował z Fiesole do Foligno i do Cortony, gdzie wiele malował w stylu Giotto – tego artysty, o którym pisze Vasari, „że malarstwo ze złej drogi zawrócił, iż rysunek o którym ludzie jego czasów nie mieli pojęcia ożył na nowo”. Po powrocie do Fiesole w roku 1436 został spro-

wadzony do Florencji wraz z przeorem tego klasztoru Antoninem Pierozzi, jak piszą „największym bodaj świętym swoich czasów”. We Florencji w przebudowanym przez Michelozza klasztorze San Marco brat Jan miał wykonać malowidła.

Tuż za klasztorem świętego Marka znajdował się słynny ogród Medyceuszów, gdzie mieścił się pierwszy zbiór starożytności. Zbierały się tam najwybitniejsze talenty Florencji, wszyscy, co w sztuce lub nauce pragnęli się wybić i cieszyli się łaską Wawrzyńca. Wawrzyniec Medyceusz, zwany Starszym sprzyjał nie tylko zdolnym artystom. Był wielkim opiekunem odbudowanego klasztoru i miał tam celę, w której chętnie rozmawiał z nowym przeorem, by „otrzeźwić po słodkich urochach pogaństwa”. Dzięki Antoninowi, późniejszemu biskupowi Florencji, miasto to przeżyło głęboką religijną odnowę. W tej samotni Antonin Pierozzi ze szczerością przyjaciela i autorytetem, który zdobył swoim świętobliwym życiem, wobec ambitnego starca, wypowiadał prawdy, które zwykłe przemilczają pochlebcy. Temu świętemu należy zawdzięczać, że Cosma di Medici nie stał się despotą. Swoimi malowidłami Fra Giovanni utorował Pierozziemu drogę do reform.

Sława klasztoru San Marco rozchodziła się po Florencji. Żyli w tym mieście wielcy artyści, których fascynowała anatomia. Ghiberti kończył drzwi baptysterium, które młodego Michała Anioła wprawiły w podziw uderzającym pięknem realizmu. Donatello i Luca della Robia rywalizując ze sobą umieli nadać taki kształt rzeźbie, że sztuka stawała się przedmiotem niezbędnym w wielu florenckich mieszkaniach. Gromadzono w nich arcydzieła malarstwa, piękne akty, rzeźby bogów i bogiń, nuty, harfy, lutnie, najkunsztowniejsze wyroby ze złota i kości słoniowej. Mimo tego uwielbienia dla „świata” i jego przepychu pojawiało się także coraz więcej zamówień na obrazy brata Jana. Były pełne słodyczy, których koloryt jak pisał sto lat później Vasari „zaiste jest dziełem świętego lub Anioła”. Mieszkańców Florencji fascynowało w malarstwie mistrza Jana to, czego nie było w medycejskim ogrodzie antycznych torsów. W ogrodzie tym nie było nieba.

Kiedy odwiedza się klasztor świętego Marka zdumiewa wszechobecność malowideł. Brat Anielski, jak go nazwano wkrótce po śmierci, podobno płakał malując do zakonnego kapitularza Ukrzyżowanie. Stojące pod krzyżem postacie indywidualnym wyrazem odmalowu-

ją najwyższe stany tragicznego uczucia. Był w tym, co robił. Będąc duchowym dzieckiem św. Dominika wyraził pędzlem swą „summę” tajemnic Bożych, podobnie jak Tomasz z Akwinu wypowiedział je językiem teologicznym (Jan Paweł II).

Ale Jan z Fiesole nie przedstawiał wizji wewnętrznych. Podobnie jak Ukrzyżowanie, które swoim majestatem przewyższa wielu wybitnych uczniów Giotta, także inne jego malowidła wynikały z fascynacji Brata Anielskiego Nowym Testamentem. Uderza w nich doskonały rysunek i zaskakująca świetlistość. Pod Krzyżem, który maluje Jan, stoi Maria Magdalena, ale stoi tam i święty Dominik, stoją Ojcowie Kościoła, biskupi, papież. Następstwo czasu nie gra roli w tym malarstwie. Dla artysty z San Marco czas ma jeden wymiar. Brat Anielski stosuje do każdej z postaci, czy to biblijnych, czy to jemu współczesnych, skuteczność tej samej Łaski. Malowidła są więc wszędzie: w zakonnych celach, korytarzach, krużgankach. Mieszkańcy cel tego klasztoru mieszkają już w obecności zdarzeń, których świat dopiero oczekuje, czasami z lękiem. Ale tu nie ma lęku. W tych celach, na krużgankach jest ten szczególny klimat, który pojawia się tylko w bezpośrednim doświadczeniu sztuki, która w zamierzeniu wielkich fundatorów katedr miała nieść ze sobą blask i radość. Klasztor świętego Marka we Florencji dzięki sztuce Fra Angelico wyobraża

miejsce wyłączone spośród innych miejsc na tej ziemi hodujące przeróżne złudzenia. W celach, które wielu mogą kojarzyć się z więzieniem istnieje prawdziwa wolność dzięki światłu, które je wypełnia. „Clastrum” florenckie jako figura Niebieskiego Jeruzalem pod wpływem tego malarstwa staje się biblijnym ogrodem, w którym rosną drzewa, których liście służą za lekarstwo. Pius XII wyraził o Bracie Anielskim opinię, że połączył z pogodną sztuką surową ascezę, które wzajemnie karmiły się kontemplacją spraw Bożych. Potrafił swoim obrazom nadać jakąś cudowną moc, dzięki której poruszają się ludzkie serca. Jest to sztuka przekształcona w kojącą modlitwę.

Kiedy papież Eugeniusz IV w roku 1443 przebywał w klasztorze świętego Marka w związku z uroczystym poświęceniem obrazu, widok dzieła wzbudził w nim taki zachwyt, że dwa lata później sprowadził mistrza do Rzymu i zlecił mu wymalowanie jednego z pomieszczeń w bazylice Św. Piotra, a w pałacu watykańskim kaplicy Najświętszego Sakramentu. Pewien bezimienny autor powiedział o niej, że „jest to prawdziwy raj, w którym postacie zostały przedstawione z najwyższym wdziękiem i szlachetnością”. Doskonałość wewnętrznych przymiotów Jana z Fiesole, szczególną skromność tego człowieka podziwiał nie tylko Vasari pisząc o artyście: „sądzę, że jego dusza poszła prosto do nieba”. Kiedy brat Jan

znalazł się w Rzymie i zaważowało biskupstwo we Florencji, jemu właśnie papież zaproponował tę godność. Nie przyjął jej, bo uważał, że prawdziwie godnym tego urzędu jest jego przełożony. Tak przeor Antonio na wiele lat przed wystąpieniem Savonaroli został arcybiskupem Florencji, wprowadzając reformy tak bardzo w tym czasie potrzebne Kościołowi.

Na naszym plastycznym wyobrażeniu nieba w dużej mierze zaważyło mistyczne piękno malowideł Fra Angelico. Charakteryzuje je kosztowność używanego materiału: lazur błękitów ceniony równie wysoko jak blask złota, łagodny koloryt, blask i migotliwość. Jego malarstwo było wzorcowe dla wielu późniejszych artystów, starających się przedstawić znaki Bożej Obecności, odbłask światłości, która nie znając zachodu uwalnia od mroku i depresji.

Nie umiał malować piekła. Miał bowiem duszę zbyt dziecięcą, by malować postacie nazbyt diaboliczne. Obca więc mu była wszelka manifestacja brzydoty i okropności tego świata, które pojawiają się w malarstwie Uccella, czy Orcani, malującego „Tryumf śmierci” na wielkim malowidle ściennym na Campo Santo w Pizie. Malując wyidealizowany ogród, w którym Chrystus ukazując się Marii Magdalenie był rzecznikiem tej wewnętrznej kultury, która pokonanie własnego serca porządkuje sprawę tego świata. ■



Fra Angelico: Madonny na tronie w otoczeniu świętych, 1424–25, retabulum z klasztoru św. Dominika, Fiesole

Na zabawy chłopięce 1635

Stroniłem od chłopców z ulicy; nie to,
żeby nie pozwalała mi Matka.

Ojciec nawet zachęcał, lecz nudne były
te zabawy; niustannie to samo.

Nic innego, jak wojna, wojna, wojna;
arkebuzy wystrugane z desek.

Musztra, patrole do zakrętu drogi, tam
i z powrotem, tam i z powrotem.

Ostrzeliwali się pod Legnicą lub Ścinawą,
albo szli na odsiecz Norymberdze.

Najstarsi bili się o to, który będzie panem
Wallensteinem, co i tak zwycięży.

Potem widziałem, jak z biedy i dla przygód
zaciągali się jeden za drugim.

Paradowali po Rynku w swych mundurach;
ale do domu nie wrócił żaden.

Na gołębnik po Ojcu 1637

Ojcze,
jesteś martwy bez swoich gołębi,
a one gruchają i wzlatują.

My wciąż gwizdzemy na nie.

I słyszymy jeszcze
two polskie przyśpiewki, porzekadła
i przekleństwa,
kiedyś złorzeczył, bo nie wracał
krymek, garlacz czy bocian.

Z tych zamkniętych oczu
czytam,
jak wtedy,
gdy
w drodze do nieba
krzyżowały się nasze spojrzenia.

Na chwilę swawolną i lunetę księcia Sylwiusza Nimroda 1650

Patrzyłem z okna na pawie i bażanty w wolierze.
I książkę oglądał je z balkonu przez swoją lunetę.

Dziwne ptaki, myślałem, nie boją się psa ni kota.
I ja miałem teleskop, tubę zwiniętą z pergaminu.

Aż moje oko, po chwili, spotkało się z książęcym.
Despekt wisiał na włosku, ale mój pan się zaśmiał.

Zawołał: „Jaką ty planetą jesteś, mój doktorze?”
„Saturnem, mości książę, a wasza wysokość, jaką?”

Do dzisiaj nie wiem, dlaczego tak mu rzekłem?
A on mi odpowiedział: „Jowiszem, nie Marssem”.

Była to jedna z tych chwil swawolnych, co trwają.
I kiedy chcesz, wspomnieniem wracają radośnie.

Na pokaz autopsji zwłok w Teatrze Anatomico Padwa 1647

Dach odsunięto i otwarto Niebo, by Bóg patrzył razem z nami.
Oto Jego Opera Omnia, ten martwy skazaniec złożony na stole.

Massari sprawili się jak należy, zwłoki są w dobrym stanie.
Profesor wiąże fartuch. Podwija rękawy i podnosi dłonie.

Nim zacznie misterium tajemnicy ciała, spojrzeniem bada salę.
Trwa tak bez ruchu jeszcze chwilę. Jakby wstrzymywał czas.

Zerka na noże, piły, szpikulce, kleszcze, młoty. I zaczyna pracę.
Skupiony w sobie, tnie trupa od mostka aż ku przyrodzeniu.

A cisza taka, że, przysięgłbym, słysząc oddech samego anatoma.
Czasem deska zaskrzypi, gdy usłużni pomocnicy tną kości.

I kiedy już na wierzchu są wnętrzności, mistrz wyjmuje serce.
Dzierżąc je, podchodzi ku światłu bliżej i daje znak kapeli.

i zaznaje spokoju, bo dobrze zniosła próbę.

Na imię me nowe „Angelus” 1653

I zacząłem widzieć, czego nie widziałem,
słyszeć, czego nie słyszałem.

I odtąd domem mi była miłość nieskalana,
jasna, i prawda jedyna, czysta.

On to myślał moimi myślami, on to szeptał
mną i we mnie: „Angelus, Angelus”.

**Na wieczór niedzielny w Lejdzie
(zdań ledwie kilka)
1644**

Kościół w oddali płyną niby
galeony.

Niebo płonie, od morza idzie
wieczór.

Jedna po drugiej zapalają się
lampy.

W tawernach krzyki, muzyka,
tańce.

Bryza od kanału niesie zapach
ryby.

Głęboko we mnie słychać obce
głosy.

Unoszę się ponad i umykam
słowom.

**Na pochówek chrześcijański ciała
Abrahama von Franckenberga,
które, niepoświęcone,
leżało w ziemi miesiącami
(zamiast epicedium)
1652**

Naczekałeś się, Abrahamie, ale już sądy nad tobą
odprawione i Brama Niebieska otwarta.

Oto, zebrani, korzymy się przed Jego Majestatem,
i ci, co sarkali tobie, i ci, co cię poważali.

Nie w ludzkiej jest mocy wydawać wyroki, jeśli
kto sam nie grzeszył i nie czynił źle innym.

To sprawa Boga, a nie owych małych trybunałów,
w które zamieniają się serca zawistne i ciasne.

Mierne umysły nie pojną twojej ziemskiej drogi,
nie im ważyć twe uczynki na tym świecie.

Ale ja wiem, jak były rozległe twoje niebiańskie
polany, chodziłeś po nich już wprzód.

A najprawdziwszy Kościół Boży widziałeś pośród
gwiazd i on powstawał światłem w tobie.

Dawno już dusza twoja wróciła tam, skąd przyszła,

**Na zarazę
1656**

Zamknięci w domach próbowali zatrzymać
plagę, lecz nie mieli nawet krzty pewności.

Owszem, zgromadzili zapasy; jadła i napitku
pod dostatkiem; drzwi mocno zaparte.

Zrobili, co było w mocy, by się ustrzec;
pilnowali niemal każdego swego oddechu.

Nasłuchiwali chrząkania pod oknem, zaklinali
wszystkie świętości, by nie przyszło na nich.

Mówili już tylko chromymi samogłoskami,
gdy ponad unosiły się gęste opary strachu.

**Na sakiewkę
świętego Wawrzyńca
i ofiarę dla fundacji
przy kościele
Świętego Krzyża,
(tydzień przed środą popielcową)
1660**

Gdy
cesarz zgładził papieża,
a
prefekt domagał się odeń majątności,
Wawrzyniec,
później święty,
przywiódł ze sobą
kalekich, niewidomych i cierpiących,
nazwał ich
skarbami Kościoła.

Nim i na niego kaźń przyszła,
rozdał był
złoto, srebra i kosztowności
ubogim.
Opróżnił skarbiec do końca.

Tak i ja czynię.
Co ziemskie,
pośród ludzi niech idzie
i
na Ziemi
zostanie.

Opowieść o rozbitkach

JAROSŁAW KAPSA

Pandemia paraliżując funkcje wystawiennicze umniejszyła znaczenie wystawy w Muzeum Częstochowskim o Fabryce Wyrobów Ceramicznych „Czyn”. Może też banalność nazwy fabryki, działającej w latach 1945–1953, nie wzbudziła zaciekawienia. Dla mnie to opowieść o bliskich, a może raczej fragment opowieści o tworzeniu w moim mieście normalnego świata po wielkiej katastrofie. Dziękuję pani Katarzynie Sucharkiewicz z działu etnografii Muzeum Częstochowskiego, której badania owocowały scenariuszem wystawy i pracą doktorską o zapomnianej wytwórni dewocjonaliów. Miała odwagę pójść na przekór kompleksom częstochowskich „medalikiarzy”, wypierających ze świadomości nawet skarby lokalnego dziedzictwa.

Było tak, że Częstochowa stała się wyspą przyjmującą rozbitków z zatopionej Atlantydy. Rok 1944 był tu okresem historii znacznym transportami. Przyjeżdżały pociągi pełne ludzi: 13 sierpnia 7200 osób z obozu w Pruszkowie kierowanych na roboty do Rze-

szy; 18 sierpnia 170 osób z Sandomierza do Rzeszy; 19.08–70 ludzi z Opatowa; 30.08 kolejnych 3 600 z obozu w Pruszkowie; 28 sierpnia do Częstochowy dotarł transport 130 chorych z warszawskiego Szpitala Dzieciątka Jezus; 31.08 przejeżdżały dwa transporty – 500 i 70 ludzi z warszawskiej Pragi kierowanych do Wiednia; 2.09–3 600 osób z Warszawy wysyłanych do Lissy, tego samego dnia 500 z Kielc do Rzeszy; 4.09 kolejne dwa transporty: 360 mieszkańców Pragi wiezionych do Oświęcimia i 70 osób ze świętokrzyskiego kierowanych na roboty w opolskie; 5.09–250 osób z obozu w Pruszkowie i 35 wysiedlonych z Opatowa. 13.09–4 000 z obozu w Pruszkowie na roboty do Rzeszy. 14.09–600 ludzi ze Skarżyska; 16.09. – 3 600 mieszkańców warszawskiej dzielnicy Włochy, transport do obozu w Oświęcimiu; 17.09–2 700 osób; 18.09–2000 osób; 24.09–1000 osób; 5.10. – 4000 osób; 6.10–1 800 osób; 8.10–1 800 osób; 9.10. – 3 200 osób z obozu w Pruszkowie na czasowe osiedlenie w Częstochowie i okolicach (Złoty Potok, Włoszczowa,

Koniecpol, Olsztyn); 7 października transport z jeńcami, żołnierzami AK, kierowany do Łambinowic i innych obozów. Ostatni transport przyjechał przez częstochowską stację 10.10.1944 r. – 4 800 osób z obozu w Pruszkowie kierowanych do Mszany Dolnej.

Odruch solidarności nakazywał iść częstochowianom na stację kolejową, podać szklankę wody i kromkę chleba, a gdy taka możliwość była – pomóc w ucieczce z transportu, przytulić, dać schronienie. Nawet „gadzinowy” „Kurier Częstochowski” w numerze z 16.09.1944 r. apelował: *Przyjechało już wiele pociągów... Inne są w drodze, niebawem przybędą. Wiozą mieszkańców milionowego miasta, miasta dotkniętego przez los. W tej chwili nie jest ważne czy są wśród nich nasi krewni lub znajomi, czy nie. Jest nieistotne zastanawianie się nad przyczynami ich tragedii. Ważne jest, że są to – ludzie. Nieszczęśliwi. Bracia nasi. Potrzebujący pomocy. Że są to ludzie chorzy, biedni, ludzie bezdomni, głodni, sieroty... Garstka osób dobrej woli z białymi opaskami na ramieniu, na których czernią się inicjały Polskiego Komitetu Opiekunczego, zbiera się co dzień na dworcu i oczekuje... Oczekuje pociągów z kierunku Warszawy. Udziela porad przybyłym, opatruje ich, karmi, rozdziela dary... społeczeństwa. Słyszycie! Społeczeństwo pomaga! W imię braterstwa, miłości chrześcijańskiej, w imię świętego obowiązku. A czy ty pomogłeś? Czy przyczyniłeś się choć ofiarą do ulżenia doli współbraci? Czy podzieliłeś się swą żywnością lub odzieżą? Czy przyjąłeś na nocleg niewypasanych, spoczynku potrzebujących?*

9 października transport wiozący 3 200 osób Niemcy zatrzymali na stacji Częstochowa Stradom, nakazując rozładunek. Burmistrz Stanisław Rybicki opisywał: *blisko trzy tysiące osób, starcy, mężczyźni, kobiety, dzieci, ciężko ranni lub chorzy od kilku dni już w wagonach kolejowych. Obraz tragiczny, przede wszystkim potrzebna jest natychmiastowa pomoc le-*

fot. Tomasz Bieniek



Rok 1944 zapisał się w historii Częstochowy przybyciem pociągów z tysiącami deportowanych robotników przymusowych, więźniów i jeńców. Transporty te mijaly ten budynek – zachowany do dziś relikwiny infrastruktury dawnego częstochowskiego dworca.

karska, a nasza sytuacja wprost beznadziejna. Na wniosek burmistrza władze okupacyjne zezwoliły na budowę baraków dla wysiedlonych, przy obozie urzędu pracy na ul. Chłopińskiego. Powstało 5 baraków, w tym duże schronisko, szpital, barak gospodarczy, kuchnia prowadzona przez SS. Zmarły burmistrz budował system pomocy, pozwalający przygarnąć, dać dach nad głową, leczyć i karmić ponad 15 tys. uchodźcom ze stolicy.

Bratem burmistrza był Józef Rybicki, szef Kedywu AK. To skutkowało przeniesieniem po Powstaniu do Częstochowy części Komendy Głównej AK i zapewnieniem schronienia ostatniemu komendantowi gen. Leopoldowi Okulickiemu „Niedźwiadkowi”. Ale dla miasta ważniejszy był inny gest burmistrza. W porozumieniu z profesorem Janem Chodorkowskim z SGGW i rektorem Uniwersytetu Warszawskiego prof. Włodzimierzem Antoniewiczem 13 października wysłany przez burmistrza samochód miejski przywiózł z Milanówka pierwszą grupę profesorów z prof. Romanem Pollakiem i prof. Tadeuszem Woyno. Ogółem do stycznia 1945 do Częstochowy przybyło 109 osób i 44 rodziny z kręgu pracowników naukowych Uniwersytetu, Politechniki, SGGW i SGH. Umożliwiło to uruchomienie w grudniu 1944 r. Kursów Akademickich. W ich ramach zajęcia prowadzono na Wydziale Prawa, kierowanym przez prof. Kamila Stefko (73 słuchaczy I rok i 13 II rok), Lekarskim, kierowanym przez dr. Zdzisława Stolzmana (84 słuchaczy I rok i 41 II rok), Humanistycznym, kierownik prof. Bogdan Nawroczyński, z sekcjami: polonistyczną (kier. prof. Zygmunt Szweykowski, 43 słuchaczy), historyczną (dr. Janusz Woliński – 25 słuchaczy), pedagogiczną (prof. B. Nawroczyński – 22 słuchaczy); Wydział Farmaceutyczny – kier. dr. Osman Achmatowicz (28 słuchaczy); Mechaniczno-Elektryczny, kier. prof. Tadeusz Woyno (36 słuchaczy); Chemiczny, kier. prof. T. Woyno (15 słuchaczy); Architektury – kier. prof. Zygmunt Kamiński (18 słuchaczy); Rolniczy – kier. prof. Osman Achmatowicz (16 słuchaczy); oddział SGH – kier. prof. Edward Lipiński (127 słuchaczy); Wydział Przyrodniczy – kier. prof. Osman Achmatowicz – 66 słuchaczy. Kursy Akademickie funkcjonowały do czerwca 1945 r, kształcąc ogółem 692 słuchaczy. Było to, w trudnych warunkach okupacji,



Powojenną „wędrowną ludów” i napływ ludności w latach 50., przypomina odrestaurowany egzemplarz parowozu TKt48 eksponowany przy stacji PKP w Częstochowie. Lokomotywy te w latach 50., 60. i 70. stosowano do obsługi składów osobowych na podmiejskich trasach.

spełnienie marzeń Częstochowy o własnej wyższej uczelni.

Dobro dobrem się odpląca. Warszawska kadra naukowa pomogła po wojnie w stworzeniu Wyższej Szkoły Handlowej, a po jej likwidacji w rozwoju Politechniki Częstochowskiej. Warszawskim lekarzom, w tym znanym z konspiracji – dr. Janowi Mazurkiewiczowi „Radosławowi” i dr. Jerzemu Hagmajerowi „Kiejstutowi” – zawdzięczaliśmy powstanie, w budynkach klasztoru Janogórskiego, szpitala miejskiego. Dr Jerzy Dreyza odtworzył w naszym mieście swój słynny Szpital Maltański.

Najwięcej, choć trudno mierzyć to materialnie, zyskała lokalna kultura. Rozbitkowie po katastrofie sklejali potłuczone swoje życie, czasem wbrew rzeczywistości próbowali odtwarzać swój dawny świat, ponownie iść drogą poszukiwania prawdy i piękna. Po wojnie trzeba było posprzątać, odbudować domy, przywrócić w nich to co ważne, by odzyskać ludzką godność.

Rozbitkami, choć miejscowymi, było małżeństwo Ostaszewskich: Stanisław, zawodowy oficer, kapitan 27 pp, obrońca Kłobucka w 1939 r., więzień łagrów; Kazimie-

ski. Najwięcej, choć trudno mierzyć to materialnie, zyskała lokalna kultura. Rozbitkowie po katastrofie sklejali potłuczone swoje życie, czasem wbrew rzeczywistości próbowali odtwarzać swój dawny świat, ponownie iść drogą poszukiwania prawdy i piękna. Po wojnie trzeba było posprzątać, odbudować domy, przywrócić w nich to co ważne, by odzyskać ludzką godność.



Hotel Polonia (w latach 1948–1989 działający pod nazwą Centralny), wybudowany w połowie XIX wieku miał zapewniać nocleg podróżnym wysiadającym na pobliskim dworcu kolejowym.



Stara zabudowa w centrum Częstochowy

ra, odznaczona Krzyżem Walecznym łączniczka POW, uczestniczka wojny z bolszewikami, wspólnie z mężem inicjatorka patriotycznych manifestacji w przedwojennej Częstochowie. Dla obojga nie było miejsca w powojennym mieście; władza ludowa nie potrzebowała sanacyjnych oficerów. Życ z czegoś trzeba, założyli więc fabryczkę dewocjonaliów o nazwie „Czyn”, licząc, że tak jak przetrwała Jasna Góra, tak przetrwa obycczaj pielgrzymek, więc nie braknie popytu na sakralne pamiątki. Znaczenie Jasnej Góry było dla Polski zbyt wielkie, by produkować dewocjonalny chłam; odbudowa normalności wymagała, by pamiątki z Częstochowy kształtowały jakość estetyczną u odbiorców. I w tym pomocni się stali inni rozbitkowie osadzeni na częstochowskim bruku.

W zabudowaniach starego klasztoru przy kościele św. Barbary, schronienie znalazło małżeństwo Donata i Stanisław Pospieszalscy, przybyli do Częstochowy z pierwszą falą rozbitków, wygnańców z Poznania, w grudniu 1939 r. Stanisław, urodzony w 1917 r. w Berlinie, absolwent Wydziału Architektury Uniwersytetu Warszawskiego, specjalizował się w konserwowaniu zabytków sztuki sakralnej. W czasie wojny żył z pracy dla klasztoru Jasnogórskiego, ratując żmudną renowacją zgromadzone tam dzieła sztuki. Z ochotą małżeństwo przyjęło współpracę z Ostaszewskimi, wiedząc, że w powojennej biedzie trudno liczyć na zarobek w klasztorze. Z równym entuzjazmem przyjęli prace dla „Czynu”

inni „rozbitkowie”, choć tu należałoby stosować rodzaj żeński.

Teresa Trzcińska-Kamińska przybyła do Częstochowy po powstaniu wraz z mężem prof. Zygmuntem Kamińskim. Burmistrz Rybicki zapewnił im kwatery wraz pracownią w dawnym Obserwatorium Astrologicznym, stworzonym w parku podjasnogórskim przez ks. Metlera. Odpłacili za to wieczorkami artystycznymi, grającej na fortepianie Teresie towarzyszyła inna wielka, warszawska artystka, solistka oper polskich, rosyjskich, amerykańskich, dyrektorka opery warszawskiej Janina Korolewicz-Waydowa. Na wieczorkach gościła także inna sława: Zofia Kossak, która wraz z córką Anna Szatkowską, znalazła schronienie po sąsiedztwie w Pospieszalskich przy kościele św. Barbary. Teresa Trzcińska-Kamińska zasłynęła w czasie I wojny światowej, gdy jako młoda studentka sztuk pięknych, w męskim przebraniu służyła jako ułan. W okresie międzywojennym uznanie zdobyła projektami pomników, rzeźbami i medalionami; wykonywanymi zarówno samodzielnie jak i wspólnie z mężem profesorem architektury i znakomitym medalierem. W czasie wojny współtworzyła z Zofią Kossak Front Odrodzenia Polski, przeżycia wojenne obudziły w niej silną wiarę, przystąpiła do „tercjarek” (III Zakonu Dominikańskiego). Pośrednictwem Trzcińskiej-Kamińskiej przyciągnęło do współpracy z „Czynem” kolejne artystki. Zofia Baudouin de Courtney, córka językoznawcy, publicysty, kandydata na stanowisko Prezydenta RP Jana Niecisła-

wa; rozwinęła swój talent studiując plastykę w Petersburgu, Monachium, Paryżu. W okresie międzywojennym specjalizowała się w sztuce zdobienia budynków sakralnych polichromią, freskami, mozaikami i witrażami. Czas katastrofy przeżyła w podwarszawskim Zalesiu Górnym, wygnana z rodzinnego domu w 1950 r., ostatnie swoje schronienie znalazła w Częstochowie, umierając tu, w domu księży emerytów na ul. 3 Maja, w 1967 r. Kolejne współpracowniczki to Wanda Szreiberówna (związana z Płockiem ceramiczka) i Janina Orężyna, obie zasłużone krzewicielki twórczości sięgającej po ludowe wzory, prekursorki powojennej Cepelii. Była także siostra zakonna Aniela Józefowicz, najlepsza wówczas w Polsce znawczyni sztuki dewocjonalnej.

Działalność fabryczki dewocjonaliów „Czyn” to tylko zapomniany epizod dziejów miasta. Zlikwidowano ją w 1951 r., gdy zaostriżył się antyreligijny kurs rządzącej władzy komunistycznej. Córka właścicieli fabryczki, Agata Ostaszewska, dzięki której można było wystawić zbiory produkowanych dewocjonaliów, była cichą bohaterką „Solidarności” okresu stanu wojennego, niezmordowaną opiekunką rodzin więzionych i internowanych. Pospieszalscy stworzyli najwspanialszą, wielką, muzykującą rodzinę, znaną dzięki Janowi, Mateuszowi, Marciniowi, Lidii, a teraz także przez ich dzieci, muzyków trzeciego pokolenia ukształtowanego w dwóch izdebkach przy kościele św. Barbary. Pozostała także trwałość dzieł zakorzenionych po wojnie w Częstochowie artystów. Dawną cerkiew, kościół św. Jakuba, ozdobił Stanisław Pospieszalski malowidłami ściennymi nawiązującymi do sztuki bizantyjskiej; „kościółek” akademicki przy Alejach upiększył stylizowanymi motywami kwiatów. W archikatedrze św. Rodziny podziwiać można kropielnicę projektu Pospieszalskiego, a także piękną mozaikę Matki Boskiej autorstwa Zofii Baudouin de Courtney. Wchodząc na Jasną Górę, na bramie odkrywamy płaskorzeźbę wykonaną przez Zofię Trzcińską-Kamińską, a w sali rycerskiej kolejne jej dzieło: płytę poświęconą 300-leciu Ślubów Jana Kazimierza.

Jakże uboższe byłoby moje miasto, gdyby nie ten napływ rozbitków, odbudowujących pod Jasną Górą normalność życia.

Od początku XX wieku wraz z rozwojem największych ośrodków miejskich Zagłębia Dąbrowskiego, oprócz stymulującej ten wzrost rozbudowy zakładów przemysłowych, przybywało też placówek kulturalnych i rozrywkowych – z kinami na czele. Już w okresie przedwojennym świątyni X muzy działało w Zagłębiu wiele, kolejne pojawiły się w latach powojennych wraz z rozszerzeniem przez władze komunistyczne dostępu do kultury dla pracowników przemysłu. Boom na kina skończył się w latach 80: często ich przestarzała infrastruktura nie wytrzymała już wyścigu z czasem, inne przegrywały wobec coraz większej popularności telewizorów, jeszcze inne nie potrafiły przyciągnąć widzów atrakcyjnym repertuarem. Te, które jakoś przetrwały schyłek PRL-u, zostały dobite przez przemiany gospodarcze lat 90. Dziś większość tamtych kin to już tylko wspomnienie tych zagłębiaków, których młodość i dzieciństwo przypadały na lata 80. czy 70. – lub wcześniej.

W stolicy Zagłębia, Sosnowcu działają dziś dwa kina – a raczej multikina z dwóch wiodących sieci kinowych – Cinema City i Helios. Choć to mające po kilka sal giganty, trudno być może uwierzyć, że sto lat temu kin w Sosnowcu było znacznie więcej. Czołowe zagłębiowskie kino, sosnowiecka Muza przy ul. Warszawskiej, otworzyło podwoje dla widzów w latach 30. Budynek, w jakim umieszczono kino, które pierwotnie nosiło dumną nazwę Palace, pochodził z początku XX wieku i w czasach carskich mieściła się tam wozownia i stajnia, służące do garażowania konnych zaprzęgów. Kino na przestrzeni lat zmieniało nazwę – najpierw Palace przemianowano na Roxy, a następnie na Nowe Pokolenie. Nazwę Muza, pod którą kino to utrwaliło się w zbiorowej świadomości sosnowiczian, nadano dopiero po kompleksowym remoncie w 1956 roku. Niezależnie od nazwy, historycy kinematografii przyznają zgodnie, że sosnowiecka Muza



Gruntownie przebudowana sosnowiecka Muza nadal służy mieszkańcom mniej więcej zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem, choć nie jest już typowym kinem

Dawny czar zagłębiowskich kin

TOMASZ BIENEK

była (obok katowickiego Rialta) jednym z dwóch wiodących kin w tej części Polski, i to właśnie tu miały miejsce premiery światowych przebojów. Niestety, do upadku kina przyczynił się wolny rynek – pojawienie się w mieście sieciowych gigantów kinowych wykończyło Muzę. Ostatnie seanse odbyły się w roku 2005 – choć trzeba przyznać, że los uśmiechnął się w pewien

sposób do Muzy. Kino weszło w skład miejskich placówek kultury jako sala widowiskowa, służy więc nadal mieszkańcom niejako zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem. Odpowiednio wyremontowane i przystosowane, uzupełnia działalność Miejskiego Klubu im. Jana Kiepury. W zamierzonych czasach, niejako w cieniu Muzy funkcjonowało też mniejsze – choć starsze kino Sfinks, które



Budynek kina Momus w sosnowieckiej dzielnicy Pogoń oraz zachowana oryginalna brama prowadząca do kina. Zwracają uwagę splecione inicjały LM nad numerem budynku – symbolizujące właściciela Leonarda Marcinkowskiego





Budynek przy ulicy Kościelnej w Sosnowcu – obecnie Dom Katolicki. Przed wojną budynek był siedzibą kina Zagłoba

zapraszało widzów już przed pierwszą wojną światową, choć bardziej niż „kino” pasuje tutaj nazwa „lokal rozrywkowy” – w repertuarze były też kabarety i spektakle teatralne. To właśnie na scenie Sfinksa odbył się pierwszy publiczny koncert Jana Kiepury. Było to w roku 1923. W dwudziestoleciu międzywojennym w Sosnowcu ofertę rozrywkową uzupełniały swoim repertuarem mniejsze kina, jak Odeon, Zagłoba, Eden, Wawel, Oaza czy Zacisze. Były to jednak niewielkie kina z małymi salami na góra kilkudziesięciu widzów. O ich niedużej sali świadczy fakt, iż po wojnie w niektórych z tych placówek działały sklepy. Z biegiem lat o większości z nich zapomniano.

O takim szczęściu, jakie miała Muza, nie można mówić w przypadku drugiego ważnego sosnowieckiego kina z tamtego okresu. W latach 20. w ciągu nieistniejącej już zabudowy przy ul. 3 Maja otworzono kino Udziałowe. Było to kino nieme. W budynku, w którym działało, były też sklepy i restauracja, a miejsce to rozpoznawalne jest na dawnych widokówkach i zdjęciach archiwalnych Sosnowca ze względu na charakterystyczną elewację z podcieniami od strony ulicy. W latach 30. nazwę kina zmieniono na Zagłębie. Jego kres przyniosła gruntowna przebudowa śródmieścia Sosnowca, która spowodowała liczne wyburzenia. Ciąg zabudowań, w których działało kino Zagłębie, przestał istnieć w latach 70.

We wspomnieniach mieszkańców Sosnowca, zwłaszcza dzielnic Pogoń i Środula, powraca też często kino Momus. Ono także sięga historią przedwojennych czasów. W latach 20. zagłębiowski biznesmen Leonard Marcinkowski zainwestował w salę kinową u zbiegu ulic Floriańskiej i Nowopogońskiej. Był idealną osobą do takiej działalności – prowadził też kino Paryskie w Częstochowie i Stella w Zabrze. Przez pewien czas był też właścicielem kina Palace (czyli wspomnianej wcześniej Muzy). Widzowie uczęszczający do Momusa zachowali w pamięci charakterystyczne ogrzewa-

nie sali kinowej w postaci kaflowych pieców. Kino dość prętnie działało też w latach powojennych, jednak schyłek przyniosły lata 70. W kolejnej dekadzie salę zamknięto na gucho, potem mieściły się tu warsztaty i niewielkie zakłady produkcyjne.

Smutny los podzieliło też słynne niegdyś kino Metalowiec. Jego początki wiążą się z pewnym kinowym fenomenem lat 50. i 60. W tym czasie w Sosnowcu jak grzyby po deszczu powstawały zakładowe domy kultury, które pracownikom przemysłu ciężkiego miały dostarczać rozrywki i prowadzić działalność kulturalną i oświatową. Jednym z takich miejsc był właśnie Metalowiec, który początkowo powstał jako Dom Kultury Fabryki Kotłów Przemysłowych przy ul. Mariackiej. W sali widowiskowej odbywały się projekcje filmowe, a z czasem z placówki tej wyewoluowało kino z prawdziwego zdarzenia, reklamujące się profesjonalnym ekranem panoramicznym.



Słynne niegdyś w Zagłębiu kino Metalowiec odrodziło się z ruiny jako dom mieszkalny

nym. Na zamknięcie i upadek kina nałożyła się sprawa grupy tzw. squatersów (młodych ludzi, najczęściej o anarchistycznych przekonaniach, zakładających w opuszczonych budynkach mikrospołeczności, przypominające nieco hippisowskie komuny). Działalność grupy, która zajęła dawne kino była kilkanaście lat temu jednym z ciągnących się lokalnych wątków dotyczących śródmieścia Sosnowca, po bójkach do jakich dochodziło między lokatorami zrujnowanego kina a skinheadami. Koniec końców dzicy lokatorzy opuścili ruinę, a w murach Metalowca powstał apartamentowiec.

Warto przypomnieć, że inne studyjne kina działające w ramach domów kultury przy zakładach pracy nie zrobiły takiej kariery jak Metalowiec, to jednak działały przez pewien czas na kulturalnej mapie Zagłębia dostarczając rozrywki pracownikom zakładów i ich rodzinom. Huta Cedler zorganizowała kino Polonia, kopalnia Niwka-Modrzejów kino Lutnia, kopalnia Klimontów – kino Lech. W dzielnicy Sielec działało kino Postulat, w Ostrowach Górniczych kino Radość, a w Miłowicach kino Pionier.

Należy dodać, iż wiele kin funkcjonowało też w Dąbrowie Górniczej. W mieście tym na przestrzeni lat było ich kilkanaście. Pierwsze, już w 1903 roku, powstało w budynku teatralnym przy ul. Sobieskiego i nosiło nazwę Bagatela. Działo przez kilka lat. Zostało zamknięte wraz z plają amatorskiego teatru, który funkcjonował w tych samych pomieszczeniach. W 1919 roku w budynku należącym do Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich otworzono kino Kometa. Wyświetlano tu produkcje nieme. Seansom towarzyszył akompaniament w postaci muzyki granej na pianinie. Wraz z rozwojem miasta powstawały nowe i coraz nowocześniejsze technicznie placówki. W 1922 roku swoje podwoje otworzyło kino w Domu Ludowym przy ul. 3 Maja. Ze swoją ofertą zaraz po tym dołączyło kino Odeon, uruchomione w budynku po wspomnianej wcześniej Bagateli. W latach 30. po-

jawiło się jeszcze kino Wanda. Jego właściciel przed wybuchem wojny zmienił nazwę na Bajka. W 1935 roku powstało natomiast najszlachetniejsze dąbrowskie kino – Ars. Było to odkupione przez Kazimierza Sunderlanda i gruntownie zmodernizowane kino Kometa. Czas okupacji hitlerowskiej odcisnął swoje piętno także na dąbrowskich kinach – Ars działał jako kino „tylko dla Niemców” pod nazwą UFA Deutsche Theatr, a w Bajce okupanci urządzili wojskowy magazyn.

Po wojnie, ponownie pod starą nazwą, uruchomiono kino Ars. Analogicznie do Sosnowca, kinową ofertę uzupełniały sale kinowe domów kultury. Na seans można się było wybrać do kina Osiedlowego Domu Kultury w Gołonogu. Za salę kinową służyła obszerne sala widowiskowa. Pod koniec lat 90. zamieniona ją na dyskotekę.

W 1945 roku w dzielnicy Strzemieszyce otwarto kino Paw. Przestało ono istnieć w 1990 roku. W tym samym roku zlikwidowano też kino Uciecha. Działo ono od pierwszych miesięcy powojennych w Żąbkowicach. Po wojnie na nowo utworzono też kino Bajka. Działo ono do lat 80. Kino przeszło wtedy gruntowny remont, jednak w wyniku nieszczyśliwego zbiegu przypadków jeszcze przed pierwszym seansem strawił je pożar. Rozpoczęto odbudowę, ale zanim prace dobiegły końca, kolejny pożar naruszył konstrukcję budynku i kino definitywnie zamknięto.

W czerwcu 2005 kino Ars splajtowało. Obiekt przejęły władze miejskie, umieszczono tam Miejski Ośrodek Pracy Twórczej. Zachowano pomieszczenie, w którym można było wyświetlać filmy, trudno jednak było mówić o sali kinowej z prawdziwego zdarzenia. Sporadycznie odbywały się tam projekcje dla wycieczek szkolnych, głównie ekranizacje lektur.

Więcej szczęścia miało kino Kadr – studyjna placówka działająca przy Pałacu Kultury Zagłębia. Jego historia sięga początku lat 60. Pomimo różnych zawirowań i przekształceń, kino w obecnej formie wznowiło działalność w 2007 roku, co stanowi kontynuację tradycji z poprzednich dekad.

Los uśmiechnął się też do będzińskiego kina Nowość. Jako kameralne kino studyjne przetrwało zarówno czas przemian, jak i bezwzględną konkurencję ze strony multiplexów. Historia tego kina to zresztą sam w sobie temat na film z wątkami tak komicznymi, jak tragicznymi. Budynek, w którym się znajdowało, oddawał atmosferę przedwojennego Będzina ze znacznym odsetkiem ludności żydowskiej. W kamienicy oprócz kina funkcjonowały równocześnie knajpa, synagoga, drukarnia i podejrzanej reputacji hotel. Przed wojną w Będzinie można też było wybrać się na film do kin Corso lub Światowid. Po wojnie działało też kino Lotnik. W Grodźcu przez pewien czas istniało też kino Polonia.

Zdumiewać może fakt, iż nawet małe miejscowości (które często z biegiem lat jako dzielnice zostały wchłonięte przez większe miasta) także miały swoje kina. W Łągiszy istniało kino Marzenie, w Łośniu – Muza. Było kino Ateneum w Łazach, Strażnica w Wojkowicach, Piast w Kromolowie.

Tematykę przedwojennych kin na Górnym Śląsku przybliżyła w kolekcji Urszuli Biel: *Śląskie kina między wojnami czyli przyjemność upolityczniona* (Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2002)

Wspominając zagłębiowskie kina warto wspomnieć, że momenty największych tryumfów przeżywały one m.in. w 1930 roku, gdy na ekrany wchodził film „Neapol – śpiwające miasto”. Był to pierwszy w historii europejskiego kina muzyczny film dźwiękowy. Popularności tej produkcji w Zagłębiu przysparzał fakt, iż grał w niej Jan Kiepura – rodowity sosnowiczanie. Partnerowała mu Brigitte Helm. Widzowie niemalże zabijali się o bilety, żeby zobaczyć na wielkim ekranie „chłopaka z Sosnowca” – notabene urodzonego na Pogoni, niedaleko kina Momus. Sale kinowe pękały wtedy w szwach. Nie był to jedyny moment, gdy związani z X muzą artyści z Zagłębia przydzielili się do zapewnienia lokalnych kin. Światowej sławy gwiazdą kina związaną niejako z Sosnowcem była Pola Negri (prawdziwe nazwisko Apolonia Chałupiec), która w 1919 roku podczas podróży pociągiem z Warszawy do Berlina poznała komendanta sosnowieckiej straży granicznej Eugeniu-

za Dąbskiego. Ich romans zakończył się ślubem, a Pola mieszkała przez pewien czas w Sosnowcu przy ul. Kołłątaja 6. Związki Sosnowca z kinematografią zacieśniła słynna w latach 50. Bella Darvi, urodzona w Sosnowcu w 1926 roku jako Bajla Węgier. Debiutowała w filmie „Egipcjanin Sinuhe”, w 1955 roku otrzymała Złoty Glob dla debiutantki roku. Kolejny sosnowiczanie kojarzony niegdyś z wielkim ekranem to Pinkus Goldfein. Urodził się w 1902 roku, w latach 20. wyjechał do Warszawy, potem do Niemiec. Karierę robił pod nazwiskiem Paul Godwin. We wczesnych latach 30. zagrał w kilku komediach, komponował też muzykę do filmów, korzystając z szansy, jaką muzykom dało wprowadzenie filmów dźwiękowych. Podobnie zajęcie miał urodzony w 1911 roku w Sosnowcu Władysław Szpilman, znany na świecie jako bohater filmu „Pianista”. Przed i po wojnie współpracował z przemysłem filmowym tworząc muzykę do filmów. Mieszkał w kamienicy przy ul. Targowej.

Kaczor Donald też musi umrzeć

MICHAŁ PAWEŁ URBANIAK

Dla Krzysztofa Pawła Łukasiewicza – z nadzieją, że w dorosłym życiu będzie szczęśliwy.

Przeszukują biedny mysi brzuch Micky. Znajdują jedynie niewielkie kawałki gruzu, nie było tam nawet metalowego guzika od munduru, wojna nie zna liłości, uderza wszędzie milion razy. (...) Po Goofym i Minny nawet ząb nie pozostał!

Elfriede Jelinek, „Jesteśmy przynętą, kochanie!”, przeł. Anna Majkiewicz i Joanna Ziemska

Nauczył się to nazywać „oszustwem Cocolino”. Kochał uśmiechniętego, białego misia z reklamy. Gdy tylko go dostrzegał, rzucającego się z przymkniętymi oczami w kojącą puszystość ręczników i ubrań, podbiegał do ekranu, gotów na przytulenia. Wiedział, ile ma czasu, znał te reklamy na pamięć. Gdzieś musiały być drzwi prowadzące do środka telewizora, do tego obrazu – szukał bez skutku. Wierzył – jak tylko dzieci potrafią – że może wyciągnąć Cocolino spośród telewizyjnych tkanin, a w zamian dać mu całą swoją miłość, równie puszystą i cieplutką. Nie umiał tego wyrazić – dzieci wielu rzeczy nie potrafią – ale czuł, że całe jego życie mogłoby się sprowadzić do uszczęśliwiania misia, do szukania na jego pyszczku tego unikalnego wyrazu błogości. Jednak Cocolino zniknął, na ekranie pojawiały się pasty zapobiegające próchnicy, podpaski, płyny do toalet – nic, do czego chciałoby się przytulić. Rodzice się z niego śmiali, kazali mu się odsunąć od telewizora. Dlaczego miś Cocolino go nie chciał?

Potem zrozumiał, do czego służy reklama. Wiedział już, że maskotki są nieme i obojętne, a w pluszowych ciałach zamiast serc mają trociny – i nadal żałował, że w sklepie nie mógł sobie kupić misia Cocolino. Na co mu jakiś tam płyn? Gdy był już prawie dorosły, umiał po powiedzieć bardziej fachowo: specjaliści od reklam pomylili się z adresatem. Termin „oszustwo Cocolino” wymyślił dużo później.

Nie miał dzieci. Ta myśl wracała w nieoczekiwanych momentach, zwykle gdy tkwił między jednym a drugim zdarzeniem ze swego życia i zabijał niecierpliwość oczekiwania – tak jak teraz, przed wizytą u lekarza.

Przypominał o tych nieistniejących dzieciach z zaskoczeniem, zupełnie jakby przegapił któryś z deadline'ów. Był project managerem w biurze tłumaczeń. Na studiach marzył o tłumaczeniu literatury, swoim nazwisku na stronach tytułowych. Kiedyś przeczytał, że tłumacz pisze książkę na nowo, tylko innym językiem. Spodobało mu się to. Nie miał cierpliwości do wymyślenia fabuły, bohaterów, do tych wszystkich niuansów. Tłumaczenie było drogą na skróty w świat literatury. Nie wyszło.

Ciekawe, że brak potomstwa nie uderzał go w innych momentach, bardziej stosownych – gdy na spacerze widywał tatuśków pchających wózki, gdy czytał w gazetach reportaże o dzieciach katowanych na śmierć przez konkubentów matek, dzieciach molestowanych przez księży w zaciszu plebanii. Nie żałował również, gdy okazjonalnie w weekendy grał ze swoimi bratanekami w gry komputerowe. Wówczas to był fakt, którego się nie rozważa. Jeden z wielu faktów – bo nie miał też psa, chomika czy węża. Nie był na Islandii, w Bułgarii, w Szwecji. Nie uprawiał sportów. Nigdy nie piekł chleba, nie zasadził ani jednego drzewa. Nie oglądał „Powrotu do przyszłości”, nie przeczytał *Buddenbrooków*. Całe życie można sprowadzić do zdarzeń, które w nim nie zaistniały.

Siedział w poczekalni prywatnej przychodni „Med Exclusive”. Mógł sobie pozwolić na ten luksus, przedłużający się na całe życie „project manager” miał swoje dobre strony. Wszystko tu było sterylnie czyste, ale niepozbawione demonstracyjnego ciepła.

Dobrze pamiętał przychodnie ze swojego dzieciństwa, zimne poczekalnie, brudne, wstrętne zielone ściany. Siedziało się wśród innych czekających jak na balu, na którym zabrakło muzyki, a zgromadzeni i tak musieli udać, że się dobrze bawią. Każda wyszeptana próba rozmowy unosiła się w tej gęstej ciszy. Kiedy dołączał ktoś nowy, reszta prześlizgiwała się po nim pozbawionym zaciekawienia wzrokiem. Człowiek składał się tylko z choroby, z którą przyszedł, obnażony, i nie zostało w nim nic do odkrycia. Najgorsze było sakramentalne pytanie: „przepraszam, kto z państwa ostatni?”, tak samo upokarzające jak minutogodziny czekania.

Wiedział, że w „Med Exclusive” minuty łączą się co najwyżej w akceptowalne kwadransy, ale to go nie pocieszyło. Czekanie bywa tak samo ciężące, niezależnie od epoki i koloru zamykających się wokół człowieka ścian.

Mama – zawsze serdeczna dla ludzi – bywała skrępowana i spięta w poczekalniach, jej uśmiech stawał się swoją własną parodią. Nie doczekała luksusowych prywatnych przychodni. Potrafił ją samochód. Wracała z zakupów, miała czterdzieści dwa lata. Szła przez pasy. Lubiła jasne zasady, ułatwiły życie, chroniły jak modlitwa. Pewnie wcześniej spojrzała w lewo, w prawo i ponownie w lewo, jak wtedy, gdy była małą dziewczynką, dojrzała kobietą, mężatką coraz mniej młodą, coraz bardziej świadomą, że ma za sobą najpewniej połowę życia i to, co ją czeka, stanowi już zaledwie jego gorszy wariant. Uderzyła głową o nowy, dobry asfalt. Kierowca był tylko rozkojarzony, nie pijany, a szkoda, łatwiej by przyszło zrozumieć to, co się stało.

Gdy mama umierała, przy niej leżały mokre ruiny jajek, dojrzałe renety, nieuszkodzone ziemniaki i kurczak – kawał nagiego, lodowatego mięsa, który miał stać się niedzielnym obiadem, a wcześniej był grzebiącym w ziemi głodnym lub znudzonym kurczakiem.

Nie, nie miał dzieci. Z pierwszą żoną nie chcieli się z tym spieszyć. Zawsze się wydawało, że będzie czas – a czasu nie starczyło, bo po trzech latach się rozwiedli. Rozstanie zaczęło się wydawać coraz bardziej nieuniknione i nadeszło. Pod koniec wspominał pierwsze miesiące, dopasowanie ich dłoni, wymyślanie wspólnym dzieciom imion, jakby tworzyli listę przez zrobieniem zakupów w hipermarkecie (Karol, Agnieszka, Franciszek – ale zdrobniale „Franus”, nie „Franek” – Laura, Jan), seks, plany na następne dziesięciolecia. Narastał w nim żal i mglista nadzieja, że bieg spraw wciąż da się odwrócić. Chciał jej wtedy zaproponować dziecko, ale nie było już o czym mówić.

Kiedy był pierwszomłody, prawie nie chorował, znał co najwyżej lekarza medycyny pracy. Za to Arleta (tak miała na imię, zanim została „jego pierwszą żoną”) łapała infekcje gardła, kaszlała, przynosiła do domu każdą napotkaną grypę. Była stomatologiem. Śmiał się z niej, że to dopiero chore, żeby ona, wkładająca lekarski kitel, tak często sama odwiedzała lekarzy. Nazywał ją „zębiarą”. „Jak można lubić komuś grzebać w zębach?” – pytał. – „Wiesz, że ludzie cię nienawidzą, najchętniej by od ciebie uciekli?”. Doprowadzał ją tym do łez.

Z Julią ożenił się stosunkowo szybko. Poznał ją przez znajomych. Była od niego parę lat starsza. Poszła na architekту-

rę, raczej z przypadku niż z potrzeby, projektowała obiekty użytku publicznego (mawiał: „Budynki nikogo nie obchodzą, nie zwraca się na nie uwagi. Po prostu są, wchodzi się, wychodzi”). Jej pierwszy narzeczony, Jarosław, ją zostawił, wyjechał do Holandii. Miłosz, drugi narzeczony, zostawił ją jeszcze bardziej – zderzył się z ambulansem tak czołowo, że nie było komu pomagać. Julia musiała odwołać rezerwację sali weselnej, nie zwrócono jej zaliczki. Nie została wdową, tylko starą panną. Mało brakowało, a i tego by nie było. Kiedyś wpadła do basenu na kąpielisku i nie umiała wypłynąć, nie wiedziała, jak to się robi, miała trzy lata, matka wyszarpaneła ją wodzie za włosy. Tamto zdarzenie trwało chwilę, ale w niej zamieszkało.

Nie mógł się odwdziżyć podobną opowieścią. Nigdy prawie nie umarł. Przyszło mu na myśl wspomnienie z dzieciństwa. Miał cztery lata, było lato, wyjechał z bratem i rodzicami do krewnych do Niemiec. Krewni mieli w ogródku piaskownicę, tam siedział z foremkami w kształcie kwiatków. Nabierał nimi piasku, ten z powierchni, suchy, wysypywał się od razu, ale ten z mierzalnych głębin piaskownicy wypełniał foremkę, przylepiał się do palców. Wystarczyło go uklepać, odwrócić i już istniała mała wydma w kształcie kwiatu. Otoczył się takimi kwiatami z piasku. „Co ty, Jędrus, ciasta pieczesz?“, spytała mama, pochylając się nad piaskownicą z uśmiechem. „Ile ciast! Kucharzem będziesz!“. Tamta scena była tak wyrazista, jakby przeobraziła się w coś materialnego, przedmiot dający się potrzymać w dłoni. Nosił ją w sobie jak w kieszeni – gdzieś między dokumentami, tak samo, jak Julia dźwigała swoje niedoszłe utonięcie.

Randkowali bez przekonania, ale też bez niechęci, aż się pobrali. Lubili swoje towarzystwo, potrafili się dogadać. Kochał ją miłością niezaborną, niepewną, taką, którą trzeba odkrywać, aby ją zrozumieć. Wyobrażał sobie niekiedy swoją pierwszą żonę na miejscu Julii, tak młodą, jak z czasów ich rozvodu. Nie miał wyrzutów sumienia, bo i Julia – był pewien – nie zapomniała o swoich niedoszłych mężach.

On też wracał do innych kobiet, mniej znaczących, tych między Arletą a Julią. Do Pauliny, podobno w przededniu rozvodu. Do Darii, pięknej, ale trochę zbyt głośnej i męczącej. Do Donaty, studentki psychologii, do której mu było najbliżej, więc zaczynał już snuć śmielsze marzenia. Aż powiedziała mu „Gdzieś jest w tobie ta gotowość do radości. Gdybyś tylko się nie bał...”. Przerwał jej. Skończyli kolację i skończyli się dla siebie.

Tak żyli – on, Julia, Arleta, Jarosław, Miłosz, Donata i pewnie ktoś inny, kto wcale nie istniał. Może gdyby między nimi żył jakiś Karol, jakaś Agnieszka, jakiś Franciszek, byłoby inaczej. Nie mieli dzieci, mieli tylko siebie.

To Julia wysłała go do lekarza. Mówił, że to tylko ból brzucha, że nawet jeśli codziennie je cztery „no-spy”, to nic złego, bo działają rozkurczowo przy jego kamieniach nerkowych, że to tylko skierowanie, a nowe zawsze można załatwić, że ludzie mają raki, stwardnienia rozsiane i to są tragedie, a nie, że gdzieś w boku gniecie. Odpuścił, napełnił sobie żołądek wodą źródlaną i teraz tu siedział z coraz większym poczuciem straty czasu.

Pamiętał, jak w kilka miesięcy po śmierci mamy ojciec wziął jego i brata do wesołego miasteczka. Brat twierdził, że to dobre dla dzieciaków, a ojciec – niezdarly w tym swoim ojcostwie – też nie wydawał się przekonany. Być może ten pomysł mu się podobał do chwili, gdy się ziścił. A jednak świetnie spędzili czas. Weszli w tę całą kolorowość, przewrzaszkującą się nawzajem muzykę, przestrzeń pełną tłumów, balonów, maskotek, jaskrawych świateł i lepkich obłoków waty cukrowej.

Jędrę zaczął płakać dopiero w aucie. Ojciec odwrócił się w jego stronę, jakby nie prowadził samochodu – ta chwila (nie) uwagi mogła się skończyć wypadkiem. „Przyjedziemy tu znowu, hej, hej!”, próbował go pocieszyć jak zwykle nietrafionym

pocieszeniem. A on zatęsknił za mamą, aż go dusiło, bolało.

Bez obecności mamy życie zaczęło go uwierać i przerastać. Rodzice nie byli szczególnie lotni, nie mieli w sobie przebojowości (przypuszczalnie nie znali takiego słowa, dziś obowiązkowego w CV), ale wspólnie dali radę dźwigać codzienność. Możliwe, że po śmierci mamy ojciec poczuł się oszukany. I on zmarł, niespełna sześćdziesięcioletni. Chorował rok, polepszyło mu się, znów pogorszyło. Wiedział, że umiera. To była już ostatnia sytuacja, w której nie umiał się odnaleźć. Jędrę nie lubił ojca. Andrzej go zrozumiał, mądrzejszy o kilka lat terapii.

Nie pojechali już razem do wesołego miasteczka. On zjawił się tam po paru latach w ramach wycieczki szkolnej. Jego koledzy się rozpierzchli, nie mogąc ogarnąć tyłu wspaniałości naraz, a on patrzył na wesołe miasteczko, jego rozradowanych klientów i to wszystko nagle wydało mu się nieprawdopodobne, zbyt lepkie, zbyt świecące, zbyt różowe. Jakby te dzieci były tylko dziećmi z czytanek w elementarzu, a ich świat tylko takim właśnie światem. Żadnego uporczywego rodzeństwa, alkoholu w domu, pasa, zmarłych matek i czego tam jeszcze.

Kilka miesięcy po szkolnej wycieczce, w wakacje, z nudów sięgnął po gazetę. Natrafił na powiększone fotografie trzech osób. Przeczytał artykuł cztery razy. Coś się obłuzowało w źle zakonserwowanej maszynie i ta trójka powypadała z kolejki i zginęła na miejscu. Nie mógł oderwać wzroku od trzech zdjęć złączonych na sąsiednich szpaltach, od twarzy ofiar. Nie mógł uwierzyć, że w wesołym miasteczku również się umiera.

Gdyby miał dzieci, nigdy nie zabrałby ich do wesołego miasteczka – choćby go za to miały nienawidzić i powiedzieć kiedyś u terapeuty, że ojciec ich nigdy tam nie zabrał, a marzyły o karuzeli, o wacie cukrowej, o rozbijaniu się autkami.

Ostatnio w internetowych odmetach natrafił na kilkusekundowy filmik nakręcony smartfonem w wesołym miasteczku gdzieś w USA. Ogromna, przypominająca potwora huśtawka ciskała swe metalowe ramiona pod niebo. Jedno z nich się urwało, uderzyło w barierki i wyrzuciło grupkę pasażerów. Andrzej oglądał to nagranie parę razy, choć chciał odwrócić oczy. Widział, jak młody mężczyzna szybuje w dół, obracając się, niczym lotka do badmintona. Próbował się czegoś chwycić, ale dookoła miał tylko powietrze – już właściwie mu niepotrzebne. Tyle co na dwa ostatnie oddechy.

Nie miał dzieci, za to lubił swoich bratanków, im byli starsi, tym wydawali mu się ciekawsi. Oni też za nim przepadałi, zostawali na weekendy. Krótkie wakacje dla wszystkich – on i Julia mieli pożyczone dzieci, brat i bratowa pożyczoną wolną chatę, a chłopcy – pożyczone dwa dni w innym, trochę świątecznym życiu. Cieszył się, gdy przyjeżdżali, lecz nie odczuwał smutku, kiedy wizyta dobiegała końca.

Młodszy z nich, na tyle smarkaty, że wołał zdrobniałego „Klaudka” od oryginalnego „Klaudiusza”, przeżywał fascynację światem Kaczora Donalda. Czytał komiksy, kolekcjonował gadzety, popisывał się kolejnymi informacjami i nie myślał o tym, czy ta wiedza mu się do czegoś przyda.

Andrzej nie przepadał za Kaczogrodem z niezrozumiałych dla siebie powodów wracał do kreskówkowych fascynacji dzieciństwa, na przykład do „Flintstonów”. Zdarzało mu się ukradkiem oglądać odcinki tego serialu w internecie, choć nigdy do końca. Zrobiło się za późno. Przenosił się do Skalska, wiedząc, że jest gościem, którego już się nie zaprasza.

„Wujek, wiesz, że Babcia Kaczka umarła?” – spytał ostatnio Klaudek. Wpatrywał się w monitor laptopa. „Piszą takie rzeczy na Wikipedii? To chyba jakaś kaczka dziennikarska!”. „Nie, Babcia Kaczka. I umarła. Tu jest całe drzewo genealogiczne z Kaczora Donalda!”. Andrzej podszedł, przebiegł wzrokiem kolejne imiona przodków Sknerusa, automatycznie liczył lata życia. Kwarol Małutki zwany Waleczną Wątróbką. Zgrzyk McKwacz. Kaczencja O’Draka („W ostatnim liście

pisala *ostatnio jestem taka wyczerpana...* Może to znaczyć, że umarła śmiercią naturalną lub z wycieńczenia organizmu”^{*}). Hortensja McKwacz. „Jest siostrą Sknerusa McKwacza i matką Kaczora Donalda. Ostatni raz widziano ją, według Dona Rosy, w Kaczogrodzie w 1930 r., kiedy to po kłótni z bratem zdenerwowana opuszczała miasto, wywożąc ze sobą Donalda, jego bliźniaczką siostrę, Dellę, oraz męża i siostrę. Dalszy jej los jest nieznan, przypuszcza się, że zmarła (zginęła) w ciągu następnych 15 lat”. Pomyślał o słupach ogłoszeniowych i niewyraźnych zdjęciach opatrzonych wielkimi nagłówkami „zaginiony”. „Nie wiedziałem, że Kaczor Donald miał matkę”, powiedział. „Wujek, każdy ma!”, roześmiał się Klaudek. Nigdy nie zapytał o babcię. „Co za bzdury!”, „Wujek, co ty? Na Wikipedii jest też cała rodzina Barbie. Myszka Miki też jest. A wiedziałeś, że Minnie naprawdę nazywa się Minerva Mouse?”

Hortensja McKwacz zmarła (lub zginęła). Postaci z bajek nie powinny umierać. Babcia Czerwonego Kapturka została zjedzona, ledwie na chwilę, Śnieżka jakby pół-umarła na parę dni niczym Łazarz, matka Kopciuszka umarła na zawsze, ale to taka gotowa nieobecność.

Wrócił do rzeczywistości wraz z dźwiękiem smsa. Julia prosiła, żeby kupił pomarańcze. Zobaczył nadchodzący wieczór, Julię ucierającą imbir w moździerz, wyprute z mięszu, wymęczone pomarańcze, sokowirówkę pełną farfocli, którą przyjdzie mu umyć. Jego mama też czasem patroszyła pomarańcze z soku, miała dwuczęściowy wyciskacz i własne ręce. Po tem został już tylko sok z kartonika i nieużywany wyciskacz.

Skoro matka Kaczora Donalda zmarła (zginęła), zatem i jego musiało spotkać to samo. Może w którymś z komiksów będzie leżał już bez dymków wypływających z dzioba. Kiedys i Minnie umrze, a na nagrobku wyrują „Minerva Mouse” i nikt nie będzie wiedział, o kogo chodzi.

Pomyślał o „Flintstonach”. W Skalisku nie było cmentarza – chyba że funkcjonował gdzieś poza kadrem animacji. A gdyby umarł Fred? Przy jego tuszy i skłonności do pakowania się w tarapaty, to najbardziej prawdopodobne. Wyobraził sobie

Wilnę zmieniającą nieodłącznie białą sukienkę na ciężką żałobę, Betty bez chichotu, Barneya bez żartów. Może również zwierzęta pracujące – mamuty robiące za przysznice i odkurzacze, gryzonie pilujące paznokcie, skaczące do dawnych magli, uwięzione w prazmywarkach, ptaki wyjące niczym klaksony, krabopodobne kosiarki – byłyby smutne?

Czy żałoba w kreskówce przybrałaby inny przebieg? Zostałoby coś do powiedzenia? Krztusząca się płaczem Wilma siedząca w kuchni wśród nagle zimniejszych niż dotąd kamieni i skarżąca się głosem Małgorzaty Drozd: „Tak tu pusto! Ciągle czekam, aż on wejdzie i ryknie to swoje »Wilma!«”. „Och, Wilmo!”, odpowiedziałyby zupełnie bezradna Betty (Lucyna Malec). „Wydaje mi się, że to nie jest naprawdę. Że jesteśmy jak narysowani kilkoma kreskami, płacy i uproszczeni, że krążymy od rysunku do rysunku, aż wyczerpią się kartki”. „Och, Wilmo!”. Czy oni byli wierzący? Czy już wtedy istniał Bóg?

Przypominał sobie kolejne postaci z ulubionych bajek i wyobraził im śmierci.

– Pan Andrzej Topczyński?

Był wdzięczny za to, że coś się dzieje, że musi przejść tych kilka kroków do gabinetu, że wzrok odpocznie od ciepłej, sztucznej poczekalni, że istnieje poza nią jakiś inny sześcian pomieszczenia.

Gabinet – jak każde pomieszczenie w tej przychodni – był widny, schludny i obliczony na przytulność. Lekarz, chyba jego rówieśnik, z odległą zapowiedzią czterdziestki, był przystojny, emanował spokojną kompetencją.

– Przepraszam, że musiał pan czekać – zajął miejsce za biurkiem. – Mamy trochę poślizgu, to się zdarza we wtorki. W czym mogę panu pomóc?

Andrzej wręczył skierowanie jak list polecający. Wpadł w znany schemat pytań i odpowiedzi, element przychodniowego *savoir-vivre*’u. Słuchał rzeczowego głosu lekarza, miłego szmeru jego palców na klawiaturze. Łatwo się przyszło w tym umościć, uwierzyć, że istnieje absolutne zdrowie, wy-

rys. Bogna Skwara



starczy tylko się poradzić, zrealizować receptę („apteka informuje, że posiada tańsze odpowiedniki zapisanych leków”).

– Dobrze, więc dziś zbadamy panu brzuch. Proszę się położyć.

Skierował kroki w stronę kozetki. Ułożył się na świeżym podkładzie, rozpoczął manewry z dżinsami, swetrem, koszulką, podciąganiem, rozpinaniem. Czuł się jak nieboszczyk porzucony w trakcie ubierania do trumny.

– Jest pan gotowy? – Lekarz usiadł przy kozetce na taborecie obrotowym. – Teraz panu posmaruję brzuch, przez chwilę będzie zimno.

Było przede wszystkim lepkko. To kojarzyło się z głupimi dziecięcymi zabawami, które nigdy nie były warte takiego brudu, takiego wilgotnego dyskomfortu. Przypomniały mu się następne lata, samogwałt, brzuch mokry od jego spermy i poczucia winy. Odwrócił głowę. Facet jeździł sobie tą sondą jak chłopczyk samochodzikiem po dywanie imitującym autostradę.

– Niech pan oddycha swobodnie. Dobrze... Teraz głęboko – głos lekarza obezwładniał ciepłem, chciało się temu poddać, leżeć bez końca pod taką czułą melodią. – Teraz proszę nabrać powietrza i przytrzymać. Dobrze... znów swobodnie.

Dawno nie miał okazji, aby tak bardzo poczuć, że oddycha. Zasysał powietrze niczym cichy odkurzacz. Cały świat, ten, który go najbardziej obchodził, nie jakieś tam galaktyki, Słońca czy Wenusy, otulony był zimną powłoką powietrza. Można było po nie sięgać, jak po darmową wodę tutaj w poczekalni. Andrzej napełniał usta, a potem płuca i myśli, był cudownie pełen powietrza.

– Niech pan teraz wypnie brzuch, tak jakby pan nosił tam dziecko.

Posłuchał. Nie miał dzieci. Już nie miał ich mieć. Żadnych Karolów, Agnieszek, Franciszków. Trudno. Patrzył na okropny cielisty pagórek przed sobą. Lekarz był delikatny, gdy rozmazywał tę wstrętną mokrość na jego skórze.

– Proszę, niech pan się teraz obróci na prawy bok. Do pozycji embrionalnej.

– Może być tak? – Pomyślał o kotach, które wystarczy chwycić za kark, a wypełnia je na powrót dzieciństwo, wspomnienie matczynej troski. Robią się bezwolne i posłuszne.

– Bardzo dobrze. Proszę oddychać głęboko. Dobrze, teraz z powrotem na plecy. I głęboko.

Zakręciło mu się w głowie od tego oddychania.

Lekarz skupiał wzrok na ekranie, „pan Andrzej Topczyński” był dla niego przede wszystkim żołądkiem. On też próbował dostrzec obraz, ale mu się nie udało.

– Ma pan w sobie ciekawostkę anatomiczną. Rozbudowany płat ogoniasty wątroby.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Nie, po prostu jest – oznajmił z zachwytem pasjonata.

Andrzej pomyślał o więzi, jaka właśnie się między nimi rozciągała, tu, na kozetce, za pośrednictwem ultrasonografu. Julia, jego pierwsza żona, brat, mama, tata, wszyscy o nim coś wiedzieli, mieli na wyłączność pewne informacje. Teraz i lekarz dowiedział o nim dużo – to, czego Julia, Arleta czy jego brat nigdy nie mieli zobaczyć.

Straszna jest ta wiedza. Właściwe centrum człowieka pulsuje pod skórą. On – „pan Andrzej Topczyński” – nosi w sobie płujący sokami worek żołądka, w środku żyje też wątroba, jest tyle krwi, która płynie w ciemności jego własnego ciała – nawet gdy spał, gdy zapominał, że istnieje, że jest sobą. Wątroba, żołądek, trzustka, jelita, nigdy nie chciał tego widzieć (i lepiej, żeby nie zobaczył). A to w nim siedziało – ważniejsze od pomyłkowej miłości do Arlety i niepozabawionej rezygnacji miłości do Julii; od jego pracy, od tego, że nigdy nie został tłumaczem. Od wyobrażonych dzieci i od realnych bratanków. Od wesołych miasteczek, od mamy, od jej śmierci, od paragonu, który zaplątał się między zakupy.

Zdał sobie sprawę, że długo już nie słyszy kojącego głosu. Wzrok lekarza był wbity w jeden punkt na ekranie. W tych małych ciemnościach mogło się coś zczaić. Jakie obowiązują

tu standardy, kiedy lekarze muszą powiadomić o raku? Czy przepraszają za to, że przekazują takie wieści? Czy mają wypróbowane formułki, odbyli specjalne szkolenie „Jak powiedzieć pacjentowi, że umiera”? Czasami widział książki o walkach z rakiem, zapisy z blogów, wywiady, w notce biograficznej obok daty urodzenia data śmierci, nigdy ich nie czytał, jakby mógł się zarazić nowotworami przez lekturę. Czy będzie musiał przejść przez rezonans magnetyczny, dać się wtłoczyć do tej białej trumny pełnej nieznośnego hałasu i leżeć nieruchomo, nieruchomo, nieruchomo...?

Coś musiało być nie tak, skoro lekarz milczał i milczał, może nienawidził tej pracy, gdy musiał oznajmiać takie nowiny, myślał o innych zarzuconych drogach, ekonomii, prawie, ogrodnictwie. A może cieszyło go przyszpilenie pacjenta do konkretnej śmierci jak motyla.

„Pan Andrzej Topczyński” musiał pamiętać o oddychaniu („Teraz głęboko”). Arleta ocierająca wyimaginowaną łzę, Julia, naga pod prysznicem, nie tak piękna jak dawniej, ale to nie przeszkadzało. „Kupiłeś pomarańcze?”, „Mam raka”. „Co takiego? Co powiedziałeś?”. Raz grzebali któregoś ze starych wujków na wsi, babcia poszła z nim na cmentarz przed pogrzebem, „Jędruniu, to tu twój pradziadek, nie, prapradziadek leży, zmarł przed wojną, o tu”, a on spojrzął na kamienną płytę, nie próbował przeczytać zatartego już napisu, powiedział „aha” czy „uhm”, jeden z niepotrzebnych wyrazów, które tyle razy w życiu wychodzą z ust, rozglądał się obojętnie po drzewach, sąsiednich nagrobkach, po niebie. Hortensja McKwacz zmarła (albo zginęła), data śmierci nieznana, piętnaście lat to długo, nie da się tego w pamięci policzyć na dni, tyle jest do rozmnożenia, tyle do zsumowania! Tyle dni, które można odjąć i równie bezprawnie dodać! „Julia, usiądź, muszę ci coś powiedzieć”, „Czekaj, zaraz, tylko dokończę, już...”. Tamten mężczyzna cieszył się na wizyte w wesołym miasteczku, a potem spadał, spadał, spadał... Karuzela trzęsła się dalej, krzyczano, grała muzyka, dzieci jeździły na platformie w rozpedzonych samochodzikiem i, zachwycone, powodowały stłuczki (kiedyś, w dorosłym życiu, może to nie będą stłuczki, tylko śmiertelne wypadki, nic z zabawy). Jędrzek tęsknił za mamą. Lekarz milczał. W końcu poda mu kilka ręczników, wyda wyrok, a zanim zaprosi kolejnego pacjenta („Przepraszam, że musiał pan czekać, dzisiaj mamy poślizg”), wyrzuci podkład. Każdy ma w sobie płuca, wątrobę, śledzionę, żołądek, przyczajone potwory, które zrobią krzywdę tym, że kiedyś się nie obudzą. Może to lepiej dla człowieka, że wie, jak umrze i ile mu zostało czasu, już nie trzeba będzie czekać, zastanawiać się, jak to będzie, czy starość, czy samolot lecący w dół zamiast w górę, czy trzęsienie ziemi, czy szpital, czy samochód wjeżdżający na przejście dla pieszych i na nowy asfalt.

Gdyby mógł przerwać to milczenie, powiedziałby lekarzowi, że kiedyś pojechał do Niemiec i piasek zamieniał się w kwiaty, które tak łatwo można było przemienić z powrotem w piasek. Najchętniej rzuciłby swoje życie już teraz, na pięć minut przed wyrokiem, lekarz nadal milczał (a może nie ma żadnych nowotworów, żadnej przygotowanej śmierci?). Gdyby tylko znalazł drzwi!

Chciał wymknąć się do dawnej piaskownicy, małego Jędrka, ukryć się wśród efemerycznych wydm, kwiatów i ciast, na zawsze, na nigdy, schować misia Cocolino prosto z jego miękkiego, rozpachnionego uniwersum, powiedzieć mu: „Tak, misiu, świat właśnie taki jest, zaraz napełnimy foremki przyszłymi kwiatami, noc nie przyjdzie, niczego nie poczerni, nie wyiębi, nie przepoczwarzy, uśmiechnij się do mnie, zmruż oczka z błogości, bo przecież jesteś szczęśliwy”. Chciał zakopać się w jeszcze ciepłym piasku, zasypać się nim, zasypać, zasypać, zasnąć. ■

* https://pl.wikipedia.org/wiki/Klan_McKwaczów [dostęp on-line 23.02.2018] (następne cytaty również pochodzą z tego artykułu).

Z pamiętnika

WILHELM SZEWCZYK, z rękopisu opracował MARIAN KISIEL

Poniedziałek, 3 lutego [19]36.

W lesie już wiosna. Zielono, ćwierkliwie, trochę wprawdzie mokro, ale zdrowo. I pomyśleć, że to w pierwszej połowie zimy. W związku z podmuchami wiosny wzmogła się we mnie tęsknota za życiem harcerskim. Trzeba będzie nawiązać kontakt z Hałą^[1].

Wtorek, 4 lutego.

Była msza z okazji imienin Prezydenta RP^[2]. Garstka ludzi, pięć sztandarów i dzieci szkolne. A gdzie ta inteligencja, która zbiera pieniądze państwowe? Gdzież ci Polacy-krzykacze?

Książek jakoś ostatnio nie czytam. A bo i nie można odpowiednich dostać, a na byle jakie szkoda czasu. Trzeba chyba będzie wygrzebać coś mniej znanego z mej książki i odpowiednio przerobić.

Czwartek, 6 lutego.

Skończyłem dłuższą humoreskę *Moje dziesięć narzeczonych*. Jestem z tego dość zadowolony. Trzeba to jeszcze będzie trochę oszlifować i będzie dobre.

Sobota, 8 lutego.

Teraz bynajmniej nie jest wieczór. Daleko jeszcze do końca tego smutnego dnia. A taki głupi nastrój mnie przed chwilą ogarnął. Coś mnie ścisnęło za serce, coś położyło płachtę na oczy, coś ścisnęło mi mózg, a to wszystko krzyczało: będziesz miał smutne życie. Zwróciłem się ku przeszłości. Przeglądałem ją oczyma prawie dojrzałego człowieka. Po raz nie wiadomo który stwierdziłem prawdę określeń „górna i chmurna”. Było smutno. Naprawdę smutno. Przeszedłem tyle burz, tyle smutnych powikłań. Zestarzałem się przedwcześnie. Czuję, jakbym już przeżył nie 18, ale 80 lat. A jednak muszę być sławny. Muszę!!! Jakbym nie dopełnił bez tego miary mego życia. Byłbym człowiekiem, który musiałby jeszcze raz cierpieć i kochać (świat). Trudno mi to przeżyć teraz. A potem jeszcze raz i w gorszych warunkach?... Nie. Bóg mi pomoże, świat też (choć nań właściwie nie liczę), a ja osiągnę pełnię swej całkiem indywidualnej osobowości.

Przeczytałem dziś bardzo ciekawą rzecz: *Szkice* Adama Szymańskiego^[3]. Zbiór dziesięciu nowel sybirskich zesłańca polskiego. Ogólnego wrażenia nie da się dokładnie określić. Idea tych prostych, a jakże pięknych opowieści jest nieuchwytna, powiedziałyby, ściśle duchowa.

Nostalgia jest przedstawiona ładnie i plastycznie, za pomocą wizji ojczyzny. W świetle słów Szymańskiego, ludzie są, o ile nie dobrzy, to w każdym razie – ludźmi, ludźmi ze wszystkimi swymi smutkami i radościami, cnotami i grzechami. Zbrodnie są uzasadnione. Ale kara jest konieczna. Wyłamanie się spod tego prawa ściąga gniew boży. Podanie się woli bożej jest koniecznym dopełnieniem żywota. Koniecznością surową. Też i konsekwencje, następujące po wyłamaniu się spod jakiegoś prawa, są „koniecznością surową”. – Piękny obraz nostalgii mamy w psychologicznym opisie skamieniałej twarzy martwego Bałdygi i w pomarszczonej twarzy Żyda Srula z Lubartowa.

Szymański jest dobrym psychologiem. Rozmowa z Żydem, postać Mazura Macieja z jego gwarową opowieścią

– to momenty, które na zawsze zostają w pamięci. I to wystarczy, aby pokochać te *Szkice*. A nie są to jedyne szkice życia na wygnaniu, są to również szkice powstania. Nie-domówione przesłanki, kontury jakiegoś, lekkie szkice ostatniego powstania. Przebija się ta nuta w każdym słowie, w każdym geście, przewija się ta nić w każdym niewinnym porównaniu, wziętym z natury. I to jest drugie piękno tych szkiców. Szymański porwał wszystkich na długi przed Sieroszewskim.

— — Na marginesie pewnego opisu przyrodniczego zrodziła się we mnie myśl, która się wprawdzie nie wiąże bezpośrednio z omawianą książką, ale świadczy o wielkiej wrażliwości autora na procesy zachodzące w świecie. Mianowicie: jakieś zjawiska, które są następstwem jakiegoś faktu, lud uważa zawsze za przyczynę tegoż.

Powieści dalej nie kontynuuję. Odpadła mnie od niej na razie chęć. Może dlatego, że napisane już fragmenty zdradzają, jak doty[ch]czas, dużo wpływów? A może one za mało mnie podniecają do dalszej pracy?

Niedziela, 9 lutego.

A więc powracam po roku przerwy do pracy harcerskiej. Mam zorganizować drużynę w Bełku. Trzeba się będzie zabrać do pracy. Chociażby tylko zrehabilitować się za niesłuszne zresztą zawieszenie.

Poniedziałek, 17 lutego.

Człowiek jest czasem taki leniwy. Nie chce się nawet jeść z lenistwa. To bardzo ciekawy objaw dla fizjologów, psychologów itp.

A w sobotę załatwiłem ostatecznie sprawę pierwszej zbiórki w Bełku. Rozmawiałem z kierownikiem szkoły p. Janeczką. Młody to jeszcze pan, ale już bez ideału. Człowiek-maszyna. Wykonuje czynności, bo musi. Z własnej inicjatywy na pewno nic mi w szkole, ani tym bardziej na terenie wsi – nie uczyni.

Czuję nad sobą tupot nóg. To u Baranowskich odprawiają odprawiny po wczorajszym weselu.

Jest nuda. Ogień huczy pod piecem, za oknami wyje wiatr, z góry dochodzi pieśń na pół pijanych weselników: „Schön ist die Jugendzeit...”^[4] Smutna, rozrzewniająca piosenka. Do pokoju zaraz spłynie melancholia. Marzę — —

Tęsknota. Stęskniony. Utęsknienie. Tęskny. Zatęsknić. Wytęsknić — — —

Środa, 19 lutego.

Dowiedziałem się smutnej wieści. Helci zmarła matka. Biedna dziewczynka. — — Już poprzednio była zawsze smutna, jakby przeczuwała nieszczęście. A teraz chyba cały świat straci dla niej urok. Wysłałem bezzwłocznie moje najszersze kondolencje.

Zwiastunem tej smutnej wieści był Fojcik.

Wysłałem dziś również odpowiedź na list Tei. Ciekawym, czy w ogóle odpowie na mój „bezczelny” list.

Czwartek, dn. 20 lutego.

Był u mnie Pyzik^[5]. Mieliśmy prawdziwą godzinę „obiadu czwartkowego”. Dużo gadaliśmy, naturalnie, o literaturze.

Otóż – cóż sądzi on o *Zmorach* Zegadłowicza^[6]?

– *Zmory* są dobrym dokumentem chwili. Taka jest szkoła – powiedział.

– Taka nie jest szkoła – odparłem. – Nie odmawiam *Zmorum* artyzmu, ale zawsze to tylko „artystyczne świństwo”.

Rozpoczęła się długa dyskusja, zakończona ostatecznie moim zwycięstwem, gdyż okazało się, że Pyzik zna *Zmory* z... recenzji.

Nie omieszkał mi również zadeklamować Horacego. Obecnie zabiera się do tłumaczeń Ajschylosa.

Ja mu odczytałem dwa fragmenty mojej powieści. Określił je jako konwencjonalne, czemu nie przeczę. Uważam jednak, że z chwilą posuwania się akcji naprzód, konwencjonalizm ten znika. Raczej jest coraz większy wpływ współczesnych.

Zrobiliśmy sobie przyrzeczenie, że jeżeli kiedykolwiek który z nas coś wyda drukiem, zaraz będzie się starał drugiemu daną rzecz przesłać.

Fojcik, ten drań, miał mi przynieść *Twaina* i nie przyniósł.

Piątek, 21 lutego.

Miałem pierwszą zbiórkę w Bełku. Zapisało się 30-tu chłopców.

Sobota, 22 lutego.

Nastrojony pięknem dzisiejszego zimowego wieczoru, napisałem pierwszy po rocznej przerwie wiersz. Jest niezbyt wyrazisty, ale trudno. Oto on:

Jest chwila późnym, zimowym wieczorem,
gdy grad swój werbel na szybach wybija,
gdy wiatr się zatknie w dziwnie smutnym szumie,

– dusza wytęskni wtedy nowe życie,
rozplecie przyszłe wieki na długie,
piękne lata
i będzie śnić o czymś, lepszym bycie,
będzie się chciała z całym światem bratać,
gdyż...
gdyż –
– ulegnie złudzeniu zimowego wieczoru
i tylko
kupą wspomnień ułożyć się na
granicy życia

tak
jak
księżyc, zagląający w ciemną kartę boru.

Poniedziałek, 24 lutego.

Deszcz, deszcz...

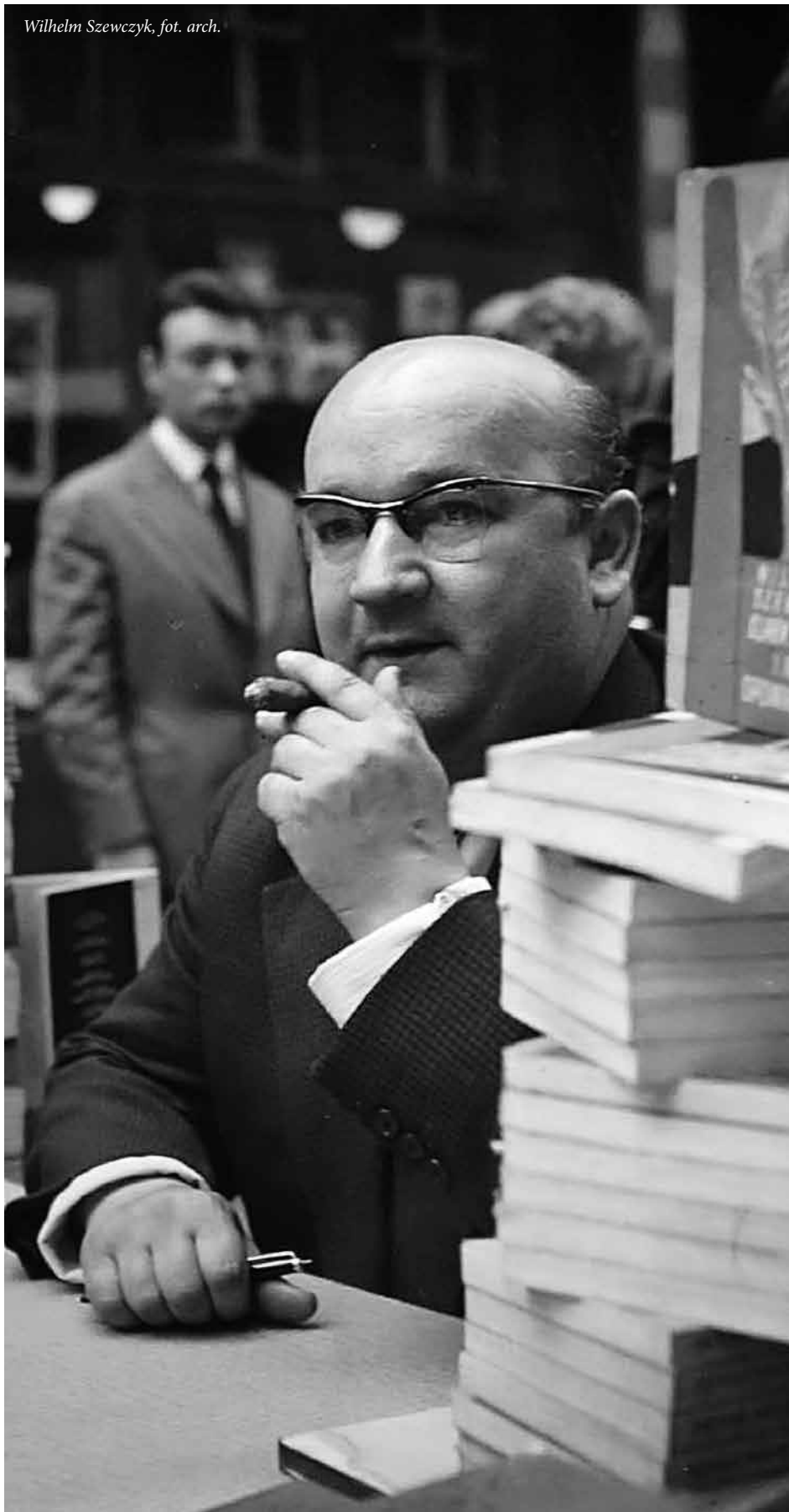
I dlatego wczoraj siedziałem w domu, nudząc się. A dziś poszedłem do sakramentów św. Był już czas. W ogóle inaczej się człowiek po tym czuje. Nie ma już wtedy takich czarnych myśli, jakie na przykład miałem wczoraj.

O, tak! Po przeczytaniu „*Kuriera*”^[7] dostałem takiej niechęci do życia, do nauki i w ogóle do wszystkiego, co się obdarza czasownikiem egzystować lub wegetować,

że myślałem, jakby najłatwiej i najprędzej skończyć. Więc było o doktorach, którzy zostali zamiataczami ulic i milionerach, którzy powrócili do swej dawnej roli, czyścicielami butów. Jakby człowiek miał się tym wszystkim przejmować, toby zwariował. A jednak się przejąłem.

Napisałem coś ciekawego. Coś na wzór „psychologicznych reportaży” Marinettiego^[8]. Zatytułowałem to *Nuda!* Wykończyłem również odpowiedzi na konkurs „Gościa Niedzielnego”. Sądzę, że mi się udały.

Wilhelm Szewczyk, fot. arch.



Czwartek, 27 lutego.

Zabrałem się porządnie do nauki. Czas ucieka, a termin matury się zbliża. Przede wszystkim przerobiłem etykę katolicką. Są to zresztą bardzo ciekawe rzeczy.

Poniedziałek, 2 marca.

Wiosna!? Szpaki mnie budzą z rana, wieczorem wieje przyjemny wietrzyk. Spaceruję już nawet bez czapki. Tej zimy to w ogóle nie było zimno. Wieczna jesień i wiosna zarazem unoszą się nad światem.

Wtorek, dn. 10 marca.

Przeczytałem książkę Stanisława Grabskiego pt. *Rzym czy Moskwa*^[9]. Autor był obecny w Rosji w czasie pamiętnego przewrotu **bolszewickiego**. Bardzo ciekawa jest historia przeobrażenia się socjalizmu w bolszewizm. A więc za czasów rządów Kiereńskiego^[10] socjalizm podzielił się na dwa obozy: na umiarkowanych, zwanych z rosyjską „mniejszewiki” (w mniejszości) i skrajno-radykalnych „bolszewików” (*bolsze* – więcej). Rozpanoszeniu się bolszewizmu winien sam rząd Kiereńskiego, za zbyt tolerancyjny. Społeczeństwo zniechęcone do rządu, zachowało się w stosunku do komunizmu biernie.

Autor omawiając następnie „moralność” komunistycznego państwa i jego stosunek do religii („albo my – albo Bóg”), konkluduje, że naprzeciw siebie stoją dwa światy: komunistyczny świat nienawiści, bezbożny, bez moralności i świat chrześcijański. „I jeden z nich musi zwyciężyć. A na granicy między nimi jest Polska. Gdyby zwyciężyła nad Rzymem Moskwa – zginie przede wszystkim Polska”. Podawszy tę przestrożę, autor omawia „forpocząty bolszewizmu”, do których przede wszystkim zalicza zamach na świętość małżeństwa i rodziny. Kończy swą niezwykle interesującą książkę omówieniem sposobów obrony przed wciskającą się wszędzie propagandą komunistyczną.

Czwartek, dn. 12 marca.

Po całej serii wesołych, słonecznych dni nastąpił dzień smutny, ochlapany deszczem — — —

W takim dniu to warto siedzieć przy oknie i czytać Konopnicką. Rzeczywiście jej poezja zasługuje na bliższe poznanie. Przecież to prawdziwe klejnoty. Taki *Romans wiosenny* to poemacik-cacko. Przyroda, miłość, tęsknota – stworzyły tak różnorodną skalę uczuć, takie bogactwo wrażeń, że można czytać kilka razy to samo i być za każdym razem nasyconym.

Właśnie czytam drugi tom jej zbiorowego wydania^[11]. I przyznaję wielką wnikliwość i prawdę słowom:

Życie — jak woda. Kto z cichego źródła
Drobną czareczką^[12] nabiera napoju,
Temu ust żary słodki gasi trunek,
Jako błękitów pełen pocałunek.
Lecz kto zapagnie choć raz pić z głębiny,
Kogo porywa huk morza, zmierzch siny,
Potężne wzloty i nagłe omdlenia
I czar przepaści i wiry i drżenia,
Kto całą piersią, gdy ogień ją pali,
Chce do burzliwej, jak sam, przyłgnąć fali
I pić otchłani napój tajemniczy,
Ten pian ma pełne usta i goryczy.

Piątek, dn. 13 III 1936 r.

W dni smutne, zachmurzone lubię stawać przed lustrem, fosforyzującym wielkim prostokątem w ciemnym pokoju. Wtedy z powykęcanych i dziwnie rozmazanych rysów ciała można odczuć istotę duszy. Zdaje się, że to jest jedyna jej fotografia, oczywiście uzupełniona niezdrową wyobraźnią.

Co to jest śmierć? Śmierć to jest sen. Ułożyć głowę na łokciach, oprzeć ją na stole i starać się myśleć o śmierci. Nastąpi od razu sen. Bo sen to jest tyle, co śmierć. Tylko ze snu człowiek budzi się po to, aby jeszcze dużo, dużo razy umierać, a po śmierci człowiek budzi się po to, aby gdzie indziej zwyciężać. A śmierć sama w sobie? Nic strasznego. Największa rozkosz na ziemi. To jest po prostu ostatnia rozkosz fizyczna. Chociażby nawet człowiek umierał w bólach, to w perspektywie swego przyszłego życia, śmierć wydaje mu się rozkoszą. Bo tam może iść na wieczne potępienie.

Sobota, 14 marca.

Dostałem list od Tei. Pisze mi, że wagaruje bardzo często, bo **kieruje** się zasadą: „używaj życia, pókiś młoda”. Nie wie na pewno, że prześcignąć życie, to znaczy – śmierć. A śmierć to ostatnia fizyczna rozkosz.

A życie? Trudno na to odpowiedzieć. Istotę życia zgłębia się przez ciąg całego życia. Bo życie można zmierzyć tylko życiem. I dlatego mogę jedynie, według Konopnickiej, mówić:

I wiem, że wiecznie, wśród istnień gromady,

Z okiem utkwionym w dalekim błękanie,

Stać będzie człowiek samotny i blady

Pytając: co to jest życie?^[13]

Czwartek, 19 marca.

I już nie ten dzień, co ubiegłego roku. Wtedy były obchody, defilady, manifestacje, a dziś? Dziś w kościołach tylko zebraliśmy się, by złożyć hołd imieniu Tego Wielkiego Człowieka^[14]. Przed rokiem jeszcze On sam był wśród nas, a dziś jesteśmy tylko świadomi obecności Jego ducha. Ale to jest ważniejsze. Duch jest nieśmiertelny. Duch Jego będzie wiecznie żył w naszych sercach.

Zwykle w dniu św. Józefa był deszcz. Pamiętam, że po każdorazowym obchodzie w Rybniku przyjeżdżałem do domu zmoknięty. A tego roku było słońce. Była prześliczna, wiosenna pogoda.

I pomyśleć, że Go już nie ma....

Wtorek, 24 marca.

Odprowadzałem Pyzika. Zaczęliśmy dyskutować na temat współczesnej poezji.

On twierdził:

– Współczesna poezja jest niezrozumiała. Jest to jakoby jakieś „tabu” dla naszego umysłu.

– Niezrozumiałość tkwi w nas. Doszukujemy się w wierszach konsekwentnie logiki, dochodząc w tym aż do nieдорzecznosci. Inna rzecz, że ta – pozorna zresztą – niezrozumiałość leży w wielopłaszczyznowości współczesnych wierszy.

– Ech, cała poezja współczesna jest poważnym nieporozumieniem; bynajmniej nie dostosowała się do naszego charakteru. Polak – to sangwinik. Po co się oglądamy na obce wzory. Nie wytworzyliśmy żadnego większego prądu, który by wyszedł z gruntu naszej słowiańskiej psychiki. Klasycyzm, romantyzm, futurizm, ekspresjonizm i inne „izmy”, to wszystko było obce. Nie ma nic naszego. Dlatego, pisząc o robotnikach, o razu mówimy o wyzysku, o tuczeniu się kapitalistów krwawicą robotniczą?

Szczególnie tym ostatnim słowem przyznałem zupełną rację.

Czwartek, 26 marca.

Chemia.

Chemii.

Chemii.

Chemię.

(o) Chemio!
(w) Chemii(ę)
(o) Chemii.
Uczyłem się. Trzeba.

Sobota, 28 marca.

Wziąłem kapelusz. Ubrałem palto. Wyszedłem. Głowa pałała mi. W piersiach czułem duszność.

Niebo było zachmurzone. Wiał ostry i mroźny wiatr. Wyginał rondem kapelusza. Wcisnął się za kołnierz. Trzepotał niezapiętym płaszczem jak chorągwią.

Drzewa nagie jeszcze i smutno znaczące się przy drodze – odmierzają mi spacer na krótkie etapy. Stawałem, co chwilę. Myślałem o czymś przykrym. I znów dążyłem dalej.

Chodziłem tak długo...

Długo — —

Strasznie długo będę taki, jaki byłem dzisiaj. Całe życie. Długie życie. Bo będę miał smutne życie. Osmętnione jakąś wieczną tęsknotą, jakimś wiecznym pragnieniem, jakimś strasznie naiwnym marzeniem. I to będzie moje życie.

Dziś. Właśnie dziś wryła się w moją duszę ta ścieżka prowadząca ku temu życiu, pełnemu smutku. Jest skalista, ostra. Dobre uczynki muszą jej się czepiać mocno z obliczeniem każdego kroku. A złe będą po niej spacerować jak muchy. Dobre uczynki będą mieć drogę uciążliwą, cel, czyli to życie doczesne będzie smutne. Złe uczynki również będą dążyć do tej *summa summarum* smutnej dali, ale będą ją oglądać w perspektywie przyjemnej, pełnej uciech i rozkoszy, drogi.

Którą drogę wybrać?

Wielki Piątek, 10 IV, godz. 6-ta.

Obudziłem się o piątą w niebywale pogodnym nastroju. Zbudził mnie właściwie kolega.

– Wstowej myć się do rzeki.

Matka naturalnie przycisnęła dekret^[15], że to się należy, że bez tego nie ma odpuszczenia grzechów, więc uległem.

W Bierawce pluskały się przeważnie małe dzieci. Trochę dziewcząt i chłopców. Stare baby już tu podobno o piątej były, bo, według wierzeń ludu, czym prędzej, tym łatwiej idzie o odpuszczenie grzechów.

A teraz trzęsę się z zimna. Brrr... Woda była cholernie zimna.

godz. 11-ta.

Targ był przepełniony ludźmi. Studenci oraz urlopowani żołnierze potworzyli charakterystyczne grupki, krytykując przechodzące panienki.

A w kościele jest smutno. Ostrzymno^[16] jak na nowym cmentarzu. Tabernakulum rozdarte na oścież, jakby splądrowane przez złodziei. I prawda, bo grzechy [to] największy i najbezpieczniejszy złodziej. Kradną ludziom łaskę bożą oraz wszystko, co jest dobre i wzniosłe.

Sobota, 18 kwietnia.

Zimno. Wiatr. Deszcz. —

Głupio. Nuda. Ból. Zdenerwowanie. — — —

Wiatr.

Kroki. — — — —

Wiatr: HUUU – Fiii.

Kościół. Modlitwa. Szept. Szept. Szept. Serce.

Drzwi. Wiatr. Drzewa. Drzewa. Zimno. Płaszcz. Kapelusz. Wiatr. Pustka. Pola. Serce. Żal. Ból. Pustka. Pola. Wiatr. — —

Wiatr. Wicher. Burza. Płaszcz. Kołnierz.

Woda. Kroki. Szybko. Kroki. Woda. Buty. Woda. Wiatr. Burza. Woda.

Złość. Przekleństwo. Ciemno.

Kroki. Człap – Człap – Woda. Wiatr. HUUU – Fiii.

Burza. — — — —

Kroki. Złość. Dom. (Wiatr. Woda). Strugi. Sień. Schody. Pokój.

Cicho. Głupio. Nuda. Żal. Ból. Zdenerwowanie.

Okno. – Wiatr. Deszcz. Ciemno.

Niedziela, 19 kwietnia.

„Wierzę w Piękno, gdy[ż] jest szlachetnym Tworem Boga” – tak napisałem w dzisiejszym liście do Helci. W ogóle cały list to jeden wielki manifest miłości.

Sobota, 24 kwietnia.

Nie ma posady. Urząd Wojewódzki odpisał. Nie ma! Psia-krew!!! Żeby was diabli wzięli! Nie ma, bo nie mam protekcji, bo mój ojciec jest tylko biednym górnikiem, a ja jestem Ślązakiem. Rozumiem. Na moje miejsce przyjeździe już dziesięciu goroli. — — —

I za co mnie karzesz, Boże?!

Przypisy

^[1] Podharcemistrz Józef Hała był komendantem Hufca Knurów; zob. *Harcerstwo śląskie 1920–1930*. Katowice 1931, s. 52. Rozkazem Naczelnika Harcerzy, hm. Antoniego Olbromskiego, z dnia 1 grudnia 1936 r., dalej pełnił tę funkcję już jako harcistrz; zob. „Wiadomości Urzędowe” [Naczelnictwa ZHP] 1937, nr 1, s. 5.

^[2] Chodzi o Ignacego Mościckiego (1867–1946), prezydenta II RP w latach 1926–1939.

^[3] Adam Szymański (1852–1916), prawnik, pisarz i publicysta. Za działalność antycarską zesłany na Syberię. Autor dwutomowych *Szkiców* (1887–1890), opowiadań o życiu zesłańców syberyjskich, uznanych za książkę generacyjną. *Szkice* zostały przetłumaczone na wiele języków, wychodziły też w wersji krótszej.

^[4] (*niem.*) Piękny jest czas młodości.

^[5] Zdzisław Pyzik (1917–2000) poeta, autor piosenek i słuchowisk. Syn kierownika szkoły siedmioklasowej w Leszczynach, kolega Szewczyka z rybnickiego gimnazjum.

^[6] Utwór Zegadłowicza ukazał się w roku 1935 i wywołał wielką burzę literacką i społeczną.

^[7] „Kurier Warszawski”, gazeta codzienna związana ze Stronictwem Chrześcijańsko-Narodowym, popularna wśród urzędników i inteligentów. Jego ostatnim redaktorem był Konrad Olchowicz (1894–1978).

^[8] Filippo Tommaso Marinetti (1876–1944), poeta włoski, jeden z twórców i teoretyków futuryzmu.

^[9] Stanisław Grabski (1871–1949), pisarz, polityk endecki. W *Rzymie czy Moskwie*, Księgarnia św. Wojciecha, Poznań [i in.] 1927, wypowiedział zdanie, że „warunkiem koniecznym utrzymania odzyskanej niepodległości jest zwycięstwo w duszy ludu polskiego Rzymu nad bolszewicką Moskwą” (s. 144).

^[10] Aleksandr Kiereński (1881–1970), polityk rosyjski, w 1917 r. premier rządu tymczasowego, obalonego przez bolszewików.

^[11] Zob. M. Konopnicka, *Poezje. Wydanie zupełne, krytyczne*, oprac. J. Czubek, t. 2, Nakład Gebethnera i Wolfa. Warszawa [i in.] 1915.

^[12] W pamiętniku Szewczyka jest: „cząsteczką”. Cytat z wiersza *Fragmenty*, w powyższym wydaniu na s. 198–199.

^[13] Tamże, t. 1, s. 102.

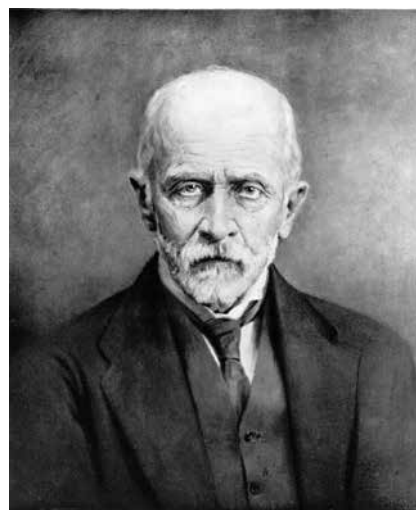
^[14] Chodzi o Józefa Piłsudskiego (1867–1935), Naczelnika Państwa, którego imieniny obchodzono 19 marca.

^[15] Tu w znaczeniu: pouczała.

^[16] *Ostrzymno* – ‘strasznie’, niesamowicie’. Dialektyzm z okolic Radlina-Biertułów, odnotowany w kartotece *Słownika gwar polskich (Ostatni – Oszczędność)*, poz. 2196; <https://rcin.org.pl/dlibra/publication/37774/edition/22036/content>) jako ‘ostrzymno’: *Zrobiło mu się ostrzymno. Tam było tak ostrzymno*. Użyty przez Szewczyka m.in. w *Pasjach strasburskich* (Idem, *Posągi*, Katowice 1945, s. 40) i w eseju *Nanker* („Odra” 1946, nr 8, s. 1). Przywołał go również Jan Baranowicz w *Balladzie o starym Lompie i lipie woźnickiej* („Wieś” 1947, nr 33, s. 3).

Leon Piniński i jego wizja miasta

ANTONI WILGUSIEWICZ



Czym Central Park dla Nowego Jorku, tym Ogród Jezuicki dla Lwowa. Porównanie brzmi dość zuchwale, ale – jak sądzę – nawet mieszkańcy amerykańskiej metropolii po przyjeździe do Lwowa zgodziliby się z tą tezą. Na obu krańcach tego Ogrodu (zwane go w II RP Parkiem Kościuszki, a obecnie Parkiem Iwana Franki) leżą budowle związane z postacią Leona Pinińskiego, jednej z najbardziej zasłużonych osobistości, a jednocześnie symboli Galicji, którą zresztą przeżył o 20 lat. Od wschodu jest to ogólnie znany budynek dawnego Sejmu Krajowego Galicyjskiego, po likwidacji Galicji oddany na siedzibę Uniwersytetu, który mieści się tam do dziś (choć swego patrona z Jana Kazimierza zmienił na Iwana Frankę). Piniński związany był z tym gmachem i jako czołowy galicyjski polityk i jako profesor prawa, a nawet rektor UJK. Gdy przejdziemy Park w kierunku zachodnim (można to zrobić także graniczącymi z nim ulicami – dawniej – Mickiewicza od północy i Kraszewskiego od południa) dojdziemy do ulicy Matejki, gdzie mieści się okazała willa, ongiś własność rodziny Pinińskich. Jest to jedna z arystokratycznych siedzib Lwowa, z których najbardziej znaną i zarazem największą jest Pałac Potockich przy ulicy Kopernika – jego właściciel Andrzej Potocki był tym, który zastąpił w 1903 roku Pinińskiego na stanowisku Namiestnika Galicji (przyjął zresztą pełnienie tej funkcji życiem, o czym pisałem w poprzednim numerze Śląska). Mniej znaną,

choć bardzo istotną stroną działalności Pinińskiego była szeroko rozumiana historia sztuki – był zresztą, jak inni galicyjscy arystokraci kolekcjonerem obrazów, z których 350 ofiarował dla odnowy Wawelu; obdarował także lwowskie Ossolineum. Z tą sferą związaną jest praca „Piękno miast i zabytki przeszłości” (1912), pięknie wydana przez lwowską Księgarnię Altenberga i warszawską Wendego, z licznymi ilustracjami, wydrukowana w lwowskim Ossolineum. Na podstawie tejże pracy, w której posiadanie udało mi się niedawno wejść, chcę przedstawić poglądy Leona Pinińskiego na miasto jako wytwór ludzkiej cywilizacji, poglądy, które oddają stan wiedzy i wyobrażeń na ten temat w czasach belle époque, niedługo przed katastrofą I wojny światowej.

Objętość pracy nie jest duża, gdyż – jak to wyjaśnia we Wstępie autor – jest to treść wykładu publicznego, wygłoszonego we Lwowie 20 listopada 1911 roku na zaproszenie Towarzystwa upiększenia miasta; stanowi zatem nie naukowe studium, lecz rodzaj manifestu poglądów autora na sprawę zabytków miejskich w czasach mu współczesnych. Dla równowagi broszurę zaopatrzoneo w liczne, dziś już archiwalne fotografie najciekawszych z punktu widzenia zabytków architektury miast europejskich, jak Norymberga, Carcassonne, Sevilla, Brugia czy miasta angielskie – York, Oxford, Cambridge, Edinburgh, a także miast polskich, przede wszystkim Krakowa i Lwowa.

Chcąc ogólnie scharakteryzować poglądy autora na sprawę zabytków, trzeba powiedzieć, że jako klasyczny konserwatysta społeczny i polityczny i w tej dziedzinie zajmuje postawę bardzo zachowawczą. Ideałem jest dla niego miasto średniowieczne z dwoma dominantami – kościołem i zamkiem (murami obronnymi). Za barbarzyństwo uznaje on modne na początku XIX wieku burzenie murów, baszt itp. miejskich budowli obronnych – nieraz pozostawiono z nich tylko resztki (jak np. w Krakowie czy w Kolonii), co jednak w zestawieniu z otaczającą je nowoczesnością daje efekt przygnębiający. Piniński rozumie oczywiście prawa rozwoju gospodarczego, wyrażające się w budownictwie nowych dzielnic, ale jego zdaniem w zupełności dałoby się je pogodzić z istnieniem centrów (starówek) miast w ich historycznym kształcie. Dlatego też ideałem są dla niego takie miasta, jak Norymberga w Niemczech czy Brugia w Belgii, gdzie dawne budownictwo zachowało się praktycznie w całości. Współczesne miasto przedstawia jako zdegenerowane przez złe rozumianą demokratyzację, próbę dorównania przez inwestorów nowych domów czynszowych dawnym pałacom poprzez liche, nietrawne, tandetne ozdoby, które szybko niszczej – celują tu jego zdaniem twórcy stylu „tzw. nowoczesnej secesji”. Jeżeli tego rodzaju próby upiększania miasta mogą mieć miejsce, to jedynie w nowych dzielnicach, a nie poprzez niszczenie piękna dawnych. Za źródło oszpecania miasta uważa autor także wystawy sklepowe, mające przechodniów „brzydka pstrokacizną”; jeszcze gorsze od nich są reklamy: „...pominąwszy ich trywialność i brzydotę, nic nie daje tak smutnego świadectwa o braku inteligencji i o łatwowierności rodu ludzkiego, jak właśnie nowoczesne reklamy i anonse. Prześcigają je chyba tylko polityczne plakaty wyborcze!”. Przez wszystkie te działania dawne, pełne historycznego piękna miasta europejskie zostają sprowadzone do poziomu Melbourne, które to miasto zdaniem autora jest prawdopodobnie symbolem brzydoty i tandety współczesnej mu epoki industrialnej.

Zdecydowanie negatywnie autor ocenia także historyzm, czyli naśladowanie stylu klasycznego (antycznego), a potem neogotyku czy neoromanizmu, modne w architekturze XIX wieku. Najlepsze nawet naśladownictwo jego zdaniem to tylko „praca rzemieślnicza” zabi-

fol. Antoni Wilgusiewicz



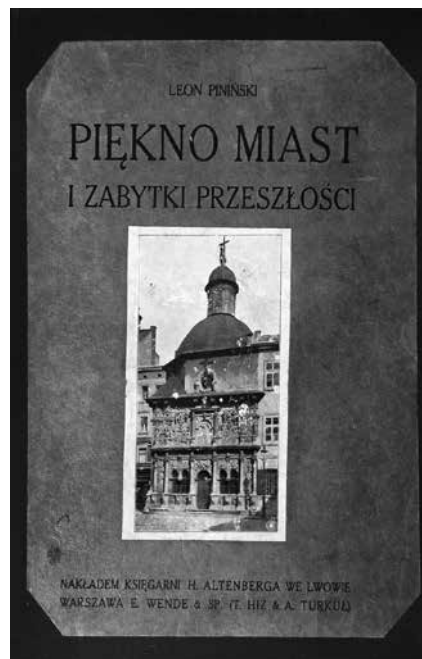
Willa Pinińskich

jająca twórcze podejście do sztuki, będące jej sensem. Podobnie negatywnie ocenia on dążenie do przywrócenia kościołom gotyckim „stylowego wnętrza” przez usuwanie i niszczenie nagromadzonych tam dzieł sztuki renesansu i baroku. Paradoksalnie zostały one zachowane w krajach biedniejszych, jak Hiszpania, a w Wiedniu w katedrze św. Szczepana, gdzie austriacki minister skarbu Julian Dunajewski, zresztą także Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, poskąpił środków finansowych na kosztowną zmianę wystroju wnętrza świątyni.

Jeśli chodzi o Polskę, bardzo krytycznie Piniński ocenia renowacje zabytków Krakowa, jak Katedra Wawelska (gdzie występuje zjawisko określane przez niego jako „gotyk kamiarniany”) czy zwłaszcza prace Wyspiańskiego w kościele OO Franciszkanów, tak dziś cenione i podziwiane. Jego zdaniem byłyby one odpowiednie do jakiegoś pawilonu ogrodowego, a nie starożytnego wnętrza kościelnego. Jako sukces przedstawia natomiast uchronienie Barbakanu od umieszczenia w nim Panoramy Grunwaldzkiej, proponowanej przez autorów Panoramy Racławickiej, zachęconych powodzeniem teje w społeczeństwie polskim. Jest też gorącym zwolennikiem terenów zielonych w centrum miasta jak i na jego peryferiach, takich jak wspomniany Ogród Jezicki czy założony później Park Stryjski (Park Kilińskiego). Ubolewa, że część tych terenów jest zabudowywana przez żądnych zysków kamieniczników wysokimi, zasłaniającymi widok na miasto budynkami. W szczególności obawia się o los Wzgórza św. Jura oraz Cytadeli, która miała być oddana miastu przez armię austriacką – jak dziś wiemy, oba te wzgórza zostały ocalone od losu, który przepowiadał im Piniński. Podobnie jak w krakowskich, tak i we lwowskich kościołach dokonywano zmian, które na ogół nie przypadły mu do gustu, jak w kościele Dominikanów czy też podczas „regotyżowania” katedry łacińskiej, kiedy to bezpowrotnie zniszczono portrety królów polskich na prawej ścianie prezbiterium.



Grobowiec Pinińskich



Dużo zła poczyniły też nowe budowle zlokalizowane obok dawnych zabytków, jak np. budynek Towarzystwa Dniester (z charakterystycznym wzorem ludowym na fasadzie) tuż obok bezcennej Cerkwi Wołoskiej.

Trudno dziś, z perspektywy ponad 100 lat, jednoznacznie odnieść się do poglądów Leona Pinińskiego na traktowanie zabytków architektury we współczesnym mieście. Z pewnością aktualne jest stwierdzenie, że należy uznać dorobek przeszłych wieków w myśl zasady „lepsze jest wrogiem dobrego”, a źle rozumiana nowoczesność i dawniej, i dziś jest przyczyną wielu bezpowrotnych nieraz strat cennych zabytków kultury i sztuki. Uwagi o kamienicznikach (dziś powiemy: deweloperach) stawiających budowle nastawione wyłącznie na zysk kosztem krajobrazu miejskiego czy terenów zielonych także brzmią bardzo aktualnie. Zabudowa tzw. plomb w sposób tworzący dysonans z historycznym otoczeniem jest poważnym problemem może nie tylko w Polsce, ale w Ukrainie (np. we Lwowie), gdzie umożli-

wia ją panosząca się korupcja. Bez komentarza można też pozostawić sąd autora na temat wystaw sklepowych, reklam czy propagandy wyborczej.

Oczywiście, trudno nam pogodzić się z negatywną oceną wystroju kościoła Franciszkanów w Krakowie czy katedry ormiańskiej we Lwowie, jak też budowli w stylu secesji, ale pamiętajmy, że po 100 latach mają one już charakter zabytku, a nie kontrowersyjnej nowości, jak w czasach wygłaszania owego odczytu przez Leona Pinińskiego. Na pewno natomiast słuszną jest końcowa uwaga autora, że najlepsze przepisy prawne czy też inżynieria i opieka państwa nad zabytkami nie pomogą w ich zachowaniu.

„Trzeba, ażeby społeczeństwo odczuło potrzebę szanowania dzieł dawnej sztuki i pamiątek historycznych i w tych kwestiach postępowało chętnie za radą osób, które dają dowody, że sztukę i pomniki przeszłości nie tylko kochają, ale zarazem wiedzą, JAK je kochać trzeba”

Czorni jak diobły po szychcie

RYSZARD BEDNARCZYK

W prozie o tematyce górnośląskiej doszło do swoistej rewolucji, czy też może bardziej do pokoleniowej rewizji sposobu postrzegania i opisywania ludzkich losów związanych ze skrawkiem ziemi uznawanym za rdzenny przemysłowy Śląsk. W powieściach młodych pisarzy i pisarek w obrazoburczy sposób traktowana jest tradycyjna mentalność górnośląska, chociaż bardziej zwalczają oni jej utrwalony w sztuce słowa spetryfikowany obraz. W tym swoim odrzuceniu stereotypowego widzenia zwracają do drażenia prawdy i odarcia z Górnego Śląska skorupy zmistyfikowanych pojęć, przy okazji tworząc nową śląską mitologię.

Nogi w emaliowanej misce

Za przedmiot ataku obrali młodzi wściekli prozaicy górnośląscy dotychczasowe, mocno utrwalone przez pisarzy i filmowców w kulturowej i społecznej świadomości, pojęcia śląskości. Sztandarym obiektem negacji młodych stała się zwłaszcza twórczość Kazimierza Kutza, uznawanego od lat za barda tożsamości autochtonicznej i wyraziciela odczuć wielu pokoleń ludzi zamieszkujących region i okolice pomiędzy Bytomiem, Gliwicami, Katowicami, Zabrzem i Rybnikiem. Nie dziwi zatem aluzyjne nawiązanie Anny Dziewit-Meller w powieści *Od jednego Lucypera* do kultowej sceny z filmu Kazimierza Kutza. „Obmywały im, owszem, filmowo – jak prababka pradziadkowi – te nogi w emaliowanych miskach, gdy wracali czorni jak diobły po szychcie” – pisze z przekąsem prozaiczka. Przedmiot sporu i opisu zna autorka doskonale. Urodziła się w Chorzowie w 1981 roku, wychowała na pograniczu z Siemianowicami Śląskimi. Wprawdzie pochodzi z rodziny o mieszanych tradycjach górnośląskich i zagłębiowskich, ale jako krojczok – jak sama o sobie mówi – sól ziemi czarnej mocno ją boli. W jej prozie do sedna śląskości dociera Katarzyna, mieszkająca współcześnie w Holandii, i odkrywająca pogmatwane losy babci Marijki w okresie stalinizmu. Takie kontrastowe zestawienie czasowe i terytorialne sprzyja konfrontowaniu kulturowych mitów.

Niewątpliwie będące esencją „tujejszości” dokonania Kazimierza Kutza są wdzięcznym obiektem ataków. Filmowiec mocno bowiem, jak nikt inny, przyczynił się do stworzenia górnośląskich stereotypów. To jemu zawdzięczamy utrwalenie się w świadomości społecznej mitu Górnoślązaka polskiego patrioty. W filmie *Sól ziemi czarnej* ukazuje

propolską rodzinę Basistów uczestniczącą w przegranej I powstaniu śląskim. „Perła w koronie” jest kontynuacją sagi o królowaniu polskiego ducha wśród Górnoślązaków. A filmowy obraz *Śmierć jak kromka chleba* o początkach stanu wojennego na Górnym Śląsku na dobre wpisuje ofiarę życia górników w typowo polski mit „Solidarności” i antykomunistycznego oporu. Podobnie jak film *Zawrócony*. Utrwalemiem filmowych wątków jest powieść *Piąta strona świata*. Na kartach tej niedokończony prozy, mocno autobiograficznej, szczególnie autor uwypuklił istotną rolę kobiet, wręcz matriarchat, w śląskiej rodzinie, trzymającej się tradycyjnych surowych zasad moralnych. Religijność babci towarzyszy dbałości o kulturowanie miłości polskiej Ojczyzny, wprawdzie wyidealizowanej, ale jednak. Nie dziwi zatem sarkastyczna wobec filmowej sceny z dzieła Kutza *Perła w koronie* fraza w prozie Anny Dziewit-Meller, która postanowiła rozprawić się z górnośląską wizją literacką nie tylko na jednym, ubitym polu.

Objęta matriarchalną klątwą

Problematyka jej jedynej jak na razie śląskiej powieści *Od jednego Lucypera* ma szerszy wymiar, wybiegający poza regionalne opłotki. Pisarka jest wszakże znana nie tylko z domagania się przyznania śląszczyźnie praw języka narodowego zamiast etnicznej gwary, lecz również zwolenniczką lingwistycznych femintatywów. Ten feministyczny punkt widzenia obecny jest w jej prozie, w której damski los wreszcie opowiedziany jest przez kobietę, a nie jak dotychczas przez mężczyzn. W narracji Dziewit-Meller potwierdza istnienie swoistego matriarchatu w mentalności górnośląskiej, jednak nie widzi go jako podporządkowanego męskiej sile. To kobiety mają moc egzystencjalną i władzę nad mężczyznami: „...rodzina ta była objęta matriarchalną klątwą wysysającą życie z mężczyzn zbyt słabych, by dorównać kroku kobietom...” – pisze prozaiczka. Rozbija także w pył mit idyllicznej rodziny, w której dominowały surowe religijne zasady: „Gdyby uważnie przyjrzeć się tej rodzinie, z której wyszła Marijka, a potem Kasia, można by zauważyć prawi-

dlowość: otóż mężczyźni niespecjalnie mocno się w niej trzymali. Pojawiali się na chwilę i znikali jak fatamorgana, bledli jak zdjęcia w starych gazetach. Było coś takiego w tym kontredansie, który ćwiczyli przez pokolenia, że ostatecznie, gdy następowała finałowa figura, panie trzymały w objęciach inne panie zamiast kawalerów, bo tych im za każdym razem zwyczajnie brakło”. Marijka, bohaterka jej książki, jest kobietą zbuntowaną, dążącą z powodu przymusu ustrojowego i życiowego do wyzwolenia z tradycjonalizmu i męskich okowów.

Zainspirowana ubeckimi notatkami i donosami, które przeczytała w użytecznych jej dokumentach archiwalnych z zasobów Instytutu Pamięci Narodowej, autorka umieszcza część akcji utworu w latach stalinizmu i budowy zrębów realnego socjalizmu. Oryginalną narrację, gwarową i w poprawnej polszczyźnie, przeplata cytatami z archiwaliów. Podstawową zasadą pisarki staje się odkłamanie lakierniczego opisu tego okresu w górnośląskiej literaturze. Gustaw Morcinek, Wilhelm Szewczyk, Albin Siekierski ulegli wobec opresyjnej komunistycznej władzy i nożyc cenzury przedstawiali stosunki społeczne i polityczne w regionie według socrealistycznego strychulca. Górnośląski okręg przemysłowy zyskał



obraz krajiny przodowników pracy, górników i hutników w mozolnym trudzie wykuwających podwaliny nowego ustroju sprawiedliwości społecznej. Anna Dziewit-Meller, korzystając z wolności słowa, ten świetlany obraz awangardy śląskiej klasy robotniczej odkłamuje.

Marijka, jedna z głównych postaci powieści, korzystając z socjalistycznego równouprawnienia, pracuje w zakładach azotowych. Robotniczy trud kobiety ukazany jest w kontekście damskiej fizjologii. Miesiączkowanie, ciąża, seks przeszkadzają w zostaniu przodownicą pracy. Pojawia się problem z kalekimi dziećmi, aborcją i drwiną z socjalistycznych sloganów: „No ale jak je zabić, kiedy chciałyby się jednak kogoś w końcu kochać, a władza namawia, by się rozmnażać, by płodzić nowe pokolenia, rodzić Polaków, rodzić przyszłych wielkich komunistów? Skrobanka jest ciosem wymierzonym w odradzającą się ojczyznę”. Erotyzm z dzieł Kutza na tym feministycznym tle wygląda jak sielaneczka. Odbrażawia także Dziewit-Meller kult przodowników pracy, dzięki któremu tradycyjnemu górnośląskiemu poszanowaniu pracy i etniczemu dziedzictwu władza ludowa nadała socjalistycznej klasowej wymowy. Nienawiść do stachanowca Wincentego Pstrowskiego zawarta w cytowanych archiwaliach i wplecione w opowieść odautorską kpinę z górniczej harówki, złośliwe komentarze zwykłych ludzi dopełniają dzieła.

Odkłamywany obraz Górnego Śląska w czasach realnego socjalizmu pokazuje również narracje o braku mięsa i wędlin w sklepach rzeźniczych o kolejkach oraz represjach ludowej władzy. Marijka posądzona o sabotaż i skazana na karę śmierci, staje się ofiarą ubeckiego terroru. Górnośląska krzywda zyskuje w prozie Anny Dziewit-Meller drastyczne wręcz trywialne ujęcie. Wpisuje się prozaiczka takim przedstawieniem tuż powojennej rzeczywistości w bolesne odczuwanie syndromu różnych represji doświadczanych w dziejach przez Górnoślązaków.

Swojacy z tej ziemi

Poczuciem śląskiej krzywdy przepełnione są także strony prozy Szczepana Twardocha. Pochodzący z podgliwickich Pilchowic pisarz dał się już poznać literackiej publiczności różnymi kontrowersyjnymi wypowiedziami w obronie górnośląskiej tożsamości; osławionej godki, zwyczajów, obrzędów. Zapamiętana zwłaszcza została jego inwektywa: „P... się Polsko!” po odmowie uznania przez władze RP etnicznego dialektu za język narodowy. Jednak Twardoch ceniony jest głównie za to, co napisał, a nie w rozgoryczeniu powiedział. Jest przecież autorem dwóch górnośląskich powieści *Drach* i *Pokora*. W obydwu – podobnie jak książka Dziewit-Meller – pisanych częściowo w śląskim etnolekcie rozbija obowiązujące

dotychczas w polskiej literaturze autochtonie aksjo-normatywy.

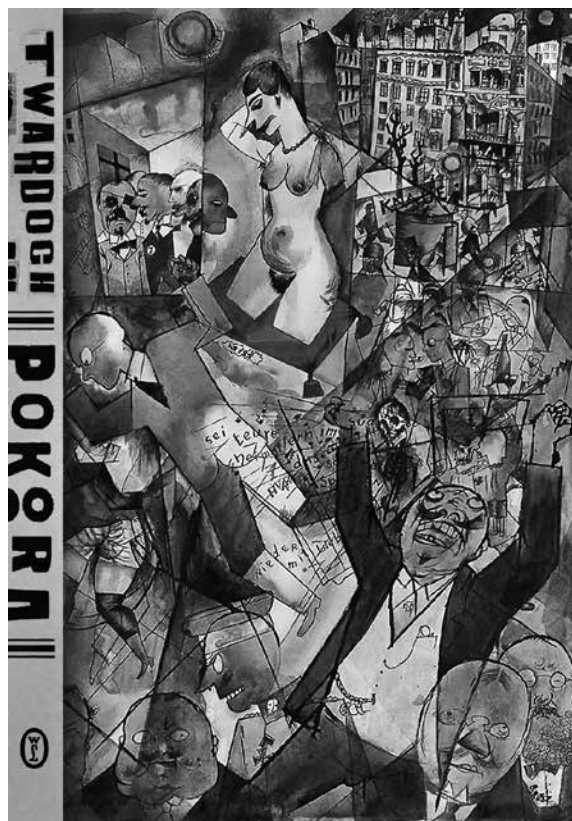
Józef Magnor, weteran z armii kajzera, bohater prozy *Drach*, z goryczą mówi: „Jo mom w rżici Polska, fater. Mie yno o to idzie, aże my fedrujemy, a Niemiec z tego je bogaczem. A my dycy yno biydoki”. To wypowiedź charakterystyczna, zdradzająca świadomość etniczną fikcyjnej postaci, ale wyposażonej przez autora w spory zasób śląskocentrycznych kulturowych wzorców.

Postaciom z powieści Twardocha obca jest jakakolwiek świadomość narodu. Nie odczuwają przynależności do nacji niemieckiej ani polskiej. Identyfikują się ze wspólną dziejową przetrzenną, najbliższej im okolicy, gdzie urodzili się i dorosli. To przejaw świadomości lokalnej, nazywanej czasami „swojacką”, pozbawionej ponadregionalnej tożsamości, przechowującej wyłącznie wzorce osobowe, język, obyczaje grupy etnicznej, w przypadku Górnego Śląska z pogranicza państw narodowych. Taki brak miłości ojczyzny wspólnej sprawia wrażenie, jakby bohaterowie twórczości Twardocha byli ludźmi bez właściwości, jednak nimi nie są. Za prymat śląskości płacą największą cenę. Alojz, bohater powieści *Pokora*, pozornie uległy lewicowym ideologom berlińskiej rewolty 1918 roku, w gruncie rzeczy trwający w etnicznym izolacjonizmie, choć początkowo wymyka się z rąk komunistycznych bojówek, ginie z ręki polskich powstańców śląskich, którzy potraktowali go jako niemieckiego zaprzańca.

Sposób potraktowania pracy przez Magnora czy Pokorę, a nawet drugiego bohatera *Dracha* Nikodema Gemandera, znanego współczesnego architekta, wskazuje na typowe ograniczenie się do odczuwania jedynie egzystencji. Wszelka esencja pod postacią narodowości, idei czy twórczości obce są postaciom z prozy Twardocha. W tym kontekście nie znajduje odzwierciedlenia przypisywane autochtonom umiłowanie pracy jako wręcz sakralnej wartości. Górniczy mozół jest życiową koniecznością i nie wywołuje radości. Bardzo często jest potwierdzeniem skazania Górnoślązaków na gorszy los; ino do roboty na gruba jako drugi sort.

Z rodziną tylko na zdjęciu

W pisarstwie Szczepana Twardocha odkłamywanie ulegają też kojarzone z auto-



chtonami poszanowanie dla rodziny i religijność. Emma z powieści *Drach* pozornie jest ostoją macierzyństwa, ale kocha córki, jak prozaik przewrotnie zauważa, tylko fizjologicznie; trzewiami. Nieznany jest jej matkowanie jako etos. Nierzadko kobiety przypominają wietrzne istoty, bywają niewiernymi żonami, nawet wyuzdanymi ladacnicami. Zarówno Magnor jak i Gemandera w „*Drachu*” porzucają żony dla kochanek, łamiąc społeczne tabu. Agnes Novack, którą zafascynowany jest Alois Pokora, to dominująca modliszka, skrywająca sadyzm, pod wyidealizowanym wizerunkiem anielskim chowająca demoniczne oblicze. Dodatkowo pisarz wplata w narrację wątki niebinarności seksualnej sióstr Salmakis. Wraz z naruszeniem familijnego dekalogu pojawiają się w akcji *Pokory* także wątki zdrady małżeńskiej dokonanej z księdzem. Tytułowy bohater okazuje się bękartem plebana, który zadbął o jego edukację. Nie lokuje się farror Scholtis w szeregu świetlanych kapłanów walczących o polskość czy niemieckość oraz religijną przyzwoitość.

Trzeba przyznać, mogą wywołać szok te frazy, zarówno w utworów Anny Dziewit-Meller, jak i Szczepana Twardocha. Ich narracje obalają w pył znane dotychczas z kart górnośląskiej prozy wartości: wiara, rodzina, praca, polska macierz już nie są obiektami czci i pożądania. I trudno powiedzieć, ile w prozie młodych chęci odkłamywania mentalności Górnoślązaków, a jak wiele koniunkturalizmu. Wszakże wolny rynek księgarski ma swoje prawa; książka jako towar musi znaleźć nabywców.

Ogród społeczny

MAŁGORZATA LICHECKA

Nieco zapuszczony teren w centrum miasta, zestaw podstawowych narzędzi oraz grupa pasjonatów wystarczyły, by w Gliwicach przy ul. Ziemowita na terenie, którym dysponuje stowarzyszenie Forum Ceramików, w roku 2018 powstał ogród społeczny, czyli miejsce, gdzie każdy choć na chwilę może zostać ogrodnikiem. Pomysł okazał się trafiony – mieszkańcy chętnie się angażują, miasto zyskało atrakcyjny zielony zakątek, zaś uprawianie roślin stało się pretekstem do spotkań, warsztatów, koncertów czy wspólnego gotowania w ramach kuchni społecznej.

Nie tylko kopią w ziemi

W ogrodach społecznych typowej uprawie często towarzyszą specjalistyczne warsztaty czy szkolenia. Szczegółowe rozwiązania są zróżnicowane, jednak najczęściej to wyznaczony lider ogrodu inicjuje program związany z koniecznymi pracami sezonowymi, dba o jedność i wspólne podejmowanie decyzji. Wartością dodaną jest budowanie sieci sąsiedzkich, tworzenie przestrzeni do spotkań, wreszcie współodpowiedzialność za konkretne dobro.

W listopadzie 2017 r. w Warszawie funkcjonowało 15 ogrodów społecznych, a kolejnych 10 było w fazie zakładania. Aktywni działacze zawiązali ogólnomijską Radę Ogrodów Społecznych. W porozumieniu z Zarządem Zieleni Miejskiej Miasta Stołecznego Warszawy utworzyli program „Bujna Warszawa”, w ramach którego promowane są inicjatywy ogrodnictwa miejskiego, wydano internetowy poradnik, a także rozbudowywany Otwarty Skład Materiałów Ogrodniczych (OSMO).

Mały, ale niezwykle potrzebny

Gliwicki ogród społeczny jest na razie jedynym w mieście i drugim na Śląsku. Choć niewielki (to w zasadzie mała przestrzeń z ośmioma skrzyniami na uprawy) już dał się poznać jako miejsce różnych aktywności: od typowo ogrodniczych po wydarzenia artystyczne i koncerty.

Wymyślił go Paweł Harlender, architekt zieleni, aktywista miejski związany z Zielonymi Gliwicami i stowarzyszeniem Ośrodek Studiów o Mieście Gliwice. To on namówił innych społeczników do prac, bo jego zdaniem wspólne gospodarowanie jest powrotem do natury.

W ciągu trzech lat ustaliło się oczywiście stałe grono ogrodniczych aktywistów, którzy poświęcają każdą wolną chwilę, by wpaść na Ziemowita. Ale przychodzą także pracownicy pobliskiego OPS-u, rodzice z dziećmi i mieszkańcy w różnym wieku, by odpocząć w ciągu dnia od zgiełku miasta.

– *Czekamy na każdego, bo ogród jest otwarty i ogólnodostępny* – mówi Harlender. Sam zawodowo zajmuje się urządzeniem zieleni, pozostali członkowie stałej

ekipy, mimo swoich zajęć, chętnie angażują się w prace dla ogrodu, jak chociażby ekipa Warsztatu Miejskiego, który w poprzednich latach przygotowywał meble ogrodowe i wykończenia rabat.

– *Zapomnieliśmy już, jak to jest dzielić się i wytwarzać, hodować i gotować nie tylko dla siebie. Ogród społeczny jest czymś innym niż ogródki działkowe: ogrodzone, z rozbudowaną hierarchią, z mnóstwem zakazów* – wyjaśniają społecznicy.

Zielone popłaca

To nie są tylko grządki z pomidorami czy ziołami **oznaczonymi** karteczką z nazwiskiem. Sadzą wszyscy, wspólnie zbierają, razem gotują i biesiadują, uczą się ogrodnictwa, poznają nowych przyjaciół, przychodzą z dziećmi, które też muszą nauczyć się nie tylko zasad funkcjonowania ogrodu, ale również tego, skąd bierze się jedzenie.

Zalety ogrodu? To proste: okazja do nawiązania nowych znajomości, szansa na wzmocnienie relacji sąsiedzkich i międzypokoleniowych, źródło wiedzy o przyrodzie, środowisku, ekologii, wymiana doświadczeń między uczestnikami, dodatkowa zieleń w mieście dostępna dla mieszkańców, okazja do poznania zasad *zero waste* i *slow food*.

– *Chcemy, żeby to było miejsce otwarte dla wszystkich, gdzie zgodnie z ideą współtworzenia i współdziałania powstaną naprawdę wielkie rzeczy* – Harlender jest pewien, że gliwiczanie zasługują na dostęp do takiej przestrzeni. Bo nie każdy ma ogród, ogródek działkowy lub balkon. Wspólne działanie to zawsze dobry pomysł. A inicjatorzy tak obrazowo przedstawiają przesłanie ogrodu społecznego: to przestrzeń, w której pan Janusz zagada



Po pandemicznej przerwie życie ogrodnicze wraca do normy. Fot. Michał Buksa

do pani Grażyny przy wspólnym uprawianiu marchewki.

Jak to robią inni

Ogrody w innych krajach różnią się od tych, które znamy z polskich miast. Wpływa na to wiele czynników – od kultury i obyczajowości, przez rozpowszechnienie konkretnych modeli dla takiego rodzaju inicjatyw, aż po uwarunkowania formalno-prawne. Idea miejskiego ogrodnictwa jest obecna na całym świecie.

Ogromną popularność zyskała w miastach takich jak Montreal, Quebec City, Paryż czy Berlin, gdzie podejmuje się działania na rzecz integracji lokalnych społeczności. Polskie przykłady dobrych praktyk w ogrodnictwie społecznym to warszawski Ogród Społeczny Fort Bema, krakowski Ogród Społeczny Krzemionki, Ogród Społeczny Kolektyw Kąpielisko w Poznaniu czy Olbiński Ogród Społeczny we Wrocławiu.

Rok 2021: kwitnące życie ogrodnicze

Pandemia oczywiście spowolniła prace i inicjatywy, a sezon 2021 w gliwickim ogrodzie społecznym rozpoczęto od drobnych prac porządkowych i drugiego już podejścia do łąki kwietnej, którą posiano w jednej ze skrzyń. Wszystkie rośliny przetrwały okres spoczynku. Meble ogrodowe, taras oraz skrzynie kompostową czeka impregnacja, zaś spracowane stoły warsztatowe będą wymagały wymiany i zastąpienia nowymi.

Mimo kompaktowych rozmiarów znajdziemy tu bogactwo roślin. Mamy te pachnące i aromatyczne o zastosowaniu leczniczym, przyprawy, zioła i gatunki użytkowe, na rabatach znajdziemy także piwonie, irysy siberijskie, funknie, liliowce, orlika i inne. Pojawiły już właśnie dynie, a w planach jeszcze pomidory i jarmuż.

Ogród stworzono tak, by nie generować wysokich kosztów. Nie ma tutaj trawników czy roślin wymagających specjalnych zabiegów pielęgnacyjnych. Od czasu do czasu trzeba podlać grządki, wypełnić samosiejki klonów oraz utrzymać w ryzach rozrastające się zioła. Reszta to wyłącznie prace porządkowe.

O tym, co dzieje się w, jak na razie jedynym w Gliwicach, ogrodzie społecznym, można dowiedzieć się, śledząc fanpage, a także dołączyć do grupy na FB: ogród społeczny_organizacyjnie. Inicjatorzy zapraszają wszystkich.

– *Bo w naszym ogrodzie można robić co dusza zapagnie, oczywiście w miarę rozsądku* – dodają aktywiści.



Łąka kwietna w wersji mini to tegoroczny eksperyment



Najbardziej liczy się w ogrodzie społecznym integracja i wspólnotowość



Ewa Weber, odpowiedzialna za politykę kulturalną gliwickiego samorządu, stoi przy zegarze kwiatowym w sąsiedztwie gmachu UM, ilustrując w ten sposób swoją dewizę programową: CZAS NA KULTURĘ



Czy Ewa Mierzyńska i Andrzej Smogór, dawni soliści Operetki Śląskiej, zaśpiewają jeszcze na deskach gliwickiego teatru?



Czas na kulturę

EWA WEBER, wiceprezydent Gliwic
rozmawia ze ZBIGNIEWEM LUBOWSKIM

- **Czy nieśmiertelne arie operetkowe Kalmana, Lehara, Offenbacha i Straussa będą jeszcze kiedykolwiek rozbrzmiewać ze sceny obecnego Teatru Miejskiego w Gliwicach?** – zapytaliśmy Ewę WEBER, zastępcę prezydenta Gliwic ds. kultury i oświaty.
- Tak. I nie będzie to wcale w jakiejś odległej przyszłości, ale najpóźniej w przyszłym roku. Gdyby nie dokuczliwa pandemia COVID-19, to tradycyjne spektakle operetkowe pojawiłyby się już w tym roku w repertuarze Teatru Miejskiego w Gliwicach. Pragnę jednak wyraźnie podkreślić, że nie będzie to powrót do dawnej formuły Operetki Śląskiej (stacjonarnego teatru muzycznego), lecz tylko przywrócenie widowisk operetkowych, które będą dodatkowo prezentowane na deskach teatru obok przedstawień dramatycznych.
- **Wystawianie klasycznych operetek wymaga wszakże profesjonalnych śpiewaków, orkiestry, zespołu baletowego, chóru...**
- To będzie zadanie dla dyrektora teatru. W mojej ocenie takie usługi artystyczne są dostępne na współczesnym rynku muzycznym. Budżet teatru zostanie w tym celu odpowiednio powiększony. Nie planujemy jednak reaktywowania sceny operetkowej z własną orkiestrą, baletem i chórem.
- **Czy była Pani niekiedy w Operetce Śląskiej w charakterze zwykłego widza?**
- Owszem. Gdy byłam uczennicą szkoły średniej o profilu typowo technicznym, to przyjeżdżałam z Zabrze do Gliwic na spektakle operetkowe. Zawdzięczałam to swojej wspaniałej nauczycielce przedmiotów humanistycznych. Pamiętam, że były to bardzo ciekawe przedstawienia. Nigdy się nie nudziłam.
- **Operetki to tylko jedna z form muzycznej sztuki scenicznej. Interesu-**

jącym gatunkiem są także musicale. Czy repertuar gliwickiego teatru zostanie również poszerzony o współczesne widowiska musicalowe?

- Dogodnym miejscem prezentacji takich widowisk wydaje się gliwicka hala ARENA. Tam istnieją warunki techniczne, sprzyjające organizowaniu spektakularnych imprez muzyczno-teatralnych.
- **Czy poszerzenie profilu repertuarowego gliwickiej sceny przy Nowym Świecie będzie równoznaczne z rozpianiem konkursu na stanowisko dyrektora odmienionego teatru?**
- Obecny dyrektor, Grzegorz Krawczyk, dobrze wywiązuje się z powierzonych mu zadań. Wprowadzenie do oferty teatralnej operetek nie ma na celu odmiany instytucji, a jedynie poszerzenie jej repertuaru. Na deskach naszego teatru już teraz można oglądać różne gatunki sceniczne: od przedstawień dramatycznych, przez komedie, farsy po spektakle rewiowo-kabaretowe. Uważam, że nie ma potrzeby ogłaszania dyrektorskiego konkursu.
- **Spore kontrowersje w rozmaitych kręgach wzbudził gliwicki spektakl teatralny pt. Najmrodzki, uznawany przez niektóre media za artystyczny symbol wizerunkowy miasta. Czy to dobrze, że w teatrze lansuje się kryminalistę, wstawionego licznymi ucieczkami z więzień i konwojów milicyjnych w czasach PRL?**
- Myślę, że konstruowanie repertuaru teatru jest wyłączną domeną dyrektora placówki. Jeśli spektakl wzbudził zainteresowanie publiczności i zyskał jeszcze uznanie jurorów ogólnopolskiego przeglądu teatralnego, to oznacza, że była to sensowna decyzja repertuarowa.
- **W mieście powstaje nowa instytucja o nazwie: Centrum Kultury Victoria. Ma ona rozpocząć swoją działalność z początkiem przyszłego roku. Wieść niesie, że była Pani główną pomysłodawczynią jej utworzenia. Czym się będzie zajmować nowa instytucja?**
- Nie chcę sobie przypisywać wkładu pracy wielu osób. Owszem, kierowałam zespołem opracowującym koncepcję powołania do życia Centrum Kultury Victoria w Gliwicach i miałam wpływ na jej kształt. Nazwa instytucji nawiązuje do przedwojennego Teatru Victoria, po którym pozostały

romantyczne, jak twierdzą niektórzy gliwiczanie, ruiny przy Alei Przyjaźni w śródmieściu. Instytucja będzie miała za zadanie mówiąc najkrócej kreować życie kulturalne w mieście.

– **Brzmi to intrygująco...**

– W praktyce będzie to polegać na organizowaniu rozmaitych imprez festiwalowych i koncertowych, prowadzeniu edukacji artystycznej i kulturalnej, adresowanej do osób z różnych pokoleń, promowaniu ciekawych wydarzeń kulturalnych w Gliwicach, a także prowadzeniu punktu informacji kulturalnej i turystycznej. Nowa placówka przejmie niektóre z dotychczasowych zadań gliwickiego teatru. Obecny impresariat teatru stanie się po prostu częścią Centrum Kultury Victoria.

– **Jej utworzenie będzie jednak wymagać równoczesnej likwidacji Młodzieżowego Domu Kultury, co już wzbudziło społeczny sprzeciw pracowników MDK.**

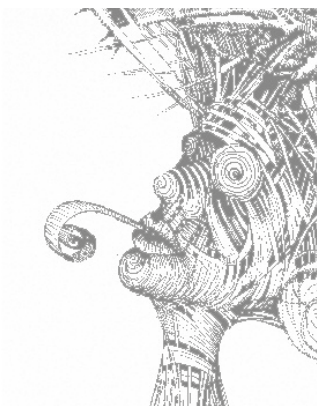
– To zupełnie naturalne, że każdy człowiek boi się radykalnych zmian w miejscu swojej pracy i wyraża nieufność wobec nowych rozwiązań. Nie zamierzamy jednak pozbawiać zatrudnienia nikogo z dotychczasowych nauczycieli z MDK. Celem przedsięwzięcia jest stworzenie kompleksowej instytucji, która będzie troszczyła się o uatrakcyjnienie życia kulturalnego w mieście. Na jej czele stanie dyrektor wyłoniony w drodze konkursu. Marzy mi się na tym stanowisku osoba kreatywna z odpowiednim doświadczeniem.

– **Gdzie zostanie ulokowana nowa instytucja?**

– Docelowo instytucja będzie miała swoją siedzibę w odrestaurowanych ruinach teatru Victoria. Cała Aleja Przyjaźni zmieni przy okazji swój charakter. Chcemy, by pojawiły się tam przytulne lokale gastronomiczne, galerie sztuki i inne przybytki kultury. Zależy nam, by w Gliwicach powstało miejsce zapewniające zarówno młodym, jak i dojrzałym mieszkańcom miasta, możliwość atrakcyjnego spędzania czasu.

– **Na koniec proszę o szczerą odpowiedź, czy CK „Victoria” będzie zapraszało gwiazdora disco-polo, Zenka Martyniuka, na koncerty do Gliwic?**

– Nie mamy takich zamierzeń. Nowa instytucja ma przecież kreować ambitną kulturę w mieście. Przyświeca mi cenne hasło: CZAS NA KULTURĘ!



ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Charakterystyczny ciąg słowotwórczy tworzą w polszczyźnie ekspresywne rzeczowniki typu: *męczydusza*, *woziwoda*, *liczykrupa*, *liczygrosz*, *wiercipięta*, *burczymucha*, *paliwoda*, *moczymorda*, *dzierżymorda*, *włazidupa*, *lizidupa*, *waligóra*, *wyrwidąb*, *drapichrust*. Mogę go uzupełnić identycznymi strukturalnie nazwami własnymi, z którymi się spotkałem w swoim życiu: *Tłuczykąt*, *Płaszczymąka*, *Moczygęba*, *Kręciproch*, *Wozipiwo*, *Podbipięta*, *Liczyrzepa*. Gramatyki wskazują kształtujący je formant, a mianowicie mianownikową postać liczby pojedynczej drugiego członu związku wyrazowego-podstawy słowotwórczej: od *męczyć duszę* do *męczydusza*, od *wozić wodę* do *woziwoda*, od *liczyć krupę* do *liczykrupa*, od *wiercić piętą* do *wiercipięta*.

W tej serii mieści się też, oczywiście, *chwalipięta* – utworzony od dwuelementowego zwrotu *chwalić piętę*, będący ironicznym, pogardliwym lub lekceważącym określeniem kogoś, kto się chwali, samochwały (któż nie zna wiersza Jana Brzechwy o samochwale: „Samochwała w kącie stała i wciąż tak opowiadała...!”). Jego niedoborowym, frywolnym wariantem jest *chwalidupa*, a ja nie będę tutaj obłudnie udawał, że go nie znam.

Ale tak jak najpopularniejszym synonimem owej *dupy* jest ciągle na Śląsku *rzici* (ze zwrotem *mieć coś w rzici* na czele), tak odpowiednikiem *chwalipięty* czy *chwalidupy* jest w naszym regionie *chwołno rzici*: „Z tego chopą to tako chwołno rzici” – można przeczytać na str. 31 „Małego słownika gwary Górnego Śląska” (Katowice 2000) Bożeny Czastki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec.

Historyk języka nie może się nie zachwycić owym przymiotnikiem *chwalny*! Nieobecny we współczesnej polszczyźnie, w której używamy tylko książkowej formy *pochwalny* (*pochwalne słowa*, *hymny pochwalne*), dobrze był

znany w dawnych wiekach: w znaczeniach „chwalący się, chełpliwy”, „sławny, godzien sławy” rejestrują go Grzegorz Knapski w swym dziele „Thesaurus Polono-Latino-Grecus” z roku 1621–1632 oraz Wespazjan Kochowski w XVII w. („Jako chwalne dzieła, tak trzeba, hańba by pamiętna była”), w znaczeniu zaś „chwalebny, godny pochwały” – Psalterz floriański z XIV/XV w. i Psalterz puławski z pocz. XVI w. („Bo wielki Gospodzin i chwalny bardzo”).

Jeszcze wydany w roku 1861 w Wilnie przez Maurycego Orgelbranda „Słownik języka polskiego” na str. 160 tomu I ma hasło *chwalny* ze znaczeniem „chwalebny, chwały godny” („Nauka wielka nie zawsze chwalna”), przy parafrazach znaczeniowych „chwalący, zalecający, pochwalny” („Wiersz chwalny”) oraz „chwalący się sam, chełpiący, chełpliwy” natomiast zamieszczona jest uwaga: *nieużywane*.

Możemy zatem powiedzieć, wracając do śląskiego wyrażenia *chwołno rzici*, że to kolejny, piękny archaizm leksykalny, tak jak pradawny – praindoeuropejski – jest rodowód *rzici* od pnia *riti* – o ruchu, płynięciu, kręceniu, wiciu (Aleksander Brueckner: „Słownik etymologiczny języka polskiego”, Warszawa 1957, str. 473 i 478).

A skoro wprowadziłem do dzisiejszego odcinka nieco frywolności, to przytoczę jeszcze wspomnienie mego Ojca z pierwszej przedwojennej posady nauczycielskiej w Szopienicach. Oto temat lekcji była pisownia „rz” po spółgłoskach, a dzieci miały przywoływać odpowiednie przykłady, a więc na przykład: po „b” – *brzoza*, *brzask*, po „d” – *drzewo*, *drzazga*, po „k” – *krzesło*, *krzak*, po „p” – *przyjaciół*, *przejsć*, po „t” – *trzask*, *trzeba*; kiedy Tata doszedł do „w”, cała klasa ryknęła: *w rzici!!!*

Przejdźmy teraz do *skapca* – tak jak *chwalipięta* zapowiedzianego w tytule

Śląski chwalipięta i skąpiec

dzisiejszego odcinka. W jednej z radiowych rozmów, które prowadzimy z red. Marią Pańczyk, przypomniała ona śląskie określenie takiego człowieka, a jest nim *szpyndlikorz* – funkcjonujący w kontekstach typu „dziołcha, dej se pokój z tym synkiem, to taki szpyndlikorz”. W „Słowniku gwary śląskiej” zredagowanym przez Ilonę i Andrzeja Czajkowskich oraz Dorotę i Andrzeja Klukowskich (Katowice 1996) na str. 72 znajduje czasownik *szpyndlikować* – „oszczędzać, oszczędnie gospodarować, skąpieć”. Pierwsze dwa człony tej definicji podpowiadają, że *szpyndlikorz* nie zawsze musi być określeniem z gruntu negatywnym. Oszczędność czy gospodarność to przecież raczej zalety, a nie wady takiego czy innego człowieka. Potwierdzeniem takiej oceny są też definicje *szpyndlikorza* w przywołanym wyżej „Małym słowniku gwary Górnego Śląska” trojga autorów: 1. „ciulacz, skąpiec” („Dziołcha, pamiyntej: niy wydowej sie za szpyndlikorza”, „Sómsiadka to szczyro kobyta, ale jejij chop – łokropny szpyndlikorz”), 2. „człowiek skrupulatny” („Antek bół szpyndlikorz i to mu sie fest w robocie przidało”).

Oba słowniki zawierają też hasło *szpyndlik* (*spyndlik*, *spandlik*, *szpan-dlik*) – „szpilka” („Krasnoludki miały take małe łepki jak połka ze szpyndlika”, „Ukłułech sie szpyndlikiym”). Rzeczownik ten pochodzi od niemieckiego słowa *Spindel* „wrzeciono” (por. łac. *spina* „cierń, kolec”).

O człowieku oszczędnym, gospodarnym mówi się też w gwarach śląskich, że jest *szporowity* (*szporobliwy*, *szporowliwy*), że *szporuje* (*sporuje*): „Niykere gospodynie byli bardzo szporowliwie”, „Jak chcesz w życiu do czegoś dóńść, musisz szporować” („Mały słownik...”, str. 249). Pochodzą one od niemieckiego czasownika *sparen* – „oszczędzać”.



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

To było 13 czerwca...

Tego właśnie niedzielnego dnia – konkretnie w 1999 roku – Jan Paweł II w czasie swojej najdłuższej pielgrzymki do Ojczyzny beatyfikował w Warszawie 108 polskich męczenników za wiarę. Wszyscy to ofiary straszliwych mordów dokonanych w dobie II wojny światowej przez niemieckich nazistów. Wśród nich byli biskupi, kapłani diecezjalni, jak i zakonni, klerycy, bracia zakonni, siostry zakonne, ale i osoby świeckie. Konkretnie więc są to ofiary brutalnej obłąkańczej nienawiści. W ich przypadku działań podejmowanych „z nienawiści do wiary”; *in odium fidei*. Konkretnie w różnych przestrzeniach wojennej rzeczywistości, nie tylko w obozach koncentracyjnych. Przyznajmy jednak, że o owym religijnym, czerwonym wydarzeniu dziś w realiach ponowoczesności, po prostu zapominamy. A nawet – o zgrozo – zapomnieliśmy?! Wśród beatyfikowanych był też ks. Emil Szramek. To także autor wznowionego ostatnio przez Panteon Górnos Śląski socjologicznego studium z 1934 roku o naszym regionie. Wedle nowej propozycji wydano pracę: „Bł. Emil Szramek. Śląsk jako problem socjologiczny: próba analizy (Reprint i komentarze)”. Abp. Wiktor Skworc w słowie wstępnym odwołuje się do akt beatyfikacyjnych kapłana. Podaje między innymi, iż był aresztowany 8 kwietnia 1940 roku. I dalej: „W obozach w Gusen, Mathausen i Dachau był przedmiotem szczególnie wyrafinowanych szykan i upokorzeń. Wobec prześladowców zachowywał się z godnością i spokojem. Życie zakończył w wielkim cierpieniu i poniżeniu 13 stycznia 1942 roku”. Powiedzmy też jednoznacznie i kategorycznie. To postać znacząca w historii Kościoła w trudnych realiach ówczesnego autonomicznego województwa śląskiego. Wszak był kanclerzem katowickiej kurii biskupiej i proboszczem parafii mariackiej w Katowicach. Natomiast jako badacz był autorem wielu cennych prac,

z zakresu historii, etnografii i socjologii. Także biografistyki. A w tym autorem cennego studium o swoim mędrцу, swoistym nauczycielu i wzorze kapłańskim. Także wzorze narodowym. W owym tekście: „Ks. Jan Kapica. Życiorys a zarazem fragment z historii Górnego Śląska” z 1931 roku pisał o nim choćby tak: „Był to istny tytan pracy (...). Okazały wzrostem i postawą (...), był symbolem tej krzepy i siły prapolskiej...”. Oczywiście – wedle opinii autora – na Śląsku. Szramek działał też na polu organizacji nauki; wszak był prezesem zasłużonego dla regionu Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku. Równocześnie redagował też „Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku”. Do tego dodajmy choćby zasługi kapłana dla Biblioteki Śląskiej czy Muzeum Śląskiego, bo był też przewodniczącym jego Rady Muzealnej. W kontekście tej szerokiej, aktywnej działalności wskazać też należy na oczywiste zasługi ks. Szramka „na niwie polskości”. Wedle opinii ks. Anastazego Muzy, proboszcza parafii w katowickich Piotrowicach (korzystam tu z notacji własnych) był to „fundament jego działalności”. Powróćmy jednak do wznowionej właśnie pracy bł. Emila Szramka. Autor podjął problem trudny, skomplikowany, podówczas nierozpoznany. Zatem ważny w kategoriach naukowych i nie tylko. W konsekwencji wywołujący – nie tylko ze względu na sposób ujęcia – wiele emocji. Autor skoncentrował swą uwagę na kilku wybranych zagadnieniach. To problematyka stosunków narodowościowych w naszym regionie, tutejsze problemy gospodarcze, dalej przemiany struktury społecznej, rola religii. A wreszcie symbolika regionalnego krajobrazu. I wreszcie pojawia się problem „pomostu”, pomostu tego regionu między narodami. Takie ujęcie jest intrygujące – i mimo potencjalnych ułomności i pytań narastających zwłaszcza z upływem lat –

jednak płodne poznawczo. Prezentując te problemy autor odwołuje się do różnych źródeł. Korzysta zatem z prac naukowych, popularno-naukowych, jak i źródeł publicystycznych, nawet literatury pięknej. Często też w tej bazie pojawiają się wypowiedzi o charakterze politycznym. Interesujące jest także to, że tę bazę wzbogaca cytatami ze śląskiej literatury typu folklorystycznego. W konsekwencji czytając z rozmysłem tekst Szramka można odczytać jego ideę przewodnią. W efekcie studium to było intrygujące dla naszych przodków, ale i dyskusyjne, a nawet kontrowersyjne. Ilustrują to zamieszczone w pracy wydanej przez Panteon Górnos Śląski wypowiedzi przedwojennych autorów (np. E. Kostki, M. Czekańska, J. Rostworowskiego, czy Fr. Ligęzy). Nie zawsze są przychylnie, jak choćby prof. Jana Szczepańskiego, wybitnego powojennego socjologa. Wszak pisze, iż „praca Szramka daje bardzo nikłe wyniki”. Natomiast już Roman Lutman, mimo formułowanych zastrzeżeń, podejmuje się jednak obrony autora. A ustosunkowując się do użytego przez Szramka zastrzeżenia „uwagi wstępne” w zakończeniu swych rozważań pisze: „Jako pierwsza próba analizy zagadnień śląskich praca ta jest niewątpliwie ciekawa i interesująca. I to stanowi o jej znaczeniu i wartości”. I dodajmy, że dla szerszego zrozumienia i namysłu nad pracą Szramka cenne są rozważania wybitnego współczesnego socjologa prof. Wojciecha Szramka o socjologicznych i historiozoficznych aspektach koncepcji księdza. Godne też uwagi są słowa wspomnianego abp. Skworca. A zatem na zakończenie cytuję ze wstępu: „Oby spotkanie z ks. Emilem Szramkiem (...) przy lekturze opracowania *Śląsk jako problem socjologiczny* i w przestrzeni Górnos Śląskiego Panteonu było zawsze pouczające i mobilizujące do służby ojcowiźnie, Ojczyźnie i Kościołowi”.

Milianalia w 12 egzemplarzach

JAN MALICKI

Rzeczywiście: „Nakład 12 egzemplarzy numerowanych w płótno oprawnych oraz pozostałych egzemplarzy w tekturkę oprawnych – tyle ile potrzeba”. No właśnie, ile potrzeba? Nigdy nie udało mi się dociec.

To jedna z tych wielu bibliofilskich edycji, które stają się znakiem rozpoznawczym wielu osób, niespełnionych literatów, spełnionych zaś w innych społecznych rolach, którzy chwytają za pióro po to, by swoje doświadczenia życiowe lub artystyczne – dobre i złe – zawrzeć w małych formach literackich; sentencjach, fraszkach, limeryckach. Zwięzłość, skupienie, precyzja – to umiejętność dana niewielu. Epigramatyczność zaś to wielka sztuka ceniona od wieków, od najdawniejszych czasów, a umiejętność celnego puentowania to zawsze zabieg nobilitujący twórcę. Ale istnieje coś więcej, niż tylko proste rymowanie, poślugiwanie się rymem męskim.

To gra konwencjami; zonglowanie regułami obowiązującymi w każdym gatunku literackim, z lekkim dystansem wobec klasyki, czy wzorców geneologicznych. Ów dystans wyznacza upływający czas, coraz bardziej upraszczający i wygładzający znany model sprzed lat. Wreszcie zapomniana znajomość lektur. Powstają nowe, migotliwe teksty, które raz dają się umieścić w kanonie geneologicznym, innym razem intencjonalnie łączone są ze znanym gatunkiem, wreszcie i takie, które nijak nie przystają do nazwy czy definiowanego pojęcia. Na dodatek jedynie metaforycznie łączą się treściowo z kanonem. Za każdym razem to raj dla interpretatora.

Ale o artyzmie tekstu zanurzonego w geneologicznym raj u świadczy coś in-



MILIANALIA
MILIANALIA

KATOWICE 1998

Jerzy Maria Cyclesian Dmuch - Waliński

REGIONALNY
SENNIK
TOWARZYSKI

Drukarnia im. Kombatantów Każdej Wiedzy
ulica Strażników Piętra 3

Opracowanie graficzne: prof. Truda Łań

Nakład: Ile trzeba i coraz więcej

nego; świadomy wybór kręgu tradycji, identyfikowanej przez odpowiedni dobór znaków. To rodzaj drogowskazów dla wyrafinowanego czytelnika. Aristokraty w świecie literackiej erudycji, spoglądającego na intelektualny wysiłek człowieka w tym momencie myślącego, gdy pada zdanie o „potępieniu w czambuł”, czy o „Polaku przed szkodą i po szkodzie głupim”.

Ktoś powie: to rozważania historyka literatury, który na przeszłość literacką spogląda klasycyzująco, jako na świat literatury ułdzonej, zmierzonej, zważonej, ocenionej i zmumifikowanej. Takiego wszak literackiego świata nie ma. Wszystkie dokonania twórcze tworzą intelektualną lub para-intelektualną magmę. Wszyscy piszą, a kto czyta? I czy czyta?

Autorem tomiku jest jeden z bardzo wielu artystów sprzed lat, dzisiaj zupełnie zapomnianych; muzyków jazzowych z czasów heroicznego osławiania i wrastania tego nurtu w polską kulturę muzyczną. Z czasem twórca słynnej, katowickiej orkiestry Jerzego Miliana. Był też znany z pisanych oryginalnych ikon, ofiarowywanych tylko najbliższym przyjaciółom. Zwracam uwagę na określenie: oryginalnych, a więc artystycznie osobnych w powszechnym kanonie znanych nam ikon gromadzonych w Supraślu, czy pisanych przez różne szkoły, np. krakowską.

Jerzy Milian był artystą wszechstronnym; grał w Poznaniu z Krzysztofem Komeda, wielką legendą polskiej muzyki. Po latach powie Danucie Lubinie-Cipińskiej: „Odkrył mnie Krzysztof Komeda. To on mnie ulepił, zrobił ze mnie wibrafonistę”. I choć grał na wielu instrumentach, to do mistrzostwa doszedł w grze na wibrafonie; instrumencie wymagającym doskonałości warsztatowej. Zaczął też traktować ten instrument – jak mawiał – „kolorystycznie. Staram się zatem, to zależy od predyspozycji psychicznych, nastroju dnia, grać muzykę osobistą, osobiste przeżycia przekazać słuchaczowi”.

Z czasów gry w Sekstecie Komedy, pochodzi ciekawa anegdota o ciągocach literackich Miliana. W zespole koleżdy nazywali go „Kadłubkiem”, bo tuż po ważnych artystycznych zdarzeniach chwycił za pióro. Pisał historię zespołu. Szkoda, że jakże tragiczne losy artysty doprowadziły do ich zagubienia. Do pisania powrócił po wielu, bardzo wielu latach, kiedy już za sobą miał kontakty z prof. Bogusławem Schaeferem, Conradem Drzewieckim, który zasłynął m.in. choreograficznym spektaklem do muzyki trzech kompozytorów: Henryka Mikołaja Góreckiego, Karola Szymanowskiego i właśnie Jerzego Miliana. Gdy wybrzmiały pierwsze nagrania Zbigniewa Wodeckiego, „Parostatek” Krzysztofa Krawczyka, piosen-

Danuta
Lubina-Cipińska

NIE TYLKO JAZZ...

Biesiady
z Jerzym Milianem
„Śląsk”

ki Alicji Majewskiej, Michała Bajora i niemal wszystkich artystów tamtych lat. Również wspólne nagrania wielkiej damy polskiej piosenki Ireny Santor, doktora honoris causa łódzkiej uczelni. A potem już disco polo. Jak mawiał Milian – „zemsta Chruszczowa”.

Jeszcze tylko należy wspomnieć współpracę z wieloma teatrami; na wybrzeżu z gdyńskim Teatrem Muzycznym, Śląskim i Zagłębia, Operą Śląską za czasów Tadeusza Serafina, dla której skomponował operę. Libretto przekazał do zbiorów Biblioteki Śląskiej. Tam też spoczywa całe archiwum Mistrza. Wtedy też Biblioteka wydała ów 12-egzemplarzowy tom „Milianaliów”. Promocji towarzyszył, dzięki ogromnemu zaangażowaniu prof. Ernesta Małka, koncert big-bandu pod kierunkiem prof. Andrzeja Zubka. Jako ciekawostkę można przywołać fakt, iż solistką była Anna Dąbrowska, zaś braciom Golcom, powracającymi wtedy z nowymi instrumentami ze Stanów Zjednoczonych, zaliczono ów koncert jako magisterium.

Był to już jednak okres, kiedy zacieśniały się coraz bardziej więzy przyjaźni. Grono najbliższych przywoływane było na kolejne manewry przez płk. Smukłego (taki jeden z wielu pseudonimów, jakie nosił Jerzy Milian) w okolicy Podwarpia i tu poddawane było najprzeróżniejszym ćwiczeniom. Ich efektem były anegdoty, przytyki, a na koniec małe formy literackie; najczęściej limeryki. Zebrane, złożyły się na ów bibliofilski tomik w trzech rozdziałach: Śląskie limeryki erotyczne, Regionalny Sennik Towarzystwa i Limeryki Globottera. Sądząc po tytułach, myślę, że zwolnią mnie czytelnicy z ich przywoływania *in extenso*.

Jako wielki, ale i zapomniany człowiek naszego miasta, zasłużył sobie na monografię. Powstała. Jej tytuł brzmi: „Nie tylko jazz... Biesiady z Jerzym Milianem”. Autorką jest Danuta Lubina-Cipińska, a wydawcą był „Śląsk”.



Filharmonia Zabrzeńska zakończyła 71. sezon artystyczny

Koncertują i zarażają miłością do muzyki

„Wielkie przeboje wielkiego ekranu” to tytuł koncertu, który Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Zabrzeńskiej zagrała na zakończenie tegorocznego sezonu artystycznego. Koncert tradycyjnie od pulpitu dyrygenckiego poprowadził dyrektor Filharmonii Zabrzeńskiej Sławomir Chrzanowski.

Wśród bogatego repertuaru wykonanego tego wieczoru przez muzyków znalazły się m.in. utwory z tak znanych produkcji filmowych jak: „Śniadanie u Tiffany’ego”, „Różowa Pantera”, „Forrest Gump”, „James Bond” i in. Nie zabrakło też kompozycji z polskich, kultowych filmów – tego wieczoru zabrzmiała m.in. muzyka Wojciecha Kilara z „Ziemi obiecanej”. O historii powstania utworu opowiadał sam maestro Sławomir Chrzanowski.

W trakcie koncertu, w imieniu Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu, prezydent Zabrze Małgorzata Mańka-Szulik odznaczyła dziewięciu muzyków medalem „Za Zasługi dla Kultury Polskiej”.

– *Dziękuję za Państwa ogromny wkład w upowszechnianie muzyki klasycznej i rozrywkowej oraz za działania na rzecz rozwoju kultury muzycznej w naszym mieście, regionie i naszym kraju* – zwróciła się do muzyków w trakcie koncertu prezydent Zabrze Małgorzata Mańka-Szulik. – *Państwa profesjonalizm i zaangażowanie w szerzenie kultury muzycznej pod kierunkiem maestro Sławomira Chrzanowskiego to doskonały przykład aktywnego wsparcia, jakiego udziela miasto Zabrze instytucjom kultury.*

Piątkowym koncertem Filharmonia zakończyła oficjalnie 71. sezon artystyczny. Sezon wyjątkowy, bo naznaczony pandemią

i ograniczeniami wprowadzanymi w naszym kraju związku z sytuacją epidemiczną. Przez kilka miesięcy nie mogliśmy się spotkać i posłuchać na żywo wspaniałych koncertów zabrzeńskich muzyków. Odpowiedzią przygotowaną dla wiernych melomanów były jednak koncerty transmitowane online, które cieszyły się bardzo dużym zainteresowaniem.

Warto przypomnieć, że w ub. roku Filharmonia Zabrzeńska świętowała siedemdziesiątą rocznicę istnienia, a jednym z jej założycieli był wybitny kompozytor, aranżer, pianista i dyrygent Edward Czerny.

– *Od inauguracyjnego działalność koncertu w październiku 1950 roku, do czasów dzisiejszych, zespół przeszedł długą drogę. Drogę znaczoną nazwiskami muzyków, artystycznych szefów, wybitnych solistów i dyrygentów, przyjaciół, mecenasów kultury oraz zwykłych społeczników. Była to także droga kilkunastu tysięcy koncertów w kraju i na świecie* – wspomina Sławomir Chrzanowski, dyrektor i dyrygent filharmonii, który piastuje tę funkcję od ponad 30 lat.

W kilkudziesięcioletniej działalności Orkiestry koncertowali z nią najwybitniejsi artyści z kraju i zagranicy, w tym m.in.: Wiesław Ochman, Andrzej Hiolski, Zdzisława Donat, Grażyna Brodzińska, Bogna Sokorska, Paulos Raptis, Bernard Ładysz, Romuald Tesarowicz, Piotr Paleczny, Krystian Zimmermann, Gary Guthman, Alto Noras, Konstanty Andrzej Kulka, Krzysztof Jakowicz, Bartłomiej Nizioł, Wanda Wilkomirska, Kaja Danczowska, Grzegorz Fitelberg, Karol Stryja, Laszlo Baranyay /Węgry/, Iyrkki Myllarinen /Finlandia/, Tsung Yeh, Adam Rosenblom, Takako Takahashi, Shiro Hatae/Japo-

nia/, Ernest Werner Seiler, Benno Scholium /Austria/, Marco Capelli, Ciro di Giovanni/Włochy/, Tai Wai Li/Chiny/, Iwan Iwanow, Kałudi Kałudow, Bożydar Nikołow/Bułgaria/, Galina Wernygora /Ukraina/, Eugen Indjic i wielu innych.

Obok wszystkich ważniejszych estrad koncertowych w kraju orkiestra Filharmonii Zabrzeńskiej kilkakrotnie koncertowała w Rosji, Słowacji, Węgrzech, Austrii, Czechach, Niemczech, a nawet w Japonii.

Uczestniczyła w międzynarodowych festiwalach m. in.: „Gaude Mater” w Częstochowie, „Viva il Canto” w Cieszynie, Europejskim Festiwalu Jana Kiepury w Krynicy, Krystyny Jamroz w Busku-Zdroju, Śląskiej Trybunie Kompozytorów w Katowicach, Festiwalu Gwiazd w Międzyzdrojach, „Silesia-Pradziad” w Kędzierzynie i innych.

Zespół regularnie bierze udział w Międzynarodowym Konkursie Muzycznym im. Michała Spisaka w Dąbrowie Górniczej w charakterze orkiestry konkursowej.

Orkiestra nagrała kilka płyt CD, zarejestrowała też szereg programów dla TVP z udziałem najwybitniejszych artystów polskich estrad.

Filharmonia Zabrzeńska w przeszłości została uhonorowana m.in.: Nagrodą Kulturalną Prezydenta Zabrze, Złotym laurem Umiejętności, Nagrodą Światowej Fundacji „Zdrowie, Rozum, Serce” „Lider Promocji Kultury Polskiej” (druga orkiestra po Filharmonii Narodowej), nagrodą „Ambasador Zabrze”, Złotą odznaką „Zasłużony dla województwa śląskiego”.

Repertuar orkiestry preferuje utwory klasycyzmu i romantyzmu, chętnie sięgamy także po dzieła współczesne – szczególnie kompozytorów szkoły śląskiej. W stałych cyklach prezentowane są estradowe wykonania oper i operetek. Mamy stale w repertuarze kilka różnych programów z muzyką popularną, filmową, jazzową, musicalową, dixielandową i rozrywkową.

W sezonie artystycznym zespół przygotowuje około dwudziestu programów symfonicznych, pięć oratoryjnych, kilka rozrywkowych, a także dziesięć osobnych programów w cyklicznej akcji dla dzieci i młodzieży. Chętnie uczestniczy także w imprezach charytatywnych.

Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Zabrzeńskiej liczy dzisiaj 60 muzyków, zaś jej dyrektorem naczelnym i artystycznym jest od 1990 r. Sławomir Chrzanowski.

Więcej o historii i działalności Filharmonii Zabrzeńskiej przeczytaj Państwo na stronie: www.filharmonia.zabrze.pl



Maria Sartova – reżyserka z Paryża

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI



for arch.

Poznałem Marię Sartovą około 20 lat temu, gdy zaczynała swoją reżyserką karierę. Jest zaprzyjaźniona z wieloletnim dyrektorem najważniejszych polskich scen operowych – Sławomirem Pietrasem, który zapoczątkował jej karierę reżyserką w 2002 roku. W Teatrze Wielkim w Poznaniu zrealizowała „Poławiaczy pereł” i „Normę”, a w szwedzkiej Operze na Zamku, zarządzanej przez Wacława Kunca, przygotowała premiery „Balu maskowego” i „Księżniczki czardasza”.

Wielkim jej przyjacielem był również Bogusław Kaczyński. Pamiętam, jak przyjechał do Gliwickiego Teatru Muzycznego na premierę „Hello, Dolly!” w 2003 roku. Najpierw mówił mi, że Grażyna Brodzińska nie pasuje do tytułowej roli swatki, a później przyznał mi rację i stwierdził, że jest świetna. Partnerował jej na scenie znakomity aktor Jacek Chmielnik. Premiera Sartovej okazała się wielkim sukcesem i graliśmy to przedstawienie od Cieszyna po Gdynię, a także na festiwalach muzycznych w Krynicy-Zdroju, Sanoku czy Busku-Zdroju.

Już wtedy wiedzieliśmy z dyrektorem Pawłem Gabarą, że jest to artystka wyjątkowa, bardzo dobrze przygotowana do pracy, pełna oryginalnych pomysłów i świetnie pracująca ze śpiewakami od strony aktorskiej oraz doskonale znająca partytury. Sartova ma szacunek do kompozytorów jako wspólnie wykształcona śpiewaczka operowa, która swoją karierę rozpoczynała w Operze Wrocławskiej i Teatrze Wielkim w Warszawie. Była uczennicą słynnej Ady Sari, a kontynuowała edukację muzyczną w Paryżu u Camille’a Mauran’a (śpiewaka Opery Komicznej), w Mediolanie u francusko-włoskiej sopranistki Giny Cigni (gwiazdy La Scali, Covent Garden i Metropolitan Opera) oraz w Niemczech u Rudolfa Bautza. Śpiewała w teatrach operowych i salach koncertowych główne partie we Francji, Niemczech, Szwajcarii, Włoszech, Irlandii, Izraelu i USA. Była solistką Radia France, nagrywała w słynnych paryskich teatrach i salach koncertowych, między innymi Théâtre de Champs-Élysées i Salle Pleyel.

Od wielu lat mieszka w Paryżu, który stał się jej domem. Realizowała filmy dokumentalne dla telewizji polskiej i francuskiej. Od ponad 30 lat uczy śpiewu i aktorstwa w słynnym Conservatoire National Supérieur de Musique et de Danse w stolicy Francji.

Reżyseruje opery, operetki i musicale. Współpracowała również z Operą i Filharmonią Podlaską, Teatrem Wielkim w Łodzi, Operą Bałtycką w Gdańsku oraz teatrami muzycznymi w Poznaniu i Lublinie. Jej spektakle, realizowane na gliwickiej scenie, były entuzjastycznie przyjmowane przez publiczność. Otrzymała Złotą Maskę za najlepszy spektakl roku – „42nd Street” Warrena oraz nagrodę za inscenizację na II Ogólnopolskim Festiwalu Muzycznym w Gdyni za „Ragtime” Flaherty’ego. Każda z jej realizacji była wyjątkowa i do każdej podchodziła niesztampowo. Jej „Dźwięki muzyki” uzyskały inny wymiar poprzez wzmocnienie sytuacji zagrożenia spowodowanego narodzinami fałszywym, a równocześnie wzruszająco i prawdziwie pokazała narodziny miłości u młodej dziewczyny. Udało jej się odejść od cukierkowej tradycji wystawiania tego klasycznego amerykańskiego musicalu. Maria Sartova pokazała też, że potrafi realizować operetki nowoczesnie, ale bez wyracania ich do góry nogami. „Wesoła wdówka” wyreżyserowała z paryskim sznytem i dużym poczuciem humoru, a równocześnie z psychologiczną prawdą.

Wyjątkowa była też jej inscenizacja prapremiery światowej „Złotego runa” Tansmana w Teatrze Wielkim w Łodzi. Komediowa forma, oparta na greckim micie o złotym runie, ośmieszała pazerność i głupotę władzy. Spektakl był polecany przez brytyjski miesięcznik „Opera” jako jedno z 10 najważniejszych wydarzeń operowych na świecie. Otrzymał też Nadzwyczajną Złotą Maskę, przyznaną przez łódzkiego dziennikarzystę i krytyków.

13 czerwca tego roku w pięknej Oranżerii Pałacu Króla Jana III Sobieskiego w Wilanowie odbyła się kolejna premiera Sartovej, zrealizowana z zespołem Warszawskiej Orkiestry Kameralnej z okazji 30. Festiwalu Mozartowskie-

go. Inspiracją do stworzenia widowiska „Mozart da capo al fine” stała się historia życia kompozytora. Dziesięć jego uwertur ułożono chronologicznie, od „Apolła i Hiacynta” z 1767 roku (gdy kompozytor miał 11 lat) do „Czarodziejskiego fletu”, napisanego kilka miesięcy przed jego śmiercią, w 1791 roku. Zespół Instrumentów Dawnych Warszawskiej Orkiestry Kameralnej pod dyrekcją Radosława Kamieniarza zagrał perfekcyjnie. W swojej autorskiej inscenizacji reżyserka pokazuje nam młodego i dorosłego Mozarta, jego ukochaną siostrę Nannerl, żonę Konstancję, ojca Leopolda i konkurującego z nim kompozytora Antonia Salieriego. Wszystko to układa się w bardzo ciekawą opowieść.

Sartova stosuje w warszawskim spektaklu techniki znane z teatru pantomimy, ale wykracza poza tę konwencję. Jej pomysły inscenizacyjne uzyskały odpowiednią plastyczną formę dzięki cenionym oryginalnym choreografom Jarosławowi Stańkowi i Katarzynie Zielonce. Reżyserka chwilami każe swoim artystom wypowiadać napisane przez siebie kwestie, co zbliża ją do nowoczesnego teatru tańca, który staje się nie tylko głosem artystycznym, ale i społecznym. Nagle okazuje się też, że na widowni siedzi Wielbiciel Mozarta, współczesny chłopak, mówiący z niesamowitą pasją o genialnym kompozytorze.

W następnym sezonie w Operze i Filharmonii w Białymstoku ma być wznowiona świetna „Cyganeria” Pucciniego wyreżyserowana przez Sartovą. Mam też nadzieję, że ta znakomita artystka powróci na Śląsk. Może uda się wykorzystać jej wyjątkowy talent w Operze Śląskiej? Publiczność będzie zachwycona.

Introligator

EWA WINIARSKA-DRYZGA

Koty wylegiwały się na słonecznej trawie, ni to śpiąc, ni to leniwie spoglądając na dziadka. Siedział za zbitym z niehblowanych desek prowizorycznym stołem, ze względu na swoje przeznaczenie dumnie nazywanym biurkiem. Na przypięzowanej ceracie leżały książki i gazety przytrzymujące się nawzajem przed zaczepnymi podmuchami wiatru. Bursztynowa herbata wypełniała szklankę ozdobioną bezbarwnymi witrażami z odcisków janawantułowich palców. Tych samych, które w takt niewyraźnych pomruków dziadka wystukiwały na hałaśliwej maszynie do pisania historię skoczowskich dziejów, które zapępiały przełożone kalką wyrwane przez wiatr kolejne kartki.

Skoczowskie lata płynęły jak przecinająca miasto Wisła – czasem łagodnie, jak wtedy gdy chodziliśmy latem z obciążonym owocami i babcinym kompotem wiklinowym koszykiem nad brzeg rzeki, gdzie mocząc nogi w wodzie, graliśmy w karty; a nieraz burzliwie, kiedy historia wrzała i zalewała miasto nieszczęściami niczym bezwzględna w czasie powodzi Wisła.

Tymczasem cień jabłoni przewędrował znad biurka na puście już miejsce po kotach. Słońce dobrze się bawiło, próbując przypiec szyję dziadka. W końcu dał za wygraną, tym bardziej, że babcia przez kuchenne okno wołała na obiad, wyrzucając przy tym okruszki kurom przygdakującym się w ogrodzie.

W cukierni „U Dusia” po niedzielnej sumie u Piotra i Pawła czekały na nas wyborne rurki z kremem. Z lepкими palcami i nosami przyprószonymi cukrem pudrem omawialiśmy ka-

zania (najczęściej za długie), wygłaszane z zawisłej nad głowami wiernych i niewiernych bogato przyozdobionej ambony.

Od niedzieli upłynęły dwa dni i nie w głowie mi były dusiowe smakołyki. Minęłam cukiernię i skręciłam z małej bocznej brukowanej uliczki w jeszcze mniejszą i węższą, równoległą do rynku. W zaułku pod odrapanym szyldem (co niewątpliwie świadczyło o długiej tradycji zakładu), aczkolwiek z pięknie wykaligrafowanymi literami, mieścił się warsztat introligatora. Czasem tam zachodziłam posyłana przez dziadka z książkami, schorowanymi i przedwcześnie zestarzałymi, żeby nie powiedzieć wyeksploatowanymi. Tego dnia niosłam wielkie „Żywoty świętych Pańskich” Piotra Skargi wydane przez Karola Miarkę. Tę księgę czytaliśmy jak Biblię. Samo dotyknięcie umieszczonych na okładce wizerunków postaci powodowało niebiańskie mrowienie w opuszkach palców. Ciężka oprawa wraz z kilkoma stronami odpadła od grzbietu książki i przyszedł czas oddać ją w ręce fachowca.

Otwarcie drzwi poruszyło srebrny dzwonek, wywołując z zaplecza introligatora, który całe moje życie wydawał się starym człowiekiem. Leżący na fioletowej poduszce z frędzlami wielki kocur zastrzygł jednym uchem i nie racząc nawet otworzyć oczu, kontynuował drzemkę. Introligatorowi na widok „Żywotów świętych” rozbłysły wiekowe oczy pod rogowymi okularami. Poglaskał delikatnie okładkę, wyczuwając zapewne zapisane w księdze czytelnice drgania. Nie musiał pytać, a ja odpowiadać. Książka sama mówiła o swoich niedomaganiach. Po ustaleniu terminu odbioru, przy milczącej

foto. Tomasz Bienek



akceptacji kota, z lekką torbą, choć ciężkim sercem, opuściłam mroczny i pachnący drewnem oraz klejem zakład.

Idąc przez skoczowski rynek, myślałam o dziadkowych regałach, gdzie spotykały się książki nie tylko polskich autorów, lecz także z różnych dziwnych nieraz krajów. Obok duńskich nowel umościły się opowiadania jugosłowiańskie, czeskie powieści, a górną półkę zajmowały ustawione w rządki kolejne numery „Literatury na świecie”. Kiedyś z tej kopalni literackich międzynarodowości wydobyłam „Przygody Andrasza Jelky” i ta powszechnie nieznana książka węgierskiego autora towarzyszyła mi podczas prawie każdej wizyty u dziadków.

Sporo książek czytaliśmy na głos, wspólnie przeżywając przygody bohaterów. Kiedy pierwsze polskie wydanie „Opowieści z Narnii” C.S. Lewisa pojawiło się w dziadkowej biblioteczce, razem przenikaliśmy do tej cudownej krainy. Już samo otwarcie książki było niczym uchylenie drzwi starej szafy. Tak bardzo dawałam się ponieść narnijskim opowiadaniom w wykonaniu dziadka, że zaczęłam utożsamiać Skoczów z Narnią, niejednokrotnie mając wrażenie, że podczas spaceru do Piekietka spotkam Asłana, a pod kamienną figurą Jonasza na rynku zobaczę Łucję, jak zajada dusiowe rurki z kremem.

Ponieważ miałam jeszcze trochę czasu do końca dziadkowej poobiedniej drzemki, minawszy zrelaksowanego pomnikowego Morcinka, wspięłam się na górującą nad miastem Kaplicówkę. Siedząc na drewnianej ławce, szczęśliwa patrzyłam na panoramę Skoczowa. Słusznie przeczuwałam nietrwałość tego, co wypełniało miasto w tej właśnie chwili.

I już tęskniłam.

Chciałabym usiąść na drzewie
i chłonąć zieleń
zapisaną na postrzępionych liściach

albo gładkich
lub mocno żyłkowatych (nie będę się klócić)

Wdychałabym zieloność
z domieszką słonecznie rozgrzanej kory

Wśluchiwałabym się w stonowany szmer
liściowego tamburynu
z nałożonym canto szczygła

Trzymałabym się mocno gałęzi
łapiąc jedną ręką pływające w powietrzu
jak rybki w akwarium zielone listki

Potem rozhuštałabym podrapane przez krzewy malin nogi
a włosy zazieleniłyby się
od tańczącego wokół mnie listowia

Gdyby tylko wejść na drzewo
jak za dawnych skoczowskich lat

Powyższy tekst dedykuję pamięci mojego dziadka, Jana Wantuły. Urodził się w 1922 r. w Łyżbicach na Zaolziu. Związał swoje życie ze Skoczowem, gdzie pracował jako polonista w Zasadniczej Szkole Zawodowej, której został dyrektorem. Współzałożyciel Towarzystwa Miłośników Skoczowa, autor publikacji z zakresu przeszłości tego miasta. Zmarł w 1992 r. w Skoczowie.

Ewa Winiarska-Drzygza – ostatnie wyróżnienia: XXVIII Konkurs Literacki „Krajobrazy Słowa” w Kędzierzynie-Koźlu oraz Metropolitalny Konkurs Literacki w ramach 13. Metropolitalnego Święta Rodziny. Autorka Ewobloga (<https://blog.wiara.pl/Ewoblog/>).



O rozumieniu praw zwierząt

Z prof. GRZEGORZEM FRANCUZEM rozmawia PIOTR SKOWRONEK

Panie profesorze, ma Pan psa? Jak się wabi i czy jest, jak to się mówią, członkiem rodziny?

Mam. Pies wabi się Kofi. To sznaucer średni i jest pełnoprawnym członkiem rodziny, ma właściwie nawet większe prawa niż ludzie (śmiech).

Jak to się stało, że nasze zwierzęta otrzymały prawa?

Nasze zwierzęta otrzymały prawa dlatego, że myśmy je im przyznali, podarowali, bo je lubimy, Kochamy i widzimy w nich istoty, które zasługują, by je szanować, a przede wszystkim chronić przed cierpieniem. Widzimy, że one żyją, czują i są podobne do nas. Ponadto zwierzęta towarzyszące, czyli nasi domowi pupile mają bardzo pozytywny stosunek do nas jako ludzi. Są szczerze, otwarte i posiadają wiele cech, których byśmy sobie życzyli u ludzi.

Rozumiem, że dotyczy to w zasadzie tylko zwierząt udomowionych?

Tak. Tutaj na pytanie o prawa zwierząt odpowiadam w kontekście mojego psa. Poszanowanie i przyznawanie praw jest dla nas oczywiste, kiedy mówimy o zwierzętach towarzyszących nam w domach, ale trzeba sobie zdać sprawę, że my mamy bardzo ambiwalentny stosunek do zwierząt. Te udomowione na przykład psy czy koty są naszymi przyjaciółmi i członkami rodziny, natomiast mamy jeszcze całą masę zwierząt, które są w gruncie rzeczy postrzegamy jako wrogów, zagrożenie, bo rywalizujemy z nimi o zasoby lub przestrzeń. Na przykład niektóre gryzonie, gady czy owady, które mogą nam bezpośrednio zagrozić niszczą nam żywność.

I tych zwierząt nie antropomorfizujemy?

Jeżeli już antropomorfizujemy to raczej w negatywny sposób, albo co gorsza, jeżeli chcemy ludzi odhumanizować, to wówczas używamy nazw tych zwierząt. Nazywamy ich szarańczę, wszami, szczurami itp. Takie zjawiska znamy z historii, dosyć często się idą w parze z reifikacją człowieka. Przykładem może być niemiecki film propagandowy *Dar Ewie Jude* w reżyserii Fritza Hipplera z 1940 roku, w którym Żydzi zestawieni są ze szczurami. Te zwierzęta mają całkowicie negatywny wizerunek i pejoratywne konotacje w naszym sposobie postrzegania, to są nasi wrogowie. Następnie są zwierzęta, które pracują dla nas i cywilizacja by nie powstała bez pracy tych zwierząt, na przykład konie, woły i inne. W Londynie widziałem pomnik ku czci zwierząt, które uczestniczyły w II wojnie światowej, bardzo dużo pomagały

ludziom, były zaangażowane w działania wojenne.

Łącznie ze słynnym niedźwiadkiem z Armii Andersa, który wraz z żołnierzami przeszedł wojskowy szlak, brał udział w bitwie pod Monte Cassino i nosił stopień kaprała.

Otóż to, Wojtek chyba miał na imię. Kolejną kategorią są zwierzęta hodowlane. Bardzo wiele im zawdzięczamy, ale traktujemy je już całkowicie instrumentalnie. My je zjadamy i wykorzystujemy ich ciała na jako zasoby, surowce. Nie zapominajmy też o zwierzętach laboratoryjnych. Eksperymenty z ich udziałem pozwalają ludziom odkryć wiele różnych specyfików oraz leczyć zagrażające nam choroby. Słyszałem, że w Rosji postawiono pomnik szczura laboratoryjnego. Generalnie zatem można powiedzieć, że zwierzęta nam towarzyszą, jako nasi przyjaciele, domownicy, ale i pracownicy, wrogowie oraz niezastąpione źródło produktów. Są zatem ważnym elementem naszego życia. Są istotami, które Kochamy, z którymi walczymy, które szanujemy, a nawet czcimy. Jeżeli chodzi o historię ludzkości, to proszę zwrócić uwagę, że często było tak, że zwierzęta czczono jako święte np. w Egipcie, Indiach i wielu innych miejscach, oddawano im boską cześć. Jeżeli chodzi o współczesną cywilizację, w związku z tym, że pojawił się tak zwany chów przemysłowy, czyli masowe wykorzystywanie zwierząt, są one traktowane całkowicie instrumentalnie i właściwie pozbawione wszelkiego statusu istot żywych. Chcę zaznaczyć, że wołę używać zamiast prawa zwierząt określenia status moralny, jako synonim uznawana mniejszej lub większej podmiotowości moralnej zwierząt czy poszanowania ich dobra, dobrostanu czy dobrobytu. Generalnie ruchy na rzecz zwierząt dzielimy na te, które przede wszystkim podkreślają znaczenie dobrostanu zwierząt oraz te, które eksponują znaczenie praw zwierząt.

Czyli w naszym stosunku do zwierząt mamy zdecydowany rozdźwięk od przyjaciela do produktu.

Niestety, jeżeli chodzi o tego zwierzęcego przyjaciela to czasami traktowany jest w sposób, który mu szkodzi, bezmyślnie antropomorfizowany. Antropomorfizowanie zwierząt bowiem może być dla nich szkodliwe.

Ma Pan na myśli psy, które dziedziczą majątki czy koty w diamentowych obrozach, chodzące do spa?

Ostatnio byłem na konferencji poświęconej dobrostanowi i prawom zwierząt,

była mowa o tym, że w niektórych krajach właściciele robią zwierzętom tatuaze, zwierzęta są ubierane jak ludzie, żyją jak ludzie. To oczywiście im szkodzi, bo jest niezgodne z ich wzorcem gatunkowym i potrzebami. Jeżeli my ze zwierząt chcemy uczynić ludzi, to możemy im wyrządzać krzywdę. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zwierzętom, co może wynikać z pewnej miereze z uzasadnionej troski, wszczepia się endoprotezy np. sztuczne biodra, a ich leczenie czasami jest dużo droższe niż ludzi. Tu znowu można powiedzieć, że ci czworonożni przyjaciele, którzy żyją w tych bogatych krajach są lepiej traktowani niż ludzie, żyjący w krajach biedniejszych. Zatem gorzej sytuowani ludzie mają znacznie trudniejsze życie i mniej środków niż zwierzęta bogaczy. **Czyli mamy do czynienia z pewnym kuriozum, z jednej strony zwierzęta żyją dostatniej niż ludzie, a z drugiej traktowane są jako produkt, który niczego nie odczuwa.**

Otóż to. Generalnie powiedziałbym, że jeżeli chodzi o pojęcie praw zwierząt, to mamy do czynienia z pewnym zamieszaniem. Mówienie o prawach zwierząt może kojarzyć się z prawami człowieka. Możemy jednak zapytać: Jak to się dzieje, że człowiekowi przysługują prawa? Otóż, jeżeli spojrzymy na źródło praw człowieka to należy sięgnąć do Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, która została uchwalona po II wojnie światowej w 1948 roku. W tym dokumencie stwierdzono, że człowiekowi przysługują prawa z przyrodzenia, że człowiek ma przyrodzoną godność. To była odpowiedź na masową dehumanizację i instrumentalne traktowanie milionów istnień ludzkich w czasie wojny. Można stwierdzić, że po II wojnie światowej narodziła się i rozwija cywilizacja praw człowieka. Jeżeli chodzi o uzasadnienie tych praw to mamy dwa podstawowe źródła. Pierwszym jest źródło religijne, które mówi, że człowiekowi przysługują z natury godność i ma prawo do życia, dlatego, że po prostu jest człowiekiem. Został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, nosi w sobie pierwiastek nadprzyrodzony. W myśli chrześcijańskiej podkreśla się, że jeżeli nie widzimy nadzwyczajnego pochodzenia człowieka, to wtedy nie dostrzegamy jego godności. Na tym kształtuje się personalizm chrześcijański.

Z kolei tak zwane świeckie uzasadnienie praw człowieka odwołuje się do tradycji Kantowskiej, która podkreśla, że czło-

wiek jest zawsze celem samym w sobie i nie może być traktowany jedynie instrumentalnie. Godność człowieka wynika z tego, że jest istotą racjonalną, jest osobą, która sama ustanawia swoją wartość i szanuje innych, a jako pełnoprawne podmioty moralności. Ta zasada godności człowieka i wzajemne poszanowanie są imperatywem kategorycznym. Kant stwierdza, że powinniśmy traktować człowieczeństwo w sobie i w innych zawsze jako cel, nigdy jako środek tylko. To ujęcie stanowi podstawę naszego liberalnego, współczesnego pojmowania praw człowieka i obywatela. W kontekście debaty o prawach zwierząt Kant bardzo często jest przywoływany jako ten, który wyróżnia nadmiernie człowieka i nie szanuje zwierząt, nie do końca się z tym zgadzam, ale nie miejsce, by tutaj się nad tym rozwodzić. Jeżeli chodzi o obrońców zwierząt to głównym nurtem, który podkreśla znaczenie dobrobytu, dobrostanu zwierząt są utylityści. Nawiązują oni do Benthama angielskiego filozofa, który mówił, że nieważne, czy masz rozum, czy masz duszę, czy jesteś racjonalny, ważne, czy odczuwasz cierpienie, przyjemność lub ból. Wówczas przysługuje ci status moralny, poszanowanie twojego dobra, troska o twój dobrostan jako minimalizowanie bólu i cierpienia, a maksymalizowanie przyjemności i szczęścia. Wobec tego należy oczywiście z odpowiednim szacunkiem i odpowiednio traktować zwierzęta, by nie zadawać im niepotrzebnego bólu. Jeżeli chodzi o utylityzm, to nie ma tam żadnej mowy o prawach zwierząt, a nawet o prawach ludzi, co może niestety prowadzić do sytuacji, w której jesteśmy w stanie uzasadnić działania przysparzające cierpienia i bólu jednostkom – zarówno ludziom, jak i zwierzętom – w imię zagwarantowania większości społeczeństwa dobrego i szczęśliwego życia. Obok utylityzmu mamy nurt praw zwierząt, przedstawiciele tego nurtu głoszą, że zwierzęta mają prawa, które musimy szanować, gdyż podobnie jak ludzie mają wewnętrzną, tzw. inherentną wartość. Wartość ta jest przeciwstawiona wartości instrumentalnej i wymaga, by zarówno ludzi, jak i istoty czujące traktować jako cele same w sobie. Jest to tzw. kantyzm dla zwierząt. Zwolennicy tego podejścia podkreślają, że utylityzmem, który tradycyjnie wiąże się z walką o wyzwolenie zwierząt, nie wystarczy, by je chronić przed cierpieniem. Tutaj jednak warto postawić pytania: skąd wiemy o wewnętrznej wartości zwierząt i na jakiej podstawie uznajemy ją uznajemy, co jest podstawą ich praw. Nie mamy tutaj do czynienia z takim uzasadnieniem, jak w przypadku praw człowieka. Inherentna, wewnętrzna wartość zwierząt jest to koncepcja filozoficzna, metafizyczna konstrukcja, która ma służyć temu, żeby zwierzęta potraktować



Dr hab. Grzegorz Francuz oraz Kofi

jako istoty mające samoistną, wrodzoną wartość. Mówiąc to, nie chcę deprecjonować lub podważać tej konstrukcji, chcę tylko podkreślić, że dyskusja o prawach zwierząt, tak samo zresztą jak dyskusja o prawach człowieka, jest dyskusją filozoficzną. Koncepcja filozoficzna, odwołanie do określonych idei zawsze służy ludziom do uzasadnienia swojej praktyki życiowej i uzasadniania decyzji, a w pluralistycznym, demokratycznym społeczeństwie mamy do czynienia

ze sporem o idee, światopoglądy, którymi ludzie się kierują.

Rzadko historia praw zwierząt pojawia się w mediach.

Niestety w mediach, które lubią wznęcać emocje i w tym celu upraszczają oraz trywializują wszelkie kwestie i spory, mamy zamieszanie i chaos, dyskusja często się polaryzuje i brakuje chęci zrozumienia argumentów oponenta. Na przykład prawa zwierząt ukazywane są często w takim kontekście, jakby

zwierzęta miały w takim samym stopniu jak ludzie, a tak nie jest. Zwierzęta mają prawa dlatego, że są prawnie chronione, ponieważ ludzie w pewnym momencie uznali, że należy je chronić, bo cierpią, bo doświadczają bólu, są podobne do nas. Należy zatem powstrzymać okrucieństwo wobec nich. Dziś niewątpliwie wzrasta empatia wobec istot żywych. Jest jednak i druga strona medalu. Niejednokrotnie zwierzęta bywają bardziej w centrum troski moralnej niż człowiek. Tutaj krytycy ochrony zwierząt przywołują hitlerowców, którzy szczególnie dbali o zwierzęta i byli wręcz ich miłośnikami, jako jedni z pierwszych uchwalili prawo na rzecz ochrony zwierząt i przyrody. Zatem zawsze możemy pytać o uzasadnienie praw zwierząt, bo czy tego chcemy, poziom statusu moralnego człowieka i zwierząt jest inny. Mamy do czynienia z hierarchią istot. Na przykład buddyści podkreślają z jednej strony wyróżnioną i jego nadzwyczajną pozycję człowieka, z drugiej zaś jego pokrewieństwo i wspólnotę losu z innymi czującymi istotami. Natomiast chrześcijanie skupiają się na nadprzyrodzonym dziedzictwie człowieka i są oskarżani o to, że nie lubią zwierząt i każą je traktować instrumentalnie, co nie do końca jest prawdą.

Złotym środkiem naszego stosunku do zwierząt jest zatem niezadawanie im cierpienia, ponieważ są istotami, które odczuwają podobnie do nas. To jest kluczowa sprawa i właściwa istota rzeczy. Jednak pytanie na głębszym poziomie brzmi: które istoty odczuwają? Odpowiedź na nie wcale nie jest taka prosta. Gdzie mamy postawić ową granicę? **Ale nawet jeżeli przyjmujemy na moment, że zwierzę jest wyłącznie produktem, to można je zabić z większym lub mniejszym okrucieństwem, hodować z mniejszym lub większym wyczerpaniem na jego dobrostan.**

Zdecydowanie. Wróćmy do kosmaru produkcji przemysłowej. Trudno porównać ją z hodowlą tradycyjną, gdzie zwierzęta były hodowane w warunkach odpowiednich dla nich, były rozpoznawane przez swojego gospodarza, szanowane i obdarzone troską. Miały, że tak powiem „szczęśliwe życie”, co obecnie pojawia się w kontekście sprzedaży jajek od „szczęśliwych kur”. Dzisiaj zdajemy sobie sprawę, że każde zwierzę ma swoje potrzeby gatunkowe i związane z tym pewny wzorce zachowania. Jeżeli chcemy hodować zwierzęta to powinniśmy owe potrzeby zaspokoić i uszanować te wzorce gatunkowe. Jednak człowiek jest istotą chciwą, potrzebuje maksymalizować zyski, eksploatując przyrodę i świat wokół siebie, nie liczy się ani z istotami żywymi, ani z otaczającą go przyrodą. Podejmuje działania, które prowadzą do tego, że istoty żywe traktowane są jako zwykłe zasoby. Na przykład współcześnie polo-

wania nie mają moralnej racji bytu i trudno je uzasadnić, bo są głównie rozrywką. Oczywiście człowiek w wczesnym etapie swojego rozwoju jako gatunek polował i dzięki temu żył, trzeba jednak sobie zdawać sprawę z odmiennego charakteru tamtych polowań. Po pierwsze nie były prowadzone na masową skalę, po drugie zabijane zwierzęta było traktowane z pełnym szacunkiem, a człowiek był w jakiś sposób im równy, nie był bowiem w stanie zdobyć nad nimi tak dużej przewagi jak obecnie dzięki rozwiniętej cywilizacji. Dzisiejsze polowania można jedynie usprawiedliwić próbą przywrócenia zakłóconej równowagi ekologicznej, brakiem naturalnych drapieżników, co powoduje nadmierne rozmnażanie na przykład saren czy jeleni, bo jeżeli mamy nadmiar jeleniowatych, cierpi na tym ekosystem. Wprowadza się tak zwane polowania regulacyjne, wokół których jest dużo sporów, obrońcy zwierząt mówią, że ten rodzaj polowania jest niepotrzebny i nadużywany. **Czyli wobec zwierząt równie winny jest ten, kto trzyma ją w złotej obroży, kto ciągnie za samochodem swojego psa, jak i ten, kto produkuje wyłącznie parząc na zysk.**

Tak, bo zarówno jeden jak i drugi nie widzi zwierzęta, jako odrębnej, żywej istoty, tylko widzi swoje oczekiwania, swoje pragnienia i swoje fantazje. Żeby empatia i poszanowanie innych istot miało sens należy je poznać i zdawać sobie sprawę z tego, kim one naprawdę są. Warto też być realistą, żeby zdawać sobie sprawę, że na przykład kiedy jeździmy samochodami, jesteśmy turystami i korzystamy z szeroko pojętych zdobyczy cywilizacji, to zawsze wchodzimy w drogę zwierzętom, mącimy im spokój, pozbawiany siedlisk, dewastujemy ich nisze ekologiczne. Zajmujemy ich przestrzeń, w której normalnie by funkcjonowały. Na przykład w Indiach mamy bardzo często do czynienia z konfliktami pomiędzy stadami słoni a mieszkańcami wiosek, które powstały na terenach tradycyjnie należących do tych zwierząt. Z punktu widzenia ochrony gatunkowej możemy powiedzieć tak: słoni jest mniej, są zagrożonym gatunkiem, a człowiek jest istotą szkodliwą i jest go za dużo, zatem należy w tym konflikcie stanąć po stronie słoni, „słonie mają rację”. Można tutaj popaść w coś, co bywa nazywane ekofaszysmem, który głosi, że prawo istot czy gatunków szczególnie zagrożonych należy wyżej potraktować niż prawa ludzi i należy dążyć do zredukowania ludzkiej populacji.

Wróćmy na moment do tej faszystowskiej schizofrenii, polegającej na lepszym traktowaniu zwierząt niż ludzi. Skąd to się wzięło? Jak Pan profesor myśli? To bierze się z wrodzonej nam tendencji do wykluczania tych, którzy są albo odmienni albo nam zagrażają i są na-

szymi rywalami. Jako gatunek kształtowaliśmy się w okresie paleolitu i nasze potrzeby psychofizyczne oraz społeczne zostały ukształtowane w czasach, kiedy żyliśmy w małych grupach, małych wspólnotach, gdzie wszyscy się ze sobą znali, byli powiązani i o siebie dbali. Ale te małe wspólnoty musiały rywalizować z innymi, a więc jeżeli wspólnota nie była wojownicza, nie była nieufna i gotowa do eliminowania obcych, to mogła zginąć. Zatem jest w nas taka skłonność do traktowania innych ludzi, szczególnie tych, którzy posługują się odmiennym językiem czy inaczej wyglądają, jako tych, którzy są gorsi, którzy nam zagrażają, którzy są niebezpieczni. **Czyli jest to tendencja typowo atawistyczna.**

To jest bardzo atawistyczna tendencja, tylko że ona się ujawnia szczególnie mocno w sytuacjach konfliktowych. Tu znowu mamy do czynienia z ambiwalencją, bo ta tendencja nie jest jedynie szkodliwa. Jeżeli chodzi o dobro i troskę o innych, to przede wszystkim to zaczynaemy od troski o swoich, o najbliższych. I to jest oczywiste. Traktujemy ją jako coś pożądanego, a nawet oczekujemy od rodziców, od ludzi, którzy ze sobą żyją i funkcjonują razem, że będą sobie nawzajem pomagać i się wspierać. Możemy mówić o pewnych kręgach wspólnot czy kręgach solidarności, tych bliższych i dalszych. Troska o człowieka i poszanowanie człowieka kształtują się dzięki temu, że jesteśmy się w stanie troszczyć o tych, z którymi się bezpośrednio stykamy, z którymi jesteśmy powiązani. Troska ta nigdy nie jest abstrakcyjna, nie ma też czegoś takiego jak abstrakcyjna miłość, która obejmuje ludzkość czy wszystkie istoty. Kształtujemy swoją troskę o innych ludzi poprzez dbanie o tych najbliższych. Tutaj mamy problem, który pojawia się w sporach dotyczących imigrantów czy zwierząt, czy ktoś skupiony na swojej rodzinie nastawiony patriotycznie i nastawiony głównie na dobro ludzi, jest zbyt zawężony, niedostrzegający dobra innych, a to nieprawda. Obowiązuje chyba tutaj złoty środek, bo troska o rodzinę może być patologiczna. Wtedy mamy do czynienia z nepotyzmem, czy wręcz mafijnym wykluczeniem ludzi spoza rodziny, a naszych zwierzęcych przyjaciół możemy traktować lepiej niż innych ludzi. Przypomina się słynny casus komendanta obozu koncentracyjnego, który kochał swoje pieski.

Czy konia Kaliguli, który został senatorem.

Skrajnym obrazem wynaturzenia troski o rodzinę jest znana wszystkim mafia sycylijska. Dla niej obcy ludzie są zinstrumentalizowani. Gdy zaś instrumentalizujemy zwierzęta, przyjmujemy postawę skrajnego antropocentryzmu, egoizmu gatunkowego, który idąc w parze

z nowoczesnym indywidualizmem, skłania do konsumpcjonistycznego nadużywania zwierząt i przyrody. Z kolei, jeżeli chodzi nam o harmonię przyrody, o biosferę, o środowisko to wtedy prawa zwierząt tracą sens. Dlaczego? Jeżeli system jest ważny, to nie liczą się jednostki. System poświęca jednostki dla dobra całości. Z punktu widzenia systemowo i holistycznie nastawionej świadomości ekologicznej cierpienie zwierząt, śmierć i generalnie cały ten ruch, który związany z obiegiem materii i energii w przyrodzie, wykorzystuje jednostki i ich ból tylko instrumentalnie. Z tak przyjętego ekologicznego punktu widzenia populacja ludzka jest szczególnie niebezpieczna, bo nadmiernie się rozrasta, nadmiernie eksploatuje zasoby, a w ten sposób zakłóca system ekologiczny. Zatem w momencie, kiedy patrzymy z perspektywy całości, tak zwanej holistycznej ekologii wówczas wszystkie prawa znikają, bo liczy się całość, a jednostki są służebne wobec tej całości. Skrajne ruchy ekologiczne mogą prowadzić do antyhumanizmu, nawołując do zmniejszenia ludzkiej populacji.

Tymczasem zwierzęta są elementem naszego dobrostanu i źle byśmy się bez nich czuli.

Otóż to. Dbając więc o przetrwanie i pozostawienie biosfery taką jaką ona jest, w gruncie rzeczy dbamy o własny interes. Mamy tutaj do czynienia z tzw. słabym antropocentryzmem. Człowiek jest wyróżnioną istotą, z tego jednak nie wynikają przywileje i nieumiarkowanie, lecz zobowiązania wobec innych istot. To jest jak najbardziej pożądane i ma znaczenie pragmatyczne, ale popadanie w skrajności jest bardzo szkodliwe.

Hodowla przemysłowa tępi naszą wrażliwość na cierpienia zwierząt odpowiednim językiem. Mięso zostało niejako odzwierzęcone. Mamy serdelki, kabanoski, paróweczki, eskalopki, cynaderki. Nie bez kozery używam form deminutywnych. To wszystko pozwała mentalnie oddzielić produkty od ich pochodzenia.

Przypominam sobie sytuację, że w markecie sprzedawano całego prosiaka i zostało to oprotestowane przez klientów, bo budziło zbyt duży dyskomfort i było zbyt drastyczne. Dlatego wolimy ukrywać pewne rzeczy przed sobą, nie dopuszczamy do świadomości. Bardzo podobna mi się stwierdzenie, które gdzieś usłyszałem, że gdyby rzeźnie miały szklane ściany, to wszyscy ludzie, a przynajmniej większość z nas, byłaby wegetarianami.

Wątek praw zwierząt i naszego do nich stosunku znalazł zakotwiczenie się także w literaturze. Olga Tokarczuk w powieści *Prowadź swój pług przez kości umarłych* pokazuje jak za doznane krzywdy zwierzęta zaczynają mścić się na ludziach. Może to metaforyczna wizja przyrody, która bierze odwet za brak szacunku wobec niej.

Tutaj można przywołać wątek ze starożytnej Grecji. Jeżeli człowiek jest nadmiernie zadufany w sobie, rozpira go *hybris* (pycha), chciałby być Bogiem, to dopada go sprawiedliwość boska i ścigają go wypuszczono w imieniu bogów boginie zemsty Erynie. Myślę, że coś takiego jest metaforą tego co się i dzisiaj dzieje. Przyroda „próbuje” o siebie w jakiś sposób zadbać, powrócić do równowagi. Jeżeli jakaś istota żywa przekracza miarę, niszczy boski porządek, to prędzej czy później dopada ją sprawiedliwość. Istoty żywe, nierozumne, czyli zwierzęta, bardzo szybko tego doświadczają, bo jeżeli jakieś zwierzę przekroczy możliwości środowiskowe, wyeksploatuje dostępne zasoby, to po prostu zginie. Taka regulacja następuje na bieżąco. Jeżeli drapieżniki zjedzą za dużo swoich ofiar, to później będą głodować i poniosą konsekwencje. Człowiek dzięki cywilizacji zdaje się unikać takiego losu. Wydaje mu się, że on nie podlega tej regulacji, ale to nieprawda. Później też go dopada ta sprawiedliwość i cywilizacja „odbija mu się czkawką”, pokazuje swoją ciemną stronę. Dziś żyje się trudniej, w mocno zdegradowanym środowisku, powietrze jest zanieczyszczone, szaleją choroby cywilizacyjne i tak dalej. Tych różnych dolegliwości jest cała masa i jest wysoce prawdopodobne, że człowiek sam siebie zgładzi. To oczywiście jest długofalowy proces. Mówi się, że teraz mamy do czynienia z szóstym wymieraniem.

Czy jest na to jakaś rada?

Myślę, że tutaj należałoby rozwijać coś takiego, jak swego rodzaju pokorę, która też jest propagowana od zarania naszej cywilizacji przez wszystkie tradycje duchowe czy religijne. Cywilizacja nasza jest oparta na postawie prometejskiej. Człowiekowi wolno wszystko i dzięki swojej cywilizacji (ogień) nie będzie się musiał liczyć z niczym, z żadnym ładem, żadnymi prawami czy zasadami, stanie się wręcz nieśmiertelny.

Jaki był los Prometeusza wszyscy wiemy. Później czy później następuje upadek. Ta prometejska walka z przyrodą, wydzielanie naturze tajemnic, szalenie budowanie techniki i nauki obraca się przeciwko człowiekowi.

W takim pragmatycznym aspekcie powinniśmy więc życzyć sobie rozsądku, którego granicą jest cierpienie niezależnie od tego kto cierpi, człowiek, zwierzę czy nawet roślina. Z drugiej zaś strony nie możemy być utopistami i musimy zdawać sobie sprawę z tego, że cierpienie jest nieodłącznym elementem życia.

Chodzi o to, żeby je minimalizować i nie zadawać go bez powodu.

Generalnie można by rzec, jeżeli się żyje to się zabija, czy tego chcemy czy nie chcemy. Walka z chorobą jest procesem zabijania tego, co chorobę wywołuje. Człowiek tym się różni od innych istot i na tym polega jego wyróżniająca się pozycja, że może zdystansować się do tego zabiegania o swoje dobro i do swojego egoizmu gatunkowego, może zminimalizować swoje szkodliwe działanie, wreszcie może empatycznie i ze współczuciem spojrzeć na inne istoty. Nie potrafią tego i nigdy nie będą potrafić inne istoty żywe, na przykład zwierzęta. Tym się właśnie różnimy że potrafimy współczuć. Oczywiście jest cała masa badań, które pokazują, że zwierzęta również wzajemnie sobie współczują, dbają o siebie. Jednak czy są w stanie w swoim współczuciu wnieść się ponad swój interes gatunkowy, instynkt macierzyński, czy troskę o swoich współziomków jedynie?

Być może w zwierzęciu występuje namiastka współczucia np. mój pies, kiedy jestem chory, śpi blisko mnie, czuwa więc poniekąd swoją obecnością się o mnie troszczy.

Tak, niewątpliwie. Dzisiaj możemy przeczytać bardzo wiele książek o tym, że moralność ludzka jest nadbudowana nad wrażliwością, która pojawia się już w świecie zwierząt. Ponownie zadam pytanie, czy jest to taka wrażliwość, dzięki której całkowicie wznosimy się ponad swoje pragnienia i dążenia. Chyba tylko człowiek potrafi się wnieść na heroiczny poziom moralny, poziom, kiedy podejmuje działania wbrew swoim interesom, swojemu życiu wobec obcych mu istot, chyba najwierniejszy pies tego nie potrafi. **Dziękuję pięknie za rozmowę**

Dr hab. Grzegorz Francuz jest profesorem uczelni w Uniwersytecie Opolskim. Podejmuje badania z zakresu bioetyki, etyki środowiskowej, ekofilozofii, coachingu, mediacji, filozofii edukacji i filozofii polityki. Opublikował dwie monografie: *O nową integrację wychowania. Ekologicznie zorientowana antropologia filozoficzna a edukacja* (1999), *Strategie przypisywania statusu moralnego istotom żywym* (2011).

Mosty we wszystkich czasach i we wszystkich kulturach były tak samo niezbędne. Pierwsze mosty zbudowane przez człowieka były pniami przerzuconymi przez wąwozy czy koryta rzek. Później technika wznoszenia mostów stała się bardziej wyrafinowana, a do ich budowy zaczęto stosować różne materiały: drewno, liny, kamienie, cegły, beton, żelazo, stal, a nawet tworzywa sztuczne. Współczesne mosty nie tylko pokonują przeszkody terenowe, ale często stanowią też wspaniałą ozdobę krajobrazu. Także w województwie śląskim mamy kilka obiektów godnych uwagi. I o nich ten tekst.

Na początku była kłoda

Prawdopodobnie pierwsze z mostów stworzyła sama przyroda, w postaci zwałonych pni, pnączy czy odłamów skalnych. Podpatrując przyrodę, człowiek zaczął ją naśladować. Pierwsze mosty przez niego zbudowane były pniami przerzuconymi przez wąwozy czy koryta rzek. Później technika wznoszenia mostów stała się bardziej wyrafinowana, a do ich budowy zaczęto stosować różne materiały: drewno, liny, kamienie, cegły, beton, żelazo, stal, a nawet tworzywa sztuczne. Coraz bardziej skomplikowane stały się także ich konstrukcje. Współczesne mosty nie tylko pokonują przeszkody terenowe, ale często stanowią też wspaniałą ozdobę krajobrazu. Dziś już trudno sobie wyobrazić port w Sydney, zatokę Firth of Forth w Szkocji czy zatokę w San Francisco bez istniejących tam mostów.

Województwo śląskie ma także swoje perełki w tej dziedzinie i o nich teraz parę słów, w układzie – od najstarszych do najnowszych. Warto też – poznając mosty – poznać miejscowości, w których są położone.

Gotycki most w Gliwicach

Średniowieczne miasta chronione były na ogół murami obronnymi i fosami. Aby przebyć fosę potrzebna do tego była spe-



Gliwice – zrekonstruowany most gotycki

for Edward Wiczorek

Na lewo most, na prawo most...

EDWARD WIECZOREK

cialna przeprawa, stąd mosty drewniane, w tym zwodzone lub stałe. Fragmenty gliwickich murów obronnych (rozebranych w pierwszej połowie XIX w.) są jednym z najlepiej zachowanych obiektów tego typu na Górnym Śląsku. Wzniesiono je w pierwszej połowie XIV w. Ich obwód wynosił 1125 m, wysokość sięgała 9 m, a grubość miejscami dochodziła nawet do 1,2 m. W obrębie tak ufortyfikowanego miasta znajdowało się 29 baszt i dwie bramy miejskie: Czarna – Raciborska i Biała – Bytomska. Relikty mostu nad fosą i bra-

my miejskiej Czarnej (Raciborskiej) archeolodzy odkryli przy pl. Rzeźniczym w Gliwicach w połowie lat 80. XX w. i na podstawie badań dokonano w 1990 r. rekonstrukcji mostu bramnego i fragmentów przyziemia Bramy Czarnej.

Warto w tym miejscu dodać, że najstarszym, do dziś eksploatowanym mostem kamiennym na ziemiach polskich, jest most w Kłodzku, zbudowany w 1390 r., a z okresu średniowiecza pochodzą też kamienne mosty w Bardzie Śląskim (1516–89), Łądku Zdroju (1565 r.) i ceglany most w Reszlu, zbudowany w XIV w. przez Krzyżaków.

Najstarszy żeliwny – w kawałkach (Gliwice)

Pierwszy na Śląsku most żeliwny powstał w 1796 r. w Łazanach koło Strzegomia, nad rzeką Strzegomką. Jego przęsła zbudowano w powstałej w 1755 r. Hucie Małapanew w Ozimku. W 1945 r. został zniszczony i dopiero niedawno odkryto w korycie Strzegomki kilka jego fragmentów.

Na wzór wyrobów ozimskich także Królewska Huta w Gliwicach zaczęła odlewać elementy żeliwnych mostów. Jeden z pierwszych powstał w 1819 r. w Gliwicach, nad Kanałem Kłodnickim, w ciągu dzisiejszej ul. Hutniczej. Był konstrukcją jednoprzęsłową, ale opierał się na 5 jednakowych żebkach.

Ten odcinek kanału wyłączono z eksploatacji po uruchomieniu linii kolejowej Wrocław-Gliwice-Mysłowice w 1846 r. Most rozebrano w latach 30. XX w., a wy-



for Edward Wiczorek

Gliwice – relikty najstarszego mostu żeliwnego

kop kanału zasypano. Pięć jednakowych prześleń ustawiono jako eksponat na terenie Gliwickich Zakładów Urządzeń Technicznych S.A., które od 1945 r. są kontynuatorem odlewniczej tradycji gliwickiej Huty Królewskiej i Królewskiej Odlewni Żeliwa (Königliche Eisengießerei in Gleiwitz).

Oprócz wspomnianego mostu w Gliwicach, z którego pozostały jedynie elementy żeliwne, Królewska Odlewnia Żeliwa zbudowała w 1824 r. most dla Poczdamu (Havelbrücke), a w latach 1826–27 słynny most Weidendammer Brücke, stojący do dziś w Berlinie (przebudowany w 1897 r.).

Kamienny most nad Białą Przemszą (Sosnowiec Maczki)

Można by śmiało stwierdzić, że most w Maczkach to jedna z najważniejszych budowli dawnej Kongresówki. Połączył on bowiem ją z szerokim światem. Stało się to za sprawą Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, której budowę rozpoczęto w 1840 r., a ukończono w 1848 r. Licząca 307 wiorst (328 km) linia kolejowa przechodziła przez 233 mosty kamienne i drewniane.

Najważniejszym był most kamienny nad Białą Przemszą, w miejscu zwanym Granica (dziś dzielnica Sosnowca Maczki), budowany wraz z dużą graniczną stacją kolejową (jeden z najdłuższych dworców kolejowych w Europie, długości 230 m) i komorą celną w latach 1847–1848.

Most ma 70 m długości i 6 prześleń po 8,5 m w świetle. Dzięki niemu pociągi jadące kiedyś do Wiednia przekraczały granicę monarchii austro-węgierskiej i przez Szczakową wjeżdżały do Prus w Mysłowicach. Dalej już przez Katowice, Kędzierzyn, Racibórz – docierały do Bogumińska, gdzie istniało bezpośrednie połączenie z Wiedniem linią Kolei Północnej Cesarza Ferdynanda.

Wkrótce wokół stacji granicznej powstała osada kolejarzy, celników, która do 1925 r. używała nazwy Granica.

Most nad Mleczną (Katowice Podlesie)

Mleczna, zwana dawniej Dupiną, należy do zlewni Wisły; wypływa między katowickimi dzielnicami Ochojcem i Piotrowicami. Od Piotrowic rzeka Mleczna skanalizowanym korytem płynie przez Czulów w kierunku Bierunia Starego, gdzie na swym 23 kilometrze wpada do Gostyni, dopływu Wisły.

Rzeka Mleczna nie zasługiwałaby na naszą uwagę, gdyby nie fakt, że w Katowicach-Podlesiu wznosi się nad nią zabytkowy most.

W średniowieczu przez Podlesie, nazywane wówczas Uniczowem, biegł ważny trakt handlowy z Gliwic przez Mikołów do Dzieńkowic i Krakowa, nazywany „traktem furmańskim”, a wożono nim głównie sól. Odnoga tego traktu wiodła na południe do Pszczyzny przez bród na Mlecznej. Później w tym miejscu zbudowano



Katowice-Podlesie – most nad rzeką Mleczną

drewnianą kładkę, a w 1898 r. w ciągu ulicy Zaopusta powstał kamienny, dwuprzęsłowy most. Estetyczną lukową konstrukcją jego prześleń podkreśla obramowanie z cegieł, kontrastujące z pozostałymi elementami kamiennymi. Most posiada też kute metalowe balustrady umieszczone między murowanymi słupkami.

W województwie śląskim most ten jest unikatem, w związku z czym w 1984 r. wpisano go do rejestru zabytków i objęto opieką konserwatorską. Po remoncie w 1990 r. most został wyłączony z ruchu kołowego.

Most donikąd (Katowice Podlesie)

W środku lasu (50°9'57"N 18°57'0"E), między katowicką dzielnicą Podlesie, a mikołowskim Gniotkiem, wznosi się żelbetonowy most donikąd. Mieszkańcy nazywają go „Cygańskim mostem” bo niegdyś, kiedy jeszcze Romowie wędrowali taborami,

często zatrzymywali się w jego okolicy.

Jak pisze Stefan Gierlotka, autor monografii Uniczowa (nie istniejącej już osady na terenie dzisiejszego Podlesia, Piotrowic i Kostuchny), most ten (a właściwie wiadukt – bo nie prowadzi nad wodą) zbudowano na polecenie księcia pszczyńskiego Hansa Heinricha XV na początku lat 20. XX w. Miał on być częścią linii kolejowej, która miała połączyć uruchomioną w 1920 r. kopalnię „Barbara” w dzielnicy Mikołowa Kopaninach, kopalnię „Böerschachte” („Boże Dary”) w Kostuchnie – z Tychami i elektrownią w Łaziskach Górnych. W kopalni „Barbara” produkcję zatrzymano w 1924 r. ze względu na zastój w śląskim górnictwie i być może to stało się przyczyną zaniechania budowy linii kolejowej (na marginesie: w 1926 r. kopalnię wydzierżawił Górnośląski Związek Kopalń i Hut i ulokowano w niej Sta-



Katowice-Podlesie – tzw. Cygański most

cję Doświadczalną i Centralę Ratownictwa Górniczego; rolę kopalni doświadczalnej pełni do dziś). Dodatkowo w 1934 r. nad majątkiem księcia pszczyńskiego ustanowiono zarząd komisaryczny.

Z tamtych czasów, w środku lasu, pozostały dwie betonowe budowle. Większy i wyższy – wiadukt o konstrukcji drogowo-kolejowej, przystosowany do poprowadzenia górą lub dołem toru kolejowego – o wysokości około 10 m i długości 20 m i mniejszy – most nad strugą Bielawka. Wiadukt, zwany „Cygańskim mostem” jest atrakcją dla początkujących wspinaczy, oba zaś są znakiem zapytania dla tych wszystkich, którzy dotrą w ich pobliże.

Most wiszący w Krupskim Młynie

Śląskie ma też swój Golden Gate Bridge, oczywiście nie w takiej skali jak San Francisco, ale tak samo jest to most linowy.

W latach 30. XX w. rozpięto go między dwoma brzegami Małej Panwi, malowniczo meandrującej przez Krupski Młyn. Jest wiszącym mostem stalowym o długości ok. 25 m, którego liny wspierają się na dwóch murowanych pylonach w kształcie bram. Po konserwacji przed paru lat, interesująco prezentują się odcigi mostu, pęki lin i rolki, na których się wspierają.

Uroku mostowi dodaje także sama Mała Panew, która wykorzystywana jest do spływów kajakowych.

Wiślańskie akwedukty

Na linii kolejowej Ustronń-Wisła Głębce mamy most kolejowy, drugi co do wysokości w Polsce (26 m), zaś z pewnością najwyższy w nas w regionie. Najwyższe w Polsce, bliźniacze mosty są w Stańczykach są na Suwalszczyźnie – 31,5 m, na nieczynnej już linii kolejowej. Most w Łabajowie jest nadal czynny i funkcjonuje na dość ruchliwej linii kolejowej, prowadzącej do Wisły Głębce. Most w Łabajowie, wraz z mostem, w sąsiedniej dolinie Dziechcinki, stanowił



Wisła-Głębce – most nad potokiem Łabajów, zdjęcie archiwalne z albumu „Ziemia Śląska” Adama Mickulskiego, Katowice, 1937

największy problem inżynierski budowanej od 1928 r. linii kolejowej z Ustronia do Wisły Głębce. W okresie międzywojennym były nawet plany przedłużenia tej linii kolejowej przez Istebną do Zwardonia.

Najciekawszy odcinek tej linii kolejowej, zaczyna się za Ustroniem Polaną, kiedy biegnie wzdłuż rzeki Wisły. Za stacją kolejową Wisła Uzdrowisko linia kolejowa wspina się na stoki Skolnitego Wierchu, później przekazuje betonowym mostem dolinę Dziechcinki i stokiem Kobylej dociera do doliny Łabajowa. I wreszcie największa atrakcja całej linii – strzelisty most nad doliną Łabajowa, będący jednym z symboli Wisły. Most, rozpięty na siedmiu żelbetonowych przęsłach, liczących łącznie 126 metrów długości i 26 metrów wysokości od poziomu Łabajowa, zbudowała w latach 1931–33 firma budowlana Ksawerego Goryanowicza, w oparciu o projekt S. Saskiego i T. Mejera, o czym informuje tablica pamiątkowa wmurowana w filar mostu.

Różowy most w Cieszynie

Mosty stanowią nie tylko konstrukcyjne połączenie dwóch odległych punktów, ale często śmiałe projekty architektoniczne, jak chociażby most Sundial w Redding (północna Kalifornia) projektu Santiago Calatravy. Cieszyński Most Sportowy nie jest tak śmiały, jak konstrukcja Calatravy, ale już od początku wzbudzał liczne kontrowersje.

Zacznijmy od tego, że pierwszy projekt kładki, łączącej polską i czeską część Cieszyna, opracował w 2004 r. francuski architekt François Roche. Była to fantazyjna wizja węzła ze stali, łączącego faktycznie i symbolicznie podzielone przez granicę, miasto. Podświetlany, z platformą widokową, miał być wielką atrakcją turystyczną, ale Roche nie wziął pod uwagę polskich i czeskich norm budowlanych. Zobowiązano go do dokonania poprawek projektu mostu. Ostatecznie jednak nie doszło do jego realizacji.

Nową wizję kładki, łączącej park pod Wałką w Cieszynie i park Adama Sikory w Czeskim Cieszynie opracowało studio architektoniczne z Brna. Oddana do użytku w 2012 r. kładka ma 96 m długości, 6 m szerokości, jeden charakterystyczny łukowaty dźwigar oparty na dwóch filarach po polskiej i czeskiej stronie i różowy kolor. To sprawia, że z daleka przyciąga uwagę. Z kładki mogą korzystać piesi, rowerzyści, a także osoby jeżdżące na rolkach.

Zamykając rozważania o mostach województwa śląskiego, zacytuję Ivo Andrica, laureata Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1961): Mosty są ważniejsze od domów, świętsze od kościołów, ponieważ w większym stopniu stanowią wspólną własność. Należące do wszystkich i wszystkim w równej mierze przydatne, wzniesione są sensownie zawsze na tym miejscu, gdzie najczęściej krzyżują się ludzkie potrzeby. Mosty trwają dłużej niż inne budowle i nie służą żadnym ukrytym lub złym celom.



fol. Edward Wiczcerek

Krupski Młyn – wiszący most nad Małą Panwią



Sosnowiec-Maczki – dawny most graniczny nad Białą Przemszą



Wisła-Głębce – most nad potokiem Łabajów



Ustanowiony w 1975 roku herb Ozimka zawiera m.in. półkę kadzi hutniczej oraz szkic żelaznego mostu nad Małą Panwią – najcenniejszego zabytku miasta.



Z turystyczną wizytą w gminie Ozimek O kadzeniu i mewach trójpalczastych

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Śląsk Opolski to niezbyt popularny wśród turystów, ale za to bardzo intrygujący region z mnóstwem oryginalnych zakątków i zabytków. Najmniejsze województwo, obejmujące tylko 3% obszaru Polski, może się poszczycić m.in. najstarszym w kontynentalnej Europie żelaznym mostem wiszącym dla pieszych. Nadrzeczny obiekt z roku 1827 jest największą atrakcją turystyczną Ozimka – niespełna dziewięciotysięcznego miasteczka w dorzeczu górnej Odry.

Wiszący most łańcuchowy o łącznej długości 77 m, szerokości 6 m i nośności 3 ton został przed czterema laty wpisany na listę pomników historii. Obiekt – zaprojektowany w początkach XIX wieku przez inspektora hutniczego Carla Schotteliusa – łączy brzegi Małej Panwi, prawobrzeżnego dopływu Odry. Warto odnotować, że 132-kilometrowa rzeka ma swoje źródła w pobliżu śląskiego miasta Koziegłowy, a wpada do Odry w północnej części Opola na terenie dawnej wsi Czarnowąsy. Zabytkowy most w Ozimku to najciekawsze chyba miejsce wzdłuż całej Małej Panwi.

Wizerunek charakterystycznego obiektu widnieje w herbie miasta. Trudno się temu dziwić. To najbardziej popularna budowla w Ozimku. Jej miniaturowe modele można podziwiać w pobliskim Parku Hutnika oraz w miejscowym Muzeum Hutnictwa. W mieście w ogóle są pielęgnowane tradycje hut-

nicze, bo istnieje tam najstarsza w Polsce huta żelaza – „Małapanew”.

Ośrodek kadzenia i turystyki

Huta powstała w 1754 roku z inicjatywy króla ówczesnych Prus – Fryderyka II. Widocznym symbolem hutniczego charakteru Ozimka jest stojąca na śródmiejskim skwerze elegancka kładź hutnicza naturalnej wielkości. Niektórzy mieszkańcy miasta żartują nawet, że obecność w plenerze tego zaskakującego eksponatu sprzyja kadzeniu lokalnym władzom. Połówka graficznego szkicu kadzi jest także częścią herbu Ozimka.



Miasto słynie jednak nie tylko z hutnictwa. Ma też niewątpliwe walory turystyczne z racji bliskiego sąsiedztwa Jeziora Turawskiego. W odległości zaledwie 6 kilometrów od Ozimka znajduje się wieś Szczedrzyk (w gminie Ozimek), położona nad brzegiem największego akwenu Opolszczyzny. To ulubione miejsce dla wielu rowerzystów, którzy chętnie wybierają się na przejażdżki w rejonie jeziora. Utworzony



jeszcze przed wybuchem II wojny światowej zbiornik retencyjny na rzece Mała Panew zajmuje sporą powierzchnię 24 km², przyciągając uwagę licznych miłośników przyrody.

Można tam spotkać rzadkie okazy roślinności (z niezwykle pod względem florystycznym szuwarami), a samo jezioro to unikatowa na skalę europejską ostropa wód, w tym m.in. rybitw białowąsych, pliszek cytrynowych, płaskonosów i mew trójpalczastych. Szkoda tylko, że nad brzegiem akwenu, który w czasach wojny nosił nazwę *Hitlersee*, stoją do dziś zaniedbane do granic możliwości budowle hydrotechniczne, pozostające w gestii Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej we Wrocławiu. Może warto chociażby wyremontować zrujnowane dachy rozsypujących się budynków?

Dinozaury w tunelu czasu

W granicach gminy Ozimek leży również mało znana wieś Krasiejów (w przeciwnym kierunku, niż Jezioro Turawskie). Od blisko 30 lat są tam prowadzone – o czym wiedzają tylko nieliczni – naukowe wykopaliska paleontologiczne. Badacze napotkali do tej pory w Krasiejowie duże fragmenty szkieletów jeziornych i lądowych kręgowców sprzed około 230 mln lat. Światowy rozgłos zdobyło zwłaszcza znalezienie szczątków okazu z epoki jurajskiej – dinozauromorfa.

Naturalną konsekwencją takich sensacyjnych odkryć naukowych stało się utworzenie lokalnego muzeum paleontologicznego, połączonego z parkiem rozrywki. Częścią tego kompleksu jest imponująca wystawa dinozaurów. Chętni mogą ponadto skorzystać z przejazdu pociągiem w tunelu czasu. To prawdziwy rarytas edukacyjno-rozrywkowy. Niewiele miejscowości w kraju wyróżnia się podobnymi atrakcjami. Warto je obejrzeć we własnym zakresie. Odległość: ok. 20 km na wschód od Opola!

fol. Z. Lubowski



Most w Ozimku został gruntownie odrestaurowany w latach 2009–2010

fol. Z. Lubowski

Kiedy to było? Ktoś pamięta? Czy można w ogóle wyobrazić sobie moment zerowy istnienia wszechświata? Gdy wszystko skupione było w jednym punkcie, wypełnione ogromną energią, swój bieg rozpoczął czas a przestrzeń zaczęła rozszerzać się w gigantycznym tempie. W końcu nastąpił Wielki Wybuch, po nim początek istnienia i dalej w szalonym pędzie, większym niż prędkość światła, rozpoczął się proces twórczy, po elektronach i protonach przyszła w końcu kolej na atomy, potem pierwsze cząstki złożone i tak dalej, wszystko popłynęło we właściwym sobie kierunku. Ktoś zapyta co z tego? Niby nic, ale przecież nie ma chyba człowieka, którego nie zajmowałyby losy świata, zwariowany bieg rzeczy, następstwo zdarzeń składające się na historię, w jakiej każdy zajmie własne miejsce.

Jeśli ktoś ma ochotę zmierzyć się z teatralną wersją dziejów świata, nieco zwariowaną, utrzymaną w tempie dorównującym temu z jakim rozszerzała się przestrzeń i ruszał czas; powinien udać się do Teatru Polskiego w Białymostku, gdzie swą premierę miał w ciepły czerwcowy wieczór musical Boyda Grahama z muzyką Jeda Feuera *The Big Bang czyli Wielki Wybuch*. Reżyserował Tomasz Dutkiewicz, który po raz kolejny sięgnął po to brodwayowskie widowisko, wcześniej realizując je dla Teatru Muzycznego w Gdyni. Dodajmy, że nie tylko wyreżyserował sztukę, ale także dokonał tłumaczenia oraz adaptacji.

Najbardziej zwariowany musical w dziejach świata narodził się około roku 1993. Jed Feuer wspominał, że spotkał się z Grahamem w swoim domu, sugerując, że nadszedł czas, aby napisać coś naprawdę dla siebie, teatralnego, zawierającego niekończącą



fol. Joanna Gatuszka

Wyprzedzić czas

WOJCIECH LIPOWSKI

się inwencją, pomysłowość. Chodziło o spektakl muzyczny, ale w kameralnej przestrzeni, złożony z mieszaniny gatunków, postaci, zagrany tylko przez dwóch zdesperowanych aktorów przymierzających kolejne role niczym kostiumy. Obaj mają nadzieję zwabić inwestorów do wsparcia finansowego ich pomysłu na duży musical o historii Wszechświata, utrzymany w stylizacji galopu tematów, zdarzeń, motywów muzycznych od klasyki poprzez swing, reggae, rock po muzykę źródła. Wszystko, z braku miejsca, odgrywa się w salonie wynajętego mieszkania na Manhattanie, wykorzystując każdą możliwą do użycia rzecz, a towarzyszy im stary kumpel pianista Albert. Ca-

łość mieniąca się barwami, dowcipem, zaskakująca, miejscami nieprzyzwoita, ale utrzymana w ryzach obyczajowych. Galeria postaci imponująca: Nefertiti, Jimi Hendrix, Juliusz Cezar, Napoleon, Najświętsza Maryja Panna, Krzysztof Kolumb, Adam i Ewa, Izabela II Hiszpańska, Pocahontas, Janis Joplin, Ewa Braun i wielu innych. W kwietniu 1997 roku jeszcze pod innym tytułem odbyły się pierwsze pokazy w Durham w Północnej Karolinie potem kolejne, przyjmowane z entuzjazmem. W roku 2000, już pod obecnym tytułem, jak twierdzi Feuer, nawiązującym do pierwszego numeru otwierającego spektakl, odbyła się premiera w nowojorskim Douglas Fairbanks Theatre.

Autorzy bielskiej wersji nie wprowadzili do sztuki większych zmian, poza aluzjami do współczesnych, rodzimych spraw, wydaje się, że bardzo umiejętnie wplecionych w całość, nie rażących nachalnością. Reżyser podkreśla, że realizacja ma czysto rozrywkowy charakter, ale jednocześnie jest bardzo trudnym wyzwaniem dla aktorów, którzy przez ponad półtorej godziny muszą przykuć uwagę widowni, doskonale tańczyć, śpiewać i po prostu ją bawić. Rafał Sawicki (Raf) i Tomasz Lorek (Tom) budzą głęboki podziw swą grą w tym niezwykle wymagającym spektaklu. Tempo narracji jest bardzo szybkie, zmiany scen następujących po sobie dynamiczne, mnóstwo kostiumów niezwykle pomysłowych, wykonanych naprędce z firanki, abażura, zegara, czy kwiat-

fol. Joanna Gatuszka





ka w doniczce, a nawet słuchawki telefonicznej. W warstwie muzycznej gigantyczna rozpiętość tematów. Sawicki i Lorek pływają w morzu utworów wywołujących smutek, radość, zdumienie – wszystko przećwiczone zapewne setki razy i doprowadzone do perfekcji. Każdy z aktorów gra, jak wspomniano, kilkanaście postaci, nieustannie biegając, intensywnie interpretując poszczególne piosenki.

Teatr Polski dał swym widzom po długim okresie przymusowego zamknięcia, atrakcyjne, radosne widowisko – bo chyba tak należy określić ten kameralny musical. *The Big Bang* nie tylko mieni się feerią barw i rytmów, czaruje dowcipem, licznymi skeczami muzycznymi, ale skłania także do odnalezienia w aluzjach i prześmiewczym dowcipie pewnej refleksji dotyczącej naszych polskich realiów. Trzeba podkreślić, że to jednoaktowe przedstawienie zawdzięcza swój sukces przede wszystkim świetnym aktorom bielskiej sceny. Zaśpiewać bez chwili przerwy 17 piosenek (aranżacja Tomasz Filipczak), przygotować kostiumy i czu-

wać nad układem choreograficznym (wielkie brawa dla Joanny Semeńczuk), to wyczyn naprawdę imponujący, wymagający kondycji, talentu, wycucia komediowego i nieustannej interakcji z publicznością, która jest także jednym z bohaterów spektaklu. I to ona ma wyłożyć na realizację przedsięwzięcia niebagatelną sumę 83 milionów dolarów. Do tego należy dołożyć jeszcze pół miliona dla pianisty bardzo udanie i z wdziękiem akompaniującego artystom. W tej roli dyskretny, cierpliwie znoszący ciągle uwagi i pretensje partnerów Piotr Matusik.

Pod względem treści sztuka jest opowieścią, prowadzoną niby linearnie od wspomnianego Wielkiego Wybuchu, czasów biblijnych po XX wiek, ale bardziej przypomina kabaret, show, modny obecnie stand up niż spektakl w czystej postaci. Mnogość postaci historycznych i motywów można by spożytkować w co najmniej kilku osobnych musicalach. Skondensowana forma, liczne niedomówienia, wskaazywana już różnorodność muzyczna całości sprawiają, że określenie *zwa-*

riowany nie zostało użyte na wyrost. Na podkreślenie zasługuje praca dwójki realizatorów wspomnianej już choreografii, a także bardzo pomysłowej scenografii autorstwa Wojciecha Stefaniaka. Publiczność, sądząc po reakcjach, niezwykle spontanicznie witała kolejne zaskakujące układy taneczne towarzyszące poszczególnym piosenkom, ale także oryginalne kostiumy stwarzane na poczekaniu z rzeczy powszedniego użytku, zawsze pomysłowo i zabawnie.

Spektakl Tomasza Dutkiewicza nasuwa skojarzenia – *toutes proportions gardées* – ze słynnym filmem Mela Brooksa *Historia świata* z 1981 roku, w którym parodiował historię ludzkości. Może ktoś pamięta tę wizję reżysera, w której dowiadujemy się prawdy o Imperium Rzymskim, właściwej liczbie biblijnych przykazań, prawdziwym przebiegu ostatniej wieczerzy, czy stanie obuwia hiszpańskiej Inkwizycji. *The Big Bang* jest podobnym ciągiem zwiariowanych gagów, pełnych parodii i śmiechu. Produccenci najdroższego musicalu o dziejach świata, na który zbierają pieniądze, prezentują publiczności najlepsze fragmenty planowanego spektaklu od Adama i Ewy po Woodstock. Co zapamiętamy z tej gonitwy muzycznych skeczów? Zapewne każdy coś innego. Może aluzje do współczesnych postaci ze świata polityki, zjawisk i spraw, którymi żyjemy wszyscy od miesięcy duszeni gigantyczną epidemią, a może rubaszne, dosadne dowcipy lwa jedzącego chrześcijan lub popisowy, nagrodzony brawami song o bulwie, śpiewany po kaszubsku przez Tomasza Lorka lub piosenkę Ewy Braun w wykonaniu Rafała Sawickiego albo parodię legendarnego występu Jimiego Hendrixa na Woodstock w 1969 roku i jego improwizacje solowe na gitarze inspirowane amerykańskim hymnem.

Humor, a zwłaszcza ta jego odmiana, w której kpiąca inteligencja miesza się z udawanym patosem, ironią, często jest wyrazem pewnej bezradności, niemocy wobec świata, który przerosł nasze oczekiwania i wyobrażenia. Być może pomocne w jego okiełznaniu okażą się drwina i śmiech. I właśnie wtedy przeszukując nieustannie wszechświat, próbując przegonić uciekający nam czas, naszym bohaterowie spektaklu, natknijemy się w końcu w jednym z mijanych luster na odbicie własnych twarzy. ■

B. Graham, J. Feuer
The Big Bang czyli Wielki Wybuch
 adaptacja, tłumaczenie, reżyseria Tomasz Dutkiewicz
 Teatr Polski Bielsko-Biała
 Premiera 4–5 czerwca 2021



Próżno szukać w liczącej co najmniej siedem wydań „biblii operowej” Józefa Kańskiego pt. *Przewodnik operowy* omówienia opery Giacomo Pucciniego *La Rondine* (*Jaskółka*). Dziełu temu, wybitny znawca i koneser opery, w zasadzie nie poświęcił ani jednego zdania, poza stwierdzeniem, że po sukcesach sztandarowych dzieł, jak *Manon Lescaut*, *Cyganeria*, *Tosca* i *Madame Butterfly*, Puccini „jakby obniżył swój lot”. Żadna kolejna – czy to *Dziewczyna z Zachodu* (napisana na zamówienie Metropolitan Opera), czy *La Rondine*, a także *Tryptyk* złożony z trzech jednoaktówek (*Płaszcz*, *Siostra Angelica* i *Gianni Schicchi*) nie dorównywały poprzednim. Zauważył jedynie, że *Jaskółka* to operetka napisana na zamówienie jednego z teatrów wiedeńskich. A jak wiadomo, ciesząca się wielką popularnością w czasach Straussa i Lehara operetka zaspokajała gusta popularne i masowe, służyła wyłącznie rozrywce, więc nie mogła równać się z poważnymi, wyrafinowanymi dziełami. Sam Puccini, mimo namowy Lehara, odżegnywał się od napisania dzieła stricte operetkowego, skłaniając się raczej ku operze komicznej – i taki charakter nadał *Jaskółce*. Zrealizował zamówienie teatru wiedeńskiego, ale miał świadomość, że ten gatunek sceniczny nie ma nic wspólnego z jego dotychczasową twórczością. Powstała więc *Jaskółka*, ale nie jako operetka – jak chcieli zamawiający, lecz opera komiczna. Nie obeszło się bez zmiany pierwotnego libretta, co było jednym z powodów opóźnienia dnia premiery. Na to nałożyła się ówczesna sytuacja polityczna, i ostatecznie prapremiera odbyła się 27 marca 1917 roku w Operze w Monte Carlo. Sukces, jaki odniosła *La Rondine* jednak nie przekonał Kańskiego do poświęcenia temu dziełu chociażby jednego zdania.

Tymczasem od chwili pierwszego scenicznego wystawienia *La Rondine* święciła tryumfy. Nawiązania do wcześniej-



fol. Krzysztof Bielński

„La Rondine” czyli płonąca jaskółka w Operze Śląskiej

WIESŁAWA KONOPELSKA

szych oper – tak pod względem tematyki, jak i rysunku postaci, nagromadzenie charakterystycznych dla klimatu wiedeńskiej operetki: walców, nawet modnego w tym czasie fokstrotą, popisowych, sentymentalnych piosenek i arii sprawiło, że *La Rondine* była z powodzeniem prezentowana na światowych scenach teatrów Bolonii, Mediolanu, Rzymu, Neapolu, a nawet Buenos Aires.

Niestety, nie utrzymywała się długo w repertuarze i zaczęła popadać w zapomnienie. Puccini rozgoryczony tym faktem, podjął kolejną próbę walki o *La Rondine* i przystąpił do poprawek partytury, ale i tak czas obszedł się z tą operą dość dramatycznie. Dopiero współcześnie sięgnięto po *La Rondine*, dano jej jakby drugie życie sceniczne – zawędrowała nawet do Metropolitan Opera, ale i tak, mimo wielu swoich zalet, ciągle pozostawała na marginesie stałego repertuaru teatrów muzycznych.

29 maja 2021 roku za sprawą Opery Śląskiej *La Rondine* zagościła na scenie bytomskiego teatru po raz pierwszy w jego historii. Nigdy dotąd nie była też prezentowana w innych teatrach muzycznych w kraju. Było to możliwe za sprawą koprodukcji z Meininger Staats Theater. Losy głównej postaci – paryskiej kurtyzany Magdy de Civry i jej pragnienie zaznania prawdziwej miłości wyreżyserował Bruno Berger-Gorski. Kierownictwo muzyczne powierzono Yaroslavowi Shemetowi – dyrygentowi współpracującemu z Operą Śląską, a od niedawna związanemu z Filharmonią Śląską.

Bruno Berger-Gorski w bytomskiej realizacji przeniósł historię *La Rondine* do czasów Grace Kelly. Rzecz rozgrywa się w luksusowym salonie paryskiego

fol. Krzysztof Bielński



hotelu, gdzie toczy się burzliwe życie towarzyskie, w którym młodzi literaci szukają poetyckiego natchnienia, a elegancie, ciągle chichocące i krytykujące bywalców kurtyzany – bogatych opiekunów. Poetą, dzięki któremu główna bohaterka – Magda zapragnie prawdziwej miłości jest Prunier – autor piosenki opowiadającej o Doretcie, która w imię prawdziwej, wielkiej miłości rezygnuje z wygodnego życia. Pomysł na kolejną zwrotkę podsuwa poecie Magda – przypomniał się jej bowiem epizod z przeszłości, kiedy sama znalazła się w sytuacji Doretty, lecz ona dla miłości nie porzuciła dotychczasowego życia – wolała zostać utrzymaną bogatego Rambalda. Pragnienie przeżycia jeszcze raz wielkiego uczucia nadrza się w chwili przypadkowego pojawienia się Ruggera. Kiedy jednak rozkochała go w sobie i spędzała z nim pełne miłosnych uniesień chwile na Lazurowym Wybrzeżu, okazało się, że Magda nie pragnęła życia u boku wybranka – biednego studenta, a tym bardziej nie zamierzała spełnić jego prośby, by została jego żoną. Nie w takiej roli widziała się Magda – kategorycznie oznajmiła Ruggerowi, że nie będzie żoną i matką, jak tego pragnął, woli pozostać jego kochanką i wyzwoloną kobietą. Chciała przeżyć wyłącznie wielką, namiętną miłość, a potem wrócić na paryskie salony i prowadzić wygodne, choć dręczące ją czasem życie. Tradycyjnie wychowany Ruggero nie potrafił pogodzić się z niespodziewaną decyzją ukochanej.

Symbolem gorącej, lecz niespełnionej miłości, stał się królujący w paryskim salonie fortepian – przy nim powstała zapewne niejedna piosenka i ta najważniejsza, która stała się przyczyną późniejszego dramatu Magdy i Ruggera. Ten sam fortepian w finałowej scenie zaczyna płonąć, a nad buchającym ogniem unosi się jaskółka – wyobrażenie Magdy, której poeta Prunier z dłoni wyczytał niepewną przyszłość: porwie ją – niczym jaskółkę – wir wielkiej miłości i spełnienia marzeń, albo spotka ją los tragiczny. Jak odnieść obraz płonącego fortepianu do losu jaskółki? Czy jest to ślad „naukowej” teorii stworzonej w drugiej połowie XVII wieku przez wybitnego uczonego tamtego czasu Jana Heweliusza, mówiącej o tym, że ten pięknie śpiewający i pełen wolności ptak, jakim jest jaskółka, nie potrafiłby przecieżyć pokonać tak wielkiej odległości, odlatując na zimę do odległych, ciepłych krajów, więc zimuje głęboko schowany w mule jezior. Kiedy przychodził odpowiedni czas, według Heweliusza, odrętwiałe ptaki ożywały, kiedy wrzucano je do otwartego ognia – płomienie nie tylko ratowały im życie, ale dodawały wigoru do dalszego życia. Czyżby i Magda de Civry odradzała się w niszczycielskim ogniu miłości?

Tak więc, jak na operę przystało, jest dramatyczne zakończenie, są piękne piosenki i arie, słowem, jest wszystko co najpiękniejsze w dziełach Pucciniego.



fol. Krzysztof Białński

Skoro jednak jest to opera komiczna, musi być też wątek komediowy – znakomicie poprowadzone postaci poety Puniera i niedoszłej śpiewaczki – pokojówki Lisette, a także sytuacje w jakich się znajdują, dostarczają widzom zaskakujących, pełnych humoru scen.

Wystawienie „La Rondine” na scenie Opery Śląskiej okazało się kolejnym sukcesem tego teatru. Gwarantem znakomitego przyjęcia tego zapomnianego dzieła Pucciniego byli soliści: Iwona Sobotka kreująca partię Magdy, Ewelina Szybiłska w roli Lisette, Andrzej Lampert jako Ruggero, Albert Memeti – odtwórca partii Pruniera, czy Adam Woźniak w roli Rambalda.

Iwona Sobotka – gwiazda najważniejszych scen operowych i sal koncertowych w Europie, po raz pierwszy wystąpiła gościnnie w Operze Śląskiej. Zachwyciła i ujęła serca publiczności swoim pięknym sopranem a także talentem aktorskim. Perfekcyjna w każdym calu, przepięknie zaprezentowała swoje możliwości wokalne. Podobnie towarzyszący jej Andrzej Lampert – artysta wszechstronny, dysponujący wspaniałym głosem tenorowym. Wraz z Iwoną Sobotką stworzyli przejmujący i przekonujący duet kochanków.

Zgoła odmienną w charakterze, chociaż również niedopasowaną parę stworzyli Albert Memeti – poeta i Ewelina Szybiłska – pełna energii, humoru i wigoru Lisette, która wybrała życie u boku swej pani – Magdy, porzucając romantyczną miłość zakochanego w niej poety. I ten duet dostarczył widzom wspaniałych artystycznych doznań. Na uwagę zasługiwał także Adam Woźniak, który wcielił się w postać drugoplanową, ale pozostawił na scenie wspaniałe wrażenie, budując mocną postać nie znoszącą sprzeciwu Rambaldo.

Tak więc „La Rondine” Giacomo Pucciniego zapewne zostanie bardzo dobrze zapamiętana przez bytomską publiczność i stanie się mocnym punktem repertuaru Opery Śląskiej.

Dodać też trzeba, że była to pierwsza w czasie pandemii prezentacja spektaklu „na żywo” z udziałem publiczności. Okazało się też, że nawet tzw. rygor sanitarny ma swoje dobre strony, bowiem część zespołu orkiestrowego zajęła miejsca przed sceną, a dobrze widoczny dyrygent Jaroslav Shemet mógł z młodzieńczym rozmachem i uśmiechem poprowadzić spektakl – a uczynił to koncertowo. ■



fol. Krzysztof Białński

Gra światel, czyli bogate życie kin prowincji górnośląskiej

Z URSZULĄ BIEL rozmawia MAŁGORZATA LICHECKA

Do którego kina prowincji górnośląskiej wybrałaby się pani najchętniej?

Na pewno do tego, w którym pracuję. Od roku 1928 do 1945 było to U-P Lichtspiele, po 1945 – kino Bajka, teraz Amok. Także do kina Roma w Zabrze, czyli Lichtspielhaus i najchętniej odwiedziłabym je w dniu otwarcia, bo było wówczas czymś absolutnie nowym i luksusowym.

Z racji zamieszkania i pracy w Gliwicach chodziłabym do Schauburga (ul. Dworcowa) z powodu... dwóch balkonów. Zachowało się dobrej jakości zdjęcie wnętrza tego kina i – kiedy ogląda się je w powiększeniu – wyraźnie można ten drugi balkon dostrzec. Wpadłabym jeszcze na kilka seansów do Staedische Lichtspiele, usytuowanego na dzisiejszym placu Mickiewicza. Oba już nie istnieją, ale o ostatnim, z racji tego, że było kinem miejskim, zachowało się dużo materiałów archiwalnych. Pewnie wybrałabym się również do Bytomia – było tam wiele kin i aż trzy, najwięcej w prowincji górnośląskiej, należące do koncernu UFA. Chętnie pojechałabym do jednego z miasteczek na Opolszczyźnie, by poczuć klimat kina salowego. W karczmach i gospodach montowano po prostu projektory. Seanse miały dość swobodny przebieg – wszyscy się znali, mieszkali blisko siebie, a w okresie kina niemego sami sobie przerywali i śpiewali.

„Kultura filmowa prowincji górnośląskiej” ukazuje bogate życie kinowe w latach 1918–1939. Czyba już nigdy potem ta branża nie przeżywała tak intensywnego rozwoju.

To faktycznie była złota epoka. Mimo światowego kryzysu i recesji z lat 1927–1934 w kinie dokonał się olbrzymi postęp, głównie za sprawą udźwiękowania. Co prawda pierwsze filmy dźwiękowe nieco uwsteczniły kino – urządzenia do nagrywania sprawiły, że aktorzy musieli znajdować się blisko sprzętu, inaczej nic nie było słychać. Ale mimo tego „defektu”, po krótkim czasie, odnotowano wielkie sukcesy i już po 1933 roku filmy były bardzo bogate wizualnie i językowo. **Skupmy się na Gliwicach, tutejsza topografia kinowa jest mi dość bliska. Na początku kina lokowały się w pomieszczeniach po sklepach, dopiero**

z czasem właściciele prywatni, ale również miasto, doszli do wniosku, że optymalną jest kina eleganckie z dobrym repertuarem.

Gliwice były jedynym ośrodkiem ze świetnie prosperującym kinem miejskim – Staedische Lichtspiele. Władzom bardzo zależało, by było wizytówką Gliwicz. Frapujące okazało się śledzenie materiałów archiwalnych oraz dokumentów, przede wszystkim korespondencji, związanej z uruchomieniem tego kina. Rok 1918 był dla Górnego Śląska dość niespokojny i niestabilny, a mimo to władze postanowiły otworzyć kino, przystępując do tego z ogromną pieczołowitością. Z jednej strony stawiano na jakość (chodzi o sprzęt), z drugiej, ponieważ był powojenny kryzys, bardzo pilnowano, aby nie przepłacać. Listy wysyłano w wiele miejsc w całym Niemczech, a wyznaczone przez władze osoby, odpowiedzialne za otwarcie kina, podróżowały do różnych miast i miasteczek, na miejscu sprawdzając projektory, ekrany, wystrój, meble, druki, każdy szczegół, by po otwarciu obiektu w Gliwicach nie najeść się wstydu. Miastu bardzo zależało, żeby było ono elitarne, dla ludzi wykształconych, którzy chcieli iść do kina na coś więcej niż tylko gonitwy.

Kiedy czyta się dzieje kin i historie właścicieli, widać jak ogromnym przedsięwzięciem były dla pani badania nad kinem w prowincji górnośląskiej. Książka jest zajmująca, napisana z bigłem, bardzo przystępnym językiem. To pytanie musi jednak paść: od czego zaczyna się takie poszukiwania?

Chociaż książka ma charakter naukowy, bardzo zależało mi na czytelniku interesującym się kinem, ale też historią regionu, w tym Opolszczyzny, wcześniej analizowanej głównie pod kątem mniejszości polskiej. Siadając do publikacji, byłam bogatsza o doświadczenia związane ze zbieraniem materiałów do mojej pierwszej książki „Śląskie kina między wojnami, czyli przyjemność upolityczniona”. Gdy dwie dekady temu rozpoczęłam przygodę z historią kina, kompletnie nie wiedziałam, jak się za to zabrać. W Polsce nikt się taką tematyką nie zajmował, więc – odwiedzając archiwa – notowałam dosłownie każdą najdrobniejszą wzmiankę. Odkryciem



stała się amerykańska książka „Historia filmu. Teoria i praktyka”, dotąd nieprzetłumaczona na polski. Był w niej rozdział o regionalnej historii kina. Gdy go przeczytałam, już wiedziałam, jak napiszę tę pierwszą książkę.

W USA świetnie zdają sobie sprawę z tego, że oprócz czerwonych dywanów i całej kinowej śmietanki ważne są prawa własności, licencje, zakupy budynków w dobrych lokalizacjach, sieci kinowe.

Gdy siadałam do drugiej książki, nie zmieniłam metody. Z pomocą przyszedł internet – dla badacza błogosławieństwo i przekleństwo jednocześnie. Musiałam jednak w pewnym momencie powiedzieć „dość” i zebrany materiał poukładać w narrację. Głównym celem książki jest prezentacja sytuacji i rozwoju kinematografii niemieckiej części Górnego Śląska w latach międzywojennych. Podział między dwa wrogie kraje wpłynął na Śląską gospodarkę, strukturę społeczną, na życie codzienne, w niebywały sposób przyczynił się do polityzacji wszystkich dziedzin życia, w tym kina. Następował rozwój języka filmowego, dokonywała się kluczowa zmiana technologiczna, filmy zaczęły trafić do coraz większej liczby coraz bardziej wymagających widzów, polepszył się komfort oglądania filmów. W dużych miastach zaczęto stawiać pałace kinowe. Elementami ich wyposażenia były: parkiet, wygodne fotele, często tapicerowane, zakomponowane amfiteatralnie, aby z każdego miejsca widz mógł widzieć ekran wyposażony w dekoracyjną kurtynę. Te budowle zrywały z mitem o filmie, jako jarmarcznej rozrywce dla wszystkich.

Właściciele kin – dla mnie to najciekawszy rozdział książki. Nazwiska przewijają się przy różnych obiektach, bo przedsiębiorców filmowych nie było aż tak wielu. Potentatami byli Carl Hirschacker (był jedną z osób, które pierwsze ściągnęły kino do Gliwic) i Alfred Sal-

zwedel (zarządzający gliwickim Schauburgiem i Capitołem oraz zabrzańskim Heliosem). Czy łatwo było dotrzeć do informacji o takich osobach?

Bardzo trudno. I zdziwiło mnie, że Śląsk niemiecki jest pod tym względem trudniejszy niż polski. W czasach sanacji intensywnie polonizowano województwo śląskie, bo wciąż było za bardzo niemieckie, inwigilowano więc właścicieli kin. W archiwach znalazłam bardzo szczegółowe i obszerne raporty. Wydawało mi się, że gdy wejść w Śląsk niemiecki, także takie znajdę, biorąc pod uwagę działania różnych służb od 1933 roku. Otóż nie. Informacje można znaleźć ledwie o kilku właścicielach kin w berlińskich aktach wytwórni UFA. Bardzo pomocne okazało się archiwum z Kamienia Żąbkowickiego, do którego dotarłam dosłownie w ostatniej chwili, mając już praktycznie gotową książkę. Są tam akta niemieckiej wywiadowczy gospodarczej i każdemu, kto w tamtych latach próbował wziąć kredyt w niemieckim banku zakładano kartotekę. Tam znalazłam informację o Salzwedelu i bytomskiej spółce kinowej.

UFA, czyli Universum Film AG, w pełni kontrolowała rynek filmowy i była zagrożeniem dla miejskich i prywatnych kin.

Ta spółka akcyjna powstała w 1917 roku z połączenia firm Nordisk, Messner i Union na propagandowe zapotrzebowanie ministerstwa wojny, z kapitałem założycielskim Deutsche Bank. Takie rozwiązanie od początku nadawało jej wyjątkową, dodajmy też niespotykaną na innych europejskich i światowych rynkach, pozycję. Jako koncern – UFA w pełni kontrolowała życie filmów od produkcji, poprzez dystrybucję, po rozpowszechnianie. Łączyła także różne spółki, zajmujące się podobnym profilem działalności. Choć owo konsolidowanie odbywało się poprzez wchłanianie innych, UFA nie pozbawiała ich osobowości: pierwotne firmy mogły nadal używać swoich znaków graficznych. To z kolei sprawiało, że odbierana przez przeciętnego widza różnorodność rynku była iluzoryczna. Rynekowi gracze z kolei mieli poczucie, że uczestniczą w nim w relacji do UFY i nie mogą jej lekceważyć, bo to ona właśnie na wielu polach dyktowała warunki.

Koncern wkroczył na Śląsk w roku 1935. I przejął wówczas równocześnie kilka kin. W sumie jednak, jak na potężną i dominującą rynkowo firmę, UFA na całym Śląsku, podobnie jak w Niemczech, była obecna w dość wąskim zakresie. Zaraz wytłumaczę. Spośród nieco ponad pięciu tysięcy kin w 1931 roku posiadała ich tylko 102, co stanowiło 5 proc. tzw. parku kinowego pod względem liczby miejsc. Ale gdy weźmiemy pod uwagę, że wśród tych pięciu tysięcy kin były również kina salowe, otwarte tylko w niektóre dni tygodnia, to po ich odjęciu, można mówić o nieco ponad

dwóch tysiącach stałych i czynnych codziennie kin. Wtedy udział UFY wrażał do 9 proc. Jej silna pozycja wynikała nie tyle ze wspomnianych procentów, ile z tego, że interesowały ją obiekty z dużą liczbą miejsc, położone z centrach miast. To one gwarantowały wysoką frekwencję. **Czy prasa interesowała się publicznością? Wiem, że gliwicki „Der Oberschlesische Wanderer” przygotował kilka tekstów, w tym jeden dość poważny, będący opracowaniem ankiety przeprowadzanej w 1930 roku wśród widzów Gliwic i Zabrze.**

Ta gazeta rzadko zamieszczała teksty własne dotyczące publiczności. Jeden z pierwszych – „Kobiety w kinie” – pojawił się w 1922 roku. Anonimowy autor pisał w nim, że nowa rozrywka cieszy się szczególną popularnością wśród tej właśnie płci. Podczas gdy mężczyźni byli wierni bardziej tradycyjnym zabawom miejskim, do których należały bilard czy karty, ich partnerki wzdychały do Harrego Piele czy Bruno Kastnera, gwiazd filmowych tamtych czasów. Do tego chciały wyglądać jak aktorki. Streszczam oczywiście najważniejsze tezy tego tekstu. Trudno się oprzeć wrażeniu, że autor przytoczył różne uprzedzenia klasy średniej. Tak, kobiety były odbiorczyniami dramatów z wyeksponowanymi wątkami romansowymi, jednak równie dużą popularnością cieszyły się westerny i serie detektywistyczne dla męskiej widowni. Poza tym w kinach dość popularny był też nurt seksualny. **Rok 1933. Ministerstwo Propagandy III Rzeszy i jej szef, Josef Goebbels, nakłada propagandowy kaganiec...**

Po 1933 roku wszystko stało się mocno koncesjonowane. Oferta, jaką otrzymywał widz i sposób korzystania z niej, ustalały narzucone reguły. Po początkowym skomasowaniu premier nazistowskich filmów i ich pokazów specjalnych, w drugiej połowie lat 30. partia nieco odpuściła, świadomie kontynuując nurt rozrywki w kinie. Goebbels był fanem kina i chciał mieć w Niemczech... Hollywood.

Wprawdzie piętnował kino amerykańskie, lecz ministerstwo i on sam bardzo mu się przyglądali. W efekcie niemiecki nurt rozrywkowy stał się kalką produkcji amerykańskich. A ideologia? W kluczowym okresie rządów nazistów (II wojna światowa) kostiumami bohaterów współczesnych filmów stały się uniformy SS. **Właściciele kin wywodzili się z różnych środowisk. Byli wśród nich sklepikarze, piekarze, ogrodnicy, hotelarze...** To byli przede wszystkim ludzie interesu, którzy złapali bakcyła kina. Wiem co mówię. W tamtych czasach wiedzę techniczną i repertuarową zdobywano z marszu. Wielu odchodziło, pojawiali się nowi, zmieniano obiekty. Kino było nowością, nie obowiązywały zawodowe wymagania, z wyjątkiem operatorów, którzy musieli ukończyć kursy. Ci ludzie mieli zmysł do interesów, byli dobrymi obserwatorami i świetnie znali swoją publiczność. Właściciele kin musieli też wykazać dużo samodzielności w poszukiwaniu i zdobywaniu filmów. Urok i magia tej branży, i tak jest do dziś, polegała na... nieprzewidywalności. ■

Urszula Biel – autorka dwóch monografii poświęconych historii kina na Górnym Śląsku (*Śląskie kina między wojnami, czyli przyjemność upolityczniona*, Katowice 2002, a także: *Kultura filmowa prowincji górnośląskiej. Kina, właściciele, widzowie*, Poznań 2020) oraz licznych tekstów z zakresu tematyki rozpowszechniania i dystrybucji filmów w okresie lat 20. i 30. Animatorka kultury filmowej; prowadzi kino studyjne Amok w Gliwicach, uhonorowane nagrodą Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej w kategorii „Kino” (2012) oraz „Edukacja filmowa” (2017). Laureatka nagrody prezydenta Gliwic w dziedzinie kultury (1999). Od 2016 roku prezeska Śląskiego Towarzystwa Filmowego.



Gliwice, Kino Capitol

Co to jest fraza Pilcha? O polskim Nabokowie

JERZY PASZEK

Jerzy Pilch (1952–2020) to powieściopisarz, felietonista, dramaturg, autor kilku tomów opowiadań i dzienników. W swojej prozie, a napisał 10 powieści (jedną z nich, *Pod Mocnym Aniołem*, została uhonorowana Nagrodą Literacką Nike w roku 2001), często nawiązuje do własnej biografii. Tak jest też w mikropowieści *Marsz Polonia* (2008), którą zajmuję się w niniejszym eseju. Dodać należy, iż po śmierci wiślanina wydany został gruby tom Witolda Beresia pt. *Pilchu. Na rogu Wiślnej i Hożej* (Warszawa 2021; passusy z tego tomiszczą oznaczam skrótem WB). Zacytowano tu felietonistę Krzysztofa Masłonia, który w recenzji pt. *Pilch pojechał Konwickim* („Rzeczpospolita” 16.04.2008) „pochwalił maestrię frazy” Pilcha (WB, 483), choć książka kibica Cracovii wcale mu się nie spodobała! Cztery lata wcześniej tenże krytyk rozmowę z pisarzem zatytułował jednakże *Upajająca przyjemność opowiadania* („Rzeczpospolita” 17.01.2004). A więc: co to jest fraza Pilcha?

W skrócie mogę powiedzieć, iż chodzi o styl pisarza. Dokładniej: o używane przezeń chwyt stylistyczne. Ale koniecznie trzeba też dodać współdziałanie Mnemosyne (Mnemozyne), czyli muzy pamięci. Retoryka i mnemotechnika w jednym stały domku! Aby zastosować parafrazy lub peryfrazy należy pamiętać o tradycji literackiej i ozdobnym wysławianiu się, tak charakterystycznym dla poezji i prozy staropolskiej! W tym kręgu plasują się przedrzeźnienia cudzych stylów i ich parodie czy pastisze. Oto dosadny i dorodny przykład frazy Pilcha: Hermina oprowadza narratorkę po „domu bluźnierstw” (J. Pilch: *Marsz Polonia*, Warszawa 2008, s. 83; tom ten oznaczam skrótem JP), i nagle zwraca się do towarzyszącego im kota: „Humprey! – klasnęła w ręce – idź do siebie! Nie zabieramy cię! Zdradzisz mnie jak poprzednio! Szoruj stąd, miaukocie!” (JP, 84). Aby zrozumieć aluzyjność tej pozornie prościutkiej frazy [nb. prościutko to anagram słowa kościotrup!], trzeba wiedzieć, iż bohater ostatniej powieści Jamesa Joyce’a nazywa się Humphrey Chimpden Earwicker, co oznacza garbatego Humphreya, pochodzącego od „chimpanów”, a zajętego insynuacjami lub skorkami (piszę o tym w eseju „*Mszakrada*”. *Jak dziennikarze (s) potykali się z „Finneganów trenem”?* w tomie pod red. M. Kity i M. Ślawnickiej *Tran-*

sdyscyplinarność badań nad komunikacją medialną, Katowice 2013, s. 240).

Imię kota to dopiero pierwszy stopień do badania całej frazy! Bo przecież mówi się o nim też per „miaukot”. Jest to dziedzina **kalamburu**. Miauczający kot mógł posiadać kociątko (miał kocię)? A przecie może także chodzić o neologizm, dotyczący pomruków kota, czyli „miaukot” lub „miałkot”? Mistrzem kalamburów jest autor *Finnegans Wake*. Lecz już w jego poprzednim utworze, *Ulisiesie*, znajduje się sentencja, którą parafrazuje Pilch; oto czyniąc aluzję do śmierci gen. Marka Papiły w roku 1998, narrator powiada: „To było pięć lat temu. Poza tym wszyscy – zanim umrą – żyją. Dzieś się minut przed śmiercią każdy żyje. Nie ma się czym ekscytować” (JP, 38). W *Ulisiesie* odpowiednie zdanie brzmi: „Monsieur de la Palisse, powiedział Stefan szycerco, żył na piętnaście minut przed swą śmiercią” (J. Joyce: *Ulisies*, przeł. M. Słomczyński, Kraków 1997, s. 183). Nie od rzeczy będzie tutaj napomknienie, że wspomniany Marek Papiła był generałem policji.

Kalamburów, ekwiwoków i dwuznacznych powiedzonek jest w tej niegrubej powieści sporo! Podoba mi się dwukrotne przywoływanie przez pisarza epitetu „studzienny”, czyli synonimu wyrazu „studniowy” oraz bliskoznacznika słowa „głęboki”: „biorę pod uwagę upodlenie studzienne” (JP, 49); Generał „Na studziennych azjatyckich bankietach [...] był – jako najtrzeźwniejszy, co tam najtrzeźwniejszy! Trzeźwy! Jedyny trzeźwy! – izolowany i alienowany” (JP, 104). Tenże wojskowy był „maksymalnie wyluzowany golem” (JP, 108), czyli zadowolony z jakiegoś meczu oraz z tego, że sam może być synonimem bezmyślnego olbrzyma, praskiego Golema. Generał Bezetnemu i Garstce mówi refleksyjnie i apokaliptycznie: „Nasze głowy też by były z głowy” (JP, 143). Chyba nie trzeba łopatologicznie dodawać, iż raz głowy mogły pochodzić z innych głów, a za drugim razem – mogły być poddane rytuałom dekapitacji (zob. frazesy „mieć coś z głowy”, „jest gdzieś urwanie głowy!”).

Okazuje się, że nawet niepozorne słowo „urodziny” ma potencję polisemantyczną! Tak jest na przedostatniej stronie tekstu, gdy czytamy zdania podsumowujące główną akcję: „Na dzisiaj starczy trupiałości. Koniec urodzin. Początek życia” (JP,

189). A rzecz cała zaczyna się, po **parafrazie** początku modlitwy („W Imię Ojca i Syna, i Ducha Opowieści, Amen”), tymi słowami: „W przeddzień mych pięćdziesiątych drugich urodzin postanowiłem, że nazajutrz poznam nową kobietę” (JP, 7). Jeśli brać poważnie akcenty autobiograficzne, sygnalizowane w utworze wielokrotnie, mogłoby chodzić o rok 2004, bo 52 + 1952 = 2004. Był to jubileuszowy rok dla polskich i obcych gombrowiczologów, gdyż miało 100 lat od urodzin autora *Ferdydurke* i słynnej frazy ewaluacyjnej: „Nigdy chyba nie było tak pierwszorzędnego pisarza drugorzędnego” (esej pt. *Sienkiewicz* z roku 1953). I tu, dla uczczenia jakże wpadającej w ucho i do serca wypowiedzi, Pilch wprowadza perseweryującą **parafrazę**: „Przed nim [Legendarnym Działaczem Solidarności, czyli Bronisławem Geremekiem] siedziała drugorzędna piosenkarka z pierwszorzędnym biustem” (JP, 36, 52, 55, 78, 108, 113, 139, 148–149, 179). Autor brnie dalej: „wgląd w cyc epiki – że użyję nieostatniej na tych kartach **parafrazy** – wgląd w dobrze pod względem ostrości ustawiony dekolt nigdy nie zawadzi” (JP, 37). I to nie koniec, rzeczwiście, parafraz i peryfraz (nb., czy mówi się tutaj o Kalinie Jędrusik, żyjącej w latach 1931–1991?).

Parafrazuje się wieszczów romantycznych, Mickiewicza (JP, 71: „Jak mówi poeta: Jedźmy, nikt nie idzie”) i Słowackiego (JP, 11: „Pawiem narodów dalekoschodnich jesteś i papuga [o knajpie japońskiej] – szeptałem bezgłośnie i ładowałem jej [skrzypacze] łapę pod spódnicę”). A ona aluzję czyniła do *Króla-Ducha* Julkowego: „To bardzo miłe, co robisz, książę, ale Duch Święty patrzy” (ib.). Jeśli zaiste mamy tu rok 2004 (potem wskażę cytację z 2007 roku!), to stary poeta może należeć do świata żywych, a nie duchów. Mowa o Czesławie Miłoszu, którego 5 linijek wiersza *Bramy arsenalu* tak urwano (JP, 122), iż piąta linijka ma zmieniony sens. U Pilcha: „Płomieniu, płomieniu, muzyki olbrzymie”, u Miłosza: „Płomieniu, płomieniu, muzyki olbrzymie / rozlegają się, wieczny ruch zamać gaje” (Cz. Miłosz: *Wiersze*, t. 1, Kraków 1993, s. 13); **parafraza** polega na tym, że poeta pisze o olbrzymich muzykach, a Pilch sugeruje, iż to ogień jest olbrzymem! Niby nie zmieniono ani litery, ale przerwanie przytoczenia w konkretnym miejscu (chodzi

mi o przedział międzywersowy, przerzutnie) powoduje to, iż w oryginale mamy do czynienia z epitetem, a w powieści – rzeczownikiem, tworzącym apozycję: płomień – muzyki olbrzym! Tak więc nawet najdokładniejsze cytaty z pisarzy dawnych i nowszych przekształcają się we frazach Pilchowych w parafrazy.

Oto kilka zgrabnych i ponętnych parafrazystycznych formuł: „Witam cię chlebem, solą i gorzałą” (JP, 108), „Komando umiera, ale się nie poddaje?” (JP, 110), „Jak goły cyc, to tylko grottgerowski?” (ib.), „Gadamy, gadamy, a tu kiszki Marsz Polonia grają!” (JP, 121; ironiczne nawiązanie do tytułowego *Marsza Czachowskiego*, cytowanego na s. 120 i zestawianego z piłkarskimi klubami pn. Polonia), „Spisane były daty, czynny i rozmowy telefoniczne” (JP, 133; parafraza wiersza Miłosza *Który skrzywdziłeś*, gdzie pojawia się wers: „Spisane będą czynny i rozmowy”).

Narrator przeprowadza śmiało analogie teologiczne między uniwersum ludzi i mrówek: „Mrówczość [neologizm] jest istotą świata, jego sens spoczywa w mózgu pojedynczej i parę dni żyjącej mrówki – nadzieja i wiara mrówek, że jak połączą mózgi wiarą w mrówkę wszechmogącą, osiągną żywot wieczny amen, jest złudna” (JP, 121–122). Uważam, iż jest to parafraza dywagacji zawartych w *Słowie i ciele* Teodora Parnickiego, gdzie bohaterami były żaby (zob. J. Paszek: *Styl przesłania „Słowa i ciała”*, w: *Tajemnice „Słowa i ciała”*. Szkice o powieści Teodora Parnickiego pod red. T. Markiewki i K. Uniłowskiego, Katowice 2008, s. 61–62, o zbawianiu ropuch).

Peryfrazy zaś bywają łatwiutkie albo enigmatyczne, takie, co mogą pod okiem czytelnika przybierać rozmaite rozwiązania. W życiorysie narratora pojawia się Wyższa Szkoła Rzemiosł Teatralnych, gdzie bohater prowadzi „zajęcia z Dramatycznych technik pisarskich” (JP, 14). Te ćwiczenia mają dwuznaczne zabarwienie, bo mogą dotyczyć tylko sztuki pisania dramatów, ale istnieje i inna opcja: studenci są tak kiepscy, że wszystko (wykłady, rozmowy, próby pisarskie), co się z nimi wiąże jest dramatem, czyli grozi kalectwem i kłapą! Pisarz zamawia w kawiarni Yellow Dream „ciastko Aurea Prima Chocolata” (JP, 21; nazwa ta będzie w różnych formułach dominować w całym tekście, by na końcu przegrać z naszą, swojską i ludową czekoladą z bakałiami z pół ojczystych). Skąd taka elegancka nazwa? Pod etykietą musu czekoladowego, polanego czekoladową lawą, kryje się wers z *Metamorfoz* Owidiusza „Aurea prima sata est aetas”, czyli „złoty wiek był pierwszy”. Czekolada ukrywa oryginalny pierwotny sens hasła, bo jest tu i kalambur, i parafraza, i metamorfoza ciastka w synonim wszelkich dóbr świata, a w tym złota. Gdy dostrzec w tym opisie symbol Zdrowia i Potencji Twórczej, to autor mógł czynić aluzję do mistrza klasycznej peryfrazy, Krasickiego, amatora czekolad. Nie podejrzewam, iż Pilch wiedział o śniada-



Jerzy Pilch

niach Hitlera (mleko, biszkopty, czekolada gorzka), promotora politycznych peryfraz nazizmu (zob. V. Klemperer: *LTI. Notatnik filologa*, przeł. J. Zychowicz, Kraków – Wrocław 1983).

Prościutką peryfrazę znajdujemy w określeniu „ekscytryk nad ekscytrkami. Swawolnik nad swawolnikami. Rozpustnik nad rozpustnikami” (JP, 27). Każdy u nas wie, że chodzi o redaktora Jerzego Urbana. Tak samo wiadomo, kim był „stojący na czele ostatniej ekipy General” (JP, 125) – czyli gen. Wojciech Jaruzelski. Tak samo wiadome jest, kto był „polskim Papieżem” (JP, 31). „Legendarny Działacz Solidarności”, co „Siedział tak, jakby wstawał, wstawał tak, jakby siedział” (JP, 36) – to, jak już wyjaśniałem, prof. Geremek. Stary Garstka, „zwany też Towarzystwem Odchylenie Maoistowskie” (JP, 41), to oczywiście Kazimierz Mijal (1910–2010), czyli osoba żyjąca jeszcze podczas wydarzeń powieściowych, choć tutaj już uśmiercona (JP, 44: „Dwa lata po powrocie [z Albanii i Chin] do ojczystny umarł”. Nie jestem pewny, czy Krtań Anioła należy do Violetty Villas, a baryton Barytona do Bernarda Ładysza, który był basem (JP, 47). Czy „baśń o żywym trupie” (JP, 50) dotyczy zabitego w roku 1984 Jerzego Popiełuszki? Bo to on na końcu powie-

ści jest wyciągnięty z lochów Bezetznego: „Książd Jerzy żyje – obalenie komunizmu było niepotrzebne” (JP, 188). Maks Kowalewicz ma „nazwisko w sensie ścisłym znaczące” (JP, 61), czyli ten przeciwnik Bezetznego, atakujący zbrojnie ogromną posiadłość Szatana, może być Andrzejem Lepperem (też znaczące nazwisko!)? „Pewnie niezrzeszony senator”, „Król Odoru, King-Stink” (JP, 69), pewnie jest sen. Henrykiem Stokłosą, właścicielem olbrzymich zakładów mięsnych. „Ostatni I Sekretarz PZPR” (JP, 141) to oczywiście red. Mieczysław Rakowski; tytuł niekiedy zapisano jako „Ostatni I” (JP, 141).

Gdy słyhać w tłumie głosy: „Nie pozwalamy! Chcemy Polaka!” (JP, 100), to chodzi zapewne o arcybiskupa Stanisława Wielguśa i jego nieudany ingres; w 19 tomie *Encyklopedii „Gazety Wyborczej”* (od hasła Trybunał do Wielkopolskie, województwo) jeszcze o abp. cicho, a za to w tomie 21 [2005–2006 A-Z] jest i całe hasło na s. 709–710, i opis wydarzeń lustracyjnych (s. 794–800) z zapisem okrzyków „Chcemy Polaka” (s. 799).

W liczącej 190 stronicy powieści pewnie jest ponad 50 **neologizmów**. Oto ciekawsze z nich: panterzyca i żbiczyca (JP, 24), pankówica (ib.), niedorzecznic (JP,

nowa
proza
polska

Jerzy Pilch

Marsz Polonia



30), ezotera (JP, 39), order Kruka Świątłopiórego (JP, 51), szarmancja (JP, 55), elementaria i empatyczka (JP, 75), posiadły (JP, 83; gwara śląska), ekstrakomiczny (JP, 89), ekstrabutę (JP, 95), arch-aniełlicja (JP, 97), nadgłos (ib.), nadmezzosoprany (ib.), pralęk, archestrach, nadobawa (JP, 100), ocaliciel Polaków (JP, 104), pawiujące gardła (JP, 106), ekstrabalsamy (JP, 109), ekstrawrzody (JP, 124), bydlęcość (JP, 125), powodziowo (JP, 128), niedojebanice (JP, 148), pogrzebnicy (JP, 155), fraza „suzczo, samczo, syto” (JP, 156), jebodrom (JP, 163), fraza „Naddelator z racji nadsrącz-

ki słownej” (JP, 168), „trupianka” (JP, 173), trupiastość (JP, 189).

Na ostatniej, 190 stronie, narrator odjeżdża na 60-godzinną przejażdżkę z fiakerką, czarną trupianką, Czarnogórzanką, do jej stron rodzinnych, by położyć się na ciepłej, czarnej ziemi, gdzie leży trup brata jego ojca (którego pamięci poświęcona jest cała powieść)! Czyli Czarnogóra jest **kalamburem**, a czy nim nie jest Popiełuszko? Tytuł, jak widać, też polega na grze słów, ukrywającej mecz zawodników z Arki Noego (prawdziwi Polacy) z drużyną reprezentującą Wieżę Babel (ko-

smopolici). Zakończono go wynikiem 1:0, co pozwala tłumom zobaczyć – zgodnie ze wstępnymi umowami – księdza Jerzego wśród żywych.

„Lubię Nabokova” – pisał i mówił Pilch po wielokroć (WB, 87). Jako szachista podziwiał przede wszystkim *Obronę Łużyna*, ale jako autor takich dzieł, jak: *Spis cudzołożnic*, *Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej*, *Inne rozkosze*, *Miłość w przejściu podziemnym*, *Najpiękniejsza Kobieta Świata* musiał studiować *Lolite*, *Maszeńkę*, *Adę*. A stąd już tylko jeden krok do zachłyśnięcia się erudycyjnym stylem (wielojęzyczność), prowadzącym do parafraz, oraz aluzyjnymi opisami scen erotycznych, gdzie peryfrazą dominuje nad populistyczną wulgarnością (zniechędzona przez Nabokowa pospolitość, *poszłość*). Na pytanie „Co to jest fraza Pilcha?” – należy więc odpowiadać, iż tajemnica stylu kryje się tu w mariażu **parafrazy z peryfrazą!**

A co do filozofii erotyzmu: oprócz 3 tomów *Dzienników* warto brać pod uwagę rozmowę Magdy Ruty z pisarzem: *Miłość? Jedna w życiu to patologia. Milion też. Trzy, cztery – wychodzi najrozsądniej* („Gazeta Wyborcza” nr z 30.05.2020). Wiadomość za nieocenionym tomiszczem Witolda Beresia (WB, 735). Tamże czytam zdanie Jakuba Wydrzyńskiego: „W odcinkach [*Dziennika*] z lat 2012–2013 Pilch jest **polskim Allenem, Nabokovem**, momentami Toporem” (WB, 682). Ale to nie oznacza wyalienowania i pisanie na boku stylem topornym!

Postscriptum

Po napisaniu eseju, zgodnie z zaleceniami Beresia (WB, 736), przeczytałem sobie „na deser” cztery dzieła Pilcha z finalnego okresu jego twórczości; były to: *Dziennik* (Warszawa 2012), *Drugi dziennik* (Kraków 2013), *Trzeci dziennik* (Kraków 2019) oraz powieść *Wiele demonów* (Warszawa 2013). Odniosłem wrażenie, iż w tomach diariuszowych słowem kluczem bywa „faza” literacka, natomiast baśniowa fantazy – ponad dwa razy obszerniejsza od tomu *Marsz Polonia* – zasługuje na wielokrotną lekturę, boć intrygujące wątki tego utworu niby z epoki stalinowskiej (z licznymi anachronizmami!) w pierwszym czytaniu bardzo trudno położyć i rozplątać. Jeśli dzienniki pewnie mogą konkurować z zapiskami Gombrowicza, to fabuła epopei siglańskiej (wiślańskiej) sięga demonizmu *Mistrza i Małgorzaty* Michała Bułhakowa i erotyzmu *Lolity* oraz *Ady* Nabokova.

Pisałem 21 maja 2021 roku, czyli tuż przed rocznicą śmierci pisarza (29 maja 2020). ■

Autorem recenzji książki pióra Piotra Korczyńskiego pt.: *Śladami Szeli- czyli diabły polskie*, zamieszczonej na str. 62, w numerze 5 (308)/2021 miesięcznika „Śląsk” pt.: *Kosą na mity - jest Pan Grzegorz Sztoler*. Naszego współpracownika i recenzenta za pomyłkę bardzo serdecznie przepraszamy.

Postać w sztruksowej marynarce Wiśła Jerzego Pilcha

RYSZARD BEDNARCZYK

Kto bardziej rozślawił Wisłę, która do 1962 roku była wsią, skoczek narciarski Adam Małyż czy prozaik i felietonista Jerzy Pilch? Wątpliwości nie mają organizatorzy Festiwalu Słowa im. Jerzego Pilcha Granatowe Góry. To urodzony w 1952 roku i wychowywany do 10 roku życia w Wisle, zanim przeprowadził się do Krakowa, i obsesyjnie opisujący mentalność ludzi i topografię swojej rodzinnej miejscowości, nazywając ją w powieściach Sigłą lub Granatowymi Górami, mistrz intrygujących i ciętych narracji. Wiślańscy miłośnicy jego beletrystyki i publicystyki utworzyli nawet szlak turystyczny śladami Jerzego Pilcha, który do miasta u stóp Baraniej Góry wracał na święta, wakacje czy też szukając schronienia podczas choroby. Jedną z ostatnich powieści „Portret młodej wenejanki” napisał właśnie w Wisle.

Jednym z pierwszych obiektów na trasie powrotów prozaika w domowe pielesze był dworzec kolejowy Wisła Uzdrawisko. Pisarz miał prawo jazdy, ale do rodziny przyjeżdżał pociągiem albo woził go autem znajomy taksówkarz pan Edek. „Zgarbiona postać w brązowej sztruksowej marynarce często wysiadała z pociągu i niespiesznie podążała przez plac Hoffa na stronę Partecznika” – opowiada Katarzyna Koczwara, miejscowa dziennikarka wprowadzająca turystów śladami Jerzego Pilcha. Pociąg zmierzający – już bez prozaika – do końcowej stacji Wisła Głębcze, widziała z domu jego matka Wanda.

Ważną rolę w życiu Jerzego Pilcha odegrał budynek poczty, gdzie naczelnikiem był jego dziadek Jerzy Czyż, uczeń Juliana Przybosa w cieszyńskim gimnazjum. Poczmistrz tak polubił lekcje polskiego, że jako jedyny we wsi mówił nie gwara, lecz najczystszą polszczyzną. Wiele czasu poświęcił wnukowi, który w jednym z opowiadań podjął temat ukrytej przez dziadka szabli z czasów wojny.

Niebagatelną rolę w umysłowości pisarza odegrało Kino Marzenie przy placu Hoffa. W dzieciństwie oglądał po szkolce niedzielnej na porannych seansach dla szkolnej dziatwy filmy; kolorowy świat zapisany na celuloidowej taśmie. Po latach, już jako dorosły nadrabiał w wiślańskim kinie filmowe zaległości, bo dzieła znanych reżyserów docierały do małych miejscowości z opóźnieniem, gdy zeszyły już z ekranów w metropoliach. Obecnie budynek jest siedzibą Miejskiej Biblioteki Publicznej, gdzie na półkach stoją książki Pilcha.

W Aptece pod Arkadami, gdzie dziś mieści się biuro informacji turystycznej, pracowała po ukończeniu krakowskich studiów matka prozaika Wanda. Naukę na farmacji mogła zgłębić dzięki wstawianictwu protestanckiego biskupa Andrzeja Wantuły, gdyż po zdaniu egzaminu wstępnego zabrakło jej punktów za pochodzenie. Jerzy jako uczeń pobliskiej szkoły podstawowej przybiegał do rodziców na drugie śniadania w aptecce. Relacje dorosłego prozaika z Wandą Pilch były dość burzliwe, ale zawsze mógł liczyć na wsparcie. Była wierną czytelniczką jego opowiadań, powieści i felietonów.

Nie byłoby oryginalnego światopoglądu literackiego bez luteranizmu, tak mocno eksponowanego w jego twórczości. Wychował się w protestanckiej rodzinie. W Parafii Ewangelicko-Augsburskiej w Wisle płacił składki. Postaci ewangelików, między innymi biskupa Andrzeja Wantuły, sportretowane w utworach Pilcha swoje pierwowzory miały właśnie w tej parafii; także opisywane wydarzenia, charakterystyki luteranckich rodzin i całej społeczności miały parafialną inspirację. To w ewangelickim Domu Zbornym w 2002 roku pisarz gościł na pierwszym spotkaniu autorskim w rodzinnej miejscowości.

Hotel Piast pierwszy w Wisle, wybudowany na początku XX wieku, gdzie był sam Witold Gombrowicz, ważny był dla Jerzego Czyża, dziadka pisarza. Wpadał po pracy na poczie do hotelu na szybkiego kielonka, by później wyjść na spacer z małym Jurkiem. „Gdy się zasiedziało, żona nie pytała, ile wypił, ale kogo spotkał. Bardzo go to denerwowało i odpowiadał: Dobrze, że nie zapytałaś, jak mi smakowało, bo jak by mi nie smakowało, to i tak bym ci nie powiedział” – śmieje się Katarzyna Koczwara. Hotel był miejscem spotkań towarzyskich i rozmów.

Otwartym dla gości był również leżący przy drodze na targ dom rodzinny Czyżów. Do rządzącej w nim babci Marii na pogawędkę codziennie wpadało po kilka osób. Babka Czyżowa przez 10 lat zastępowała Jurkowi matkę, która w wieku 17 lat, po urodzeniu syna, wyjechała do Krakowa. Rozpieszczała wnuka, ale potrafiła być surowa. „Szybko pozbawiła go iluzji Aniolka przynoszącego bożonarodzenie prezenty” – ocenia Katarzyna Koczwara. Babcia była mistrzynią opowiadania, uwielbiała szczegóły, dygresje. Skłonność do takiej narracji przekazała wnukowi. Jerzy Pilch wyjeżdżał ze smutkiem do matki, zostawiając w domu dziadków ukochanego kota Głupieloka, który później zaginął, może wpadł pod koła samochodu.

Dom rodziców Wandy i Władysława Pilchów na Parteczniku budowany był po powrocie z Krakowa przez wiele

lat, bo albo brakowało pieniędzy, albo materiałów. Chociaż relacje Jerzego Pilcha z ojcem były szorstkie i wybuchowe; w krakowskim dzieciństwie rodzic zmuszał syna do czytania dzieł Sienkiewicza, chcąc nauczyć go pięknej polszczyzny. Najszczęśliwszy przyszył pisarz był, gdy ojciec służbowo wyjechał do Afryki i pisał do domowników piękne listy. Podłożem tych relacji była rywalizacja i niespełnione ambicje literackie Władysława. Doszła do tego wojenna przeszłość. „Ojciec trochę zazdrościł synowi pisarskiej sławy” – wyjaśnia Katarzyna Koczwara.

Mimo to prozaik był na Parteczniku, dom rodziców stał się jego azylem. Chorował w budynku, pisał; miał swój gabinet z kolekcją ołówków. „Po śmierci ojca pozostało nienaruszone biurko. Staram się z burmistrzem Wisły urządzić w domu muzeum ojca” – zapowiada Magdalena Bielska, córka prozaika, z którą, i jej mężem, Jerzy Pilch w ostatnich latach spędzał święta na Parteczniku.

Jest jeszcze na szlaku cmentarz ewangelicki „Na Groniczku”, gdzie pochowani są dziadkowie i rodzice pisarza, a także biskup Andrzej Wantuła. Pogrzebanych jest w nekropolii wielu Jerzych Pilchów, bo to popularne w Wisle nazwisko. Nie ma jednak grobu prozaika. Zgodnie z ostatnią wolą jego ciała spoczęło na cmentarzu w Kielcach. ■



Magdalena Bielska, córka pisarza, przed furtką domu na Parteczniku.

Najnowsza książka Marka Beylina *Klimat, lewica, siostrzeństwo. Rewolucje trwają (kontrrewolucje też)* koreluje z niedawnymi wydarzeniami polityczno-społecznymi i protestami obywatelskimi przeciwko zaostreniu ustawy aborcyjnej, co sugeruje zresztą sam tytuł. Po lekturze można jednak odnieść wrażenie, że i zapowiedziami, i tytułem właśnie publikacja wprowadza czytelnika w błąd. Wymienieni na czwartej stronie okładki bohaterzy i bohaterki książki – m.in. rewolucja francuska, czarny feminizm i klimat – nie zostają potraktowani z taką samą atencją. Poświęcony czarnemu feminizmowi fragment liczy 4 strony, podczas gdy rewolucjom autor oddaje około 2/3 książki. Ponadto, i co z pewnością ważniejsze, passus ten jest w gruncie rzeczy umiejętnie przepisany z *Teorii feministycznej*... Bell Hooks, którą Beylin obficie cytuje – co akurat uznaje za zaletę publikacji i uchronienie się przed tłumaczymem. Zdaje się, że ta lektura była dla Beylina jednym z głównych źródeł wiedzy o siostrzeństwie w ogóle. Doświadczenia czarnoskórych Amerykanek, choć rzeczowo i z empatią przedstawione, nie do końca wpasowują się w narrację skoncentrowaną na historii rewolucji i polityce Unii Europejskiej. Nie byłoby to większym problemem, a jedynie interesującym wtrąceniem, gdyby siostrzeństwo nie figurowało w tytule, co pozwala oczekiwać, że jego analiza zostanie przeprowadzona dogłębnie, z wyuczuciem, nie zaś na marginesie innych – nie mniej wszak istotnych – problemów. Zwłaszcza że kontekstów dla idei siostrzeństwa nie brakuje – nie tylko na polskich ulicach, ale przede wszystkim w polskiej publicystyce i literaturze feministycznej. Beylina zajmuje jednak zjawisko rewolucji i wnikliwa analiza polityczna, co może zawieść oczekiwania czytelników, którzy, skuszeni tytułem, zdecydowali się sięgnąć po tę pozycję z innymi względów. Swoje czytelnicze rozczarowanie podkreślam dlatego, że dzięki Strajkowi Kobiet liczba książek nawiązujących do siostrzeństwa gwałtownie rośnie, a temat staje się wystarczająco popularny, by feminizm na okładce uznać za dobrą strategię marketingową. Książka *Klimat, lewica, siostrzeństwo*... przynajmniej częściowo wpisuje się w ten trend i częściowo nie spełnia pokładanych w niej nadziei.

Uważam jednak, że książka Beylina jest pozycją wartościową. To niewątpliwie polityczne eseje skoncentrowane na próbie zobrazowania procesu trwania rewolucji/kontrrewolucji w porządku historycznym, ale i zwracające uwagę na zmiany w ich dynamice. Autor próbuje nakreślić związki między przeszłością, teraźniejszością a przyszłością, doszukuje się w presji społecznej potencjału do zmiany „klimatu ideowego”. Jako jeden z takich momentów transformacji w Polsce wskazuje Czarny Poniedziałek. Pisze o nim jako o „założycielskim”, widząc tu początek zmian w polskim feminizmie. Trudno nie przyznać mu racji, chociaż nie tylko ze względu na to, że, jak pisze, „utworzyły się progresywne polityczne środowiska, zasilające partie i ruchy obywatelskie, w których kobiety pełnią wiodącą funkcję wzorotwórczą i ideotwórczą” (s. 99) – tych

Sojusznictwo, nie siostrzeństwo

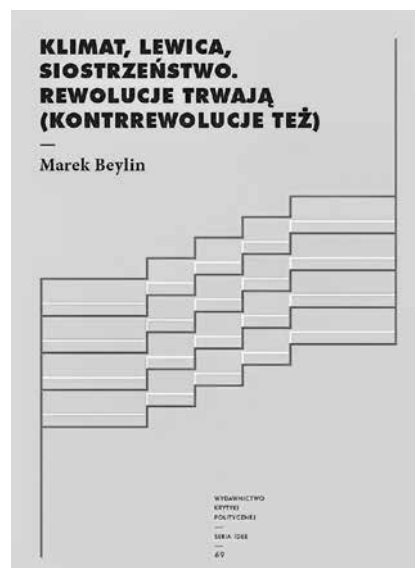
KSIAŻKI

przecież wciąż jest niewiele – ale też dlatego, że dały początek zaangażowaniu społeczno-politycznemu tysięcy młodych kobiet.

Beylin snuje rozbudowane refleksje na temat demokracji, jej licznych zaburzeń (np. braku trójpodziału władzy), a także odpowiedzialności polityków za niekorzystne decyzje. Ponadto zarzuca lewicy i liberałom korzystne politycznie bratanie się z klasą średnią oraz niewystępowanie w imieniu najmniej uprzywilejowanych. Jasno wskazuje, że demokracja nie istnieje dla tych, dla których horyzont życiowy wypełnia walka o zaspokojenie podstawowych potrzeb. Beylin nie boi się kontrowersyjnych tematów, porusza na przykład kwestię bezwarunkowego dochodu obywatelskiego czy wraca do historycznych związków francuskiej lewicy z antysemityzmem.

Publicysta, bazując na stanowisku klimatologów, wyciąga dość oczywisty, ale niepopularny w głównym dyskursie medialnym wniosek – walka o klimat i niwelowanie narastających skutków katastrofy klimatycznej nie są możliwe bez upadku („wypłnienia”) albo chociaż reform kapitalizmu. To problem, którego z oczywistych powodów nie da się rozwiązać lokalnie, stąd Beylin, chcąc dobrze zobrazować dynamikę sporu, wprowadza pojęcie idei-świata, które „wyrasta z przekonania, że jesteśmy mieszkańcami ewoluujących światopoglądowych całości, mających własną autonomię i zmienne centralne zespoły wartości – czyli właśnie idei-światów”. Korzystając z tego terminu, stara się zwrócić uwagę, że narracje rewolucyjne „rozprzestrzeniają się w rozmaitych częściach społeczeństw w różnych tempach oraz ze zmiennymi intensywnościami i zasięgiem” (s. 14). Centrum takiej idei-świata będzie stanowiła stopniowo integrująca się w walce o klimat Europa.

Część poświęcona problemom klimatycznym jest zdecydowanie jedną z najsilniejszych stron publikacji. Beylin zaczyna z optymizmem, wskazując, że Unia stopniowo buduje proklimatyczną politykę, jednak ostro krytykuje polityków, którzy dbają o własne profity



LAURA JANOSZEK

i zagrażają demokracji. Dzieje się to po obu stronach sporu politycznego i wynika z konieczności szukania poparcia wśród grupy ludzi zaangażowanych w produkcję przemysłową, na ogół dość krótkowzrocznie patrzących na problemy klimatyczne lub, jeszcze gorzej, negujących je. Rozdział ten odznacza się ponadto walorem popularnonaukowym: dobrze opracowane kwestie naukowe przedstawione są w przystępny dla odbiorcy-laika sposób, a Beylin nie bombarduje danymi (zaczepniewającymi m.in. z Programu Środowiskowego ONZ), a korzysta z prostego języka. W wywodzie pojawia się również kolejny niewygodny wątek, właściwie propozycja, wprowadzenia progresywnego podatku od szkodenia środowisku lub emisji gazów cieplarnianych.

Klimat, lewica, siostrzeństwo... to z pewnością wartościowa lewicowa publicystyka, poszerzająca horyzonty, dotycząca istotnych dla dyskursu publicznego tematów, tym samym motywująca czytelnika do samodzielnych poszukiwań. W błyskotliwych analizach Beylin diagnozuje stan polskiej świadomości, emancypacyjnych dążeń kobiet, zmian mentalności i politycznych działań. Jest to niewątpliwie atut książki i jej autora – umiejętność wskazywania trendów i tendencji z samego serca zdarzeń przy dostrzeżeniu znaczenia kontekstu historycznego. Życzyłabym sobie jedynie, by podtytuł – *Rewolucje trwają (kontrrewolucje też)* – został zamieniony miejscem z tytułem, odpowiadałoby to wówczas treści książki. Trudno uznać, by Beylin zajmował się siostrzeństwem, robi to gdzieś na boku, pobieżnie. Mimo wszystko niewątpliwie dostrzega i zarysowuje problemy, z którymi zmagają się kobiety, co czyni go ich sojusznikiem. Dlatego proponuję – nie siostrzeństwo, a sojusznictwo. ■

Marek Beylin: *Klimat, lewica, siostrzeństwo. Rewolucje trwają (kontrrewolucje też)*. Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2021, s. 176.

Przyznanie Monice Glosowitzi, autorce książki *Maszynerie afektywne. Literackie strategie emancypacji w najnowszej polskiej poezji kobiet*, w 2020 roku Poznańskiej Nagrody Literackiej – Stypendium im. Stanisława Barańczaka nie mogło być zaskoczeniem dla tych, którzy znają dorobek przekładowy i naukowy śląskiej literaturoznawczynie. *Maszynerie afektywne* miały największe szanse na wygraną z dwóch powodów: po pierwsze, jej treść dotyczy zjawisk, które nieustannie pozostają w polu społecznych dyskusji i debat (co prawda zazwyczaj ich generatorem są wydarzenia medialnie nośne: samobójstwa, zabójstwa zwierząt, śmierć uchodźców u wybrzeży Lampedusy, dyskryminacja ze względu na płeć, wyzysk oraz symboliczna i fizyczna przemoc), które inicjować może również poezja, po drugie, Glosowitzi udowadnia, że działalność naukowa nie jest czynnością autonomiczną i wyabstrahowaną z codziennego życia. Przeciwnie: wybór problemu badawczego zawsze skorelowany jest z tym, co aktualnie frapuje badacza i co znajduje się w polu jego obserwacji. Nowohumanistyczne instrumentarium i najnowsze metodologie pozwalają na sondowanie zjawisk, które przekraczają ramy poetyki opisowej, dlatego literaturoznawcy nie mogą interesować jedynie struktury poetyckie w ramach ewoluujących idiomów lub retoryczna sprawność piszących (oczywiście kwestie te mają znaczenie, jednak tylko w połączeniu z tropieniem problemów o skali makro).

W *Maszyneriach afektywnych*, jak w żadnej innej książce opublikowanej w ciągu ostatnich pięciu lat przez młodych badaczy, ujawnione zostały w praktyce postulaty „literaturoznawstwa służebnego” (termin ten jako kompromis między dwoma wizjami humanistyki forsowanymi przez Jana Sowę i Michała Pawła Markowskiego zaproponowała Justyna Tabaszewska), które diagnozuje istotne problemy społeczne i kulturowe. Glosowitzi nie interesują przemiany poetyk (choć gdyby pokusić się o zestawienie poszczególnych tomów każdej autorki, wnioski okazałyby się na tyle ciekawe, że warte osobnego komentarza), lecz próby zmierzenia się z opresyjnym systemem, który dąży m.in.: do uznania macierzyństwa za cel każdej kobiety, do uznania zwierząt za podległe, do umacniania szowinizmu gatunkowego w ramach procesu hegemonii podmiotu antropocentrycznego.

Na szczególną uwagę zasługują tytułowa formuła. Czym są „maszynerie afektywne”? Otóż badaczka charakteryzuje je jako „skomplikowaną sieć funkcji i praktyk, które nie zostają przypisane poszczególnym formom raz na zawsze. Sposób działania tych elementów zależy od miejsca, które zajmują w całej strukturze, i zmienia się razem z nią. Poszczególne ciała funkcjonujące w ramach kolejnych maszynierii afektywnych w przyjętej optyce badawczej przyłączone zostają do działania całego systemu, dlatego nie można czytać poszczególnych rozdziałów jako zredukowanych do jednego tematu całości, ale trzeba je widzieć jako części współzależnej maszyny, której układ określany jest każdorazowo względem działania kolejnych trybów i funkcji pełnionych przez wszystkie jej elementy” (s. 56). Zadaniem Glosowitzi jest tropienie momentów, w których możliwe jest wyzwolenie ze zniewalających układów (z sukcesem dokonuje się to m.in. w poezji Kamili Janiak, Kiry Pietrek i Ilony Witkowskiej).

Poszczególne rozdziały *Maszynierii afektywnych* ogniskują się na doświadczeniach, w obrę-

Jest rewelacyjna!

KSIAŻKI

bie których opresyjność zmusza do przemodelowania własnego życia według dominujących standardów, uznania własnej podległości lub bezbronności, a także prekarności, jednak Glosowitzi na podstawie wyszczególnionych głosów poetek różnych generacji dostrzega pęknięcia, wolty, radykalne gesty sprzeciwu, które nadwątlają układ i pozwalają wierzyć w możliwość przeprogramowania maszyn. Mimo że twórczość wszystkich poetek okazuje się wartościowa ze względu na potencjał interpretacyjny, to jednak w zakończeniu Glosowitzi wyraźnie podkreśla, że układaniu kolejności rozdziałów przyświecała reguła gradacji: od realizacji najmniej satysfakcjonujących (poezja Joanny Lech redystrybuuje negatywne obrazowanie kobiecej podmiotowości, która wywłaszczona została z wszelkich domen aktywności) aż po projekty, które uzyskały pełną aprobatę badaczki i mogą stanowić egzemplifikację nowych wizji wspólnoty, opartych na zasadzie kohabitacji (*casus* poezji Witkowskiej).

Choć w ostatnim czasie studia afektywne rozwijają się z niespotykaną dotąd w polskiej humanistyce szybkością (Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich PAN opublikowało do tej pory cztery monografie wieloautorские poświęcone afektom w literaturze i sztuce), to jednak Glosowitzi wypracowała własną ramę konceptualną, w której najważniejszym pojęciem jest afekt pojmowany jako działanie (zob. s. 15-16), a nie, jak w *Afektywnym modernizmie* Agnieszki Daukszy, jako konkretne chwyt, które dzięki nowej metodologii mogły uzyskać aprobatę, gdyż do tej pory dekodowane były jako ubytek, niedostatek, niespójność. Daukszę interesują teksty deponujące doświadczenie wojny/Zagłady, które oddziałują afektywnie, natomiast Glosowitzi wybiera nie tylko inne rozwiązanie formalne (nie można odmówić *Maszynieriom afektywnym* „zmysłu formy”), lecz również sonduje emocje w sytuacjach bliskich niemal każdemu człowiekowi. Lektura poezji Justyny Bargielskiej, Marty Podgórniki, Marty Grunwald, Joanny Wojdowicz, Wioletty Grzegorzewskiej i czterech innych, o których była mowa, pozwala na dostrzeżenie roli emocji w późnokapitalistycznej gospo-



ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

darce i prób sterowania nimi w celu uzyskania doraźnych korzyści.

Studium Glosowitzi w subtelny sposób łączy perspektywę akademicką i ucieleśnionego podmiotu, który również borykał się z problemami, jakie pojawiają się w kolejnych rozdziałach *Maszynierii afektywnych*. Jest to książka o nieustannej pracy nad wyhamowywaniem złych emocji (wyjątkiem jest gniew, którego siła może inicjować zmiany w obrębie wspólnoty) i dowartościowywaniem tych emocji, które pozwalają na współistnienie różnych gatunków (rozdział o poezji Witkowskiej jest najlepszą częścią *Maszynierii afektywnych* ze względu na lukę jakiej nie wypełniła do końca książka Anity Jarzyny *Post-koine. Studia o nieantropocentrycznych językach (poetyckich)*). W domykającym *Maszynerie afektywne* rozdziale Glosowitzi mierzy się także z problemem sprawności poezji i jej zaangażowania w sprawy najwyższej wagi. Mimo że poezja wciąż nie cieszy się uznaniem, jej rola w kształtowaniu obywatelskich postaw i forsowaniu trudnej kohabitacji okazuje się kluczowa. Judith Butler, której kategorię wulnerybilności wykorzystuje Glosowitzi w rozdziale poświęconym bytom ludzkim i nie-ludzkim, a także tragediom, którym przeciętny człowiek nie może zapobiec, pisze w *Ramach wojny*: „Wiersze, i podczas pisania, i podczas upowszechniania, stają się siecią transmisyjną dla afektów i w tym wymiarze okazują się krytycznymi aktami oporu, rebelianckimi interpretacjami, aktami podpalenia.” Świadomość, że wiersz w odpowiednim momencie bywa niebezpieczny i posiada performatywny potencjał, okazuje się do pewnego stopnia rozwiewać wątpliwości poetek, a także komentatorek i komentatorów w kwestii możliwości inicjowania jakichkolwiek zmian. Poezja jest rewelacyjna tak, jak rewelacyjna jest książka Glosowitzi. ■

Monika Glosowitzi: *Maszynerie afektywne. Literackie strategie emancypacji w najnowszej polskiej poezji kobiet*. Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2019, s. 271.

W podtytule książki *Ich matki, nasi ojcowie. Niewygodna historia powojennej Polski* Piotr Pytlakowski używa z premedytacją łagodnego epitetu, podczas gdy powojenne losy niemieckich, ale nie tylko, mieszkańców Warmii i Mazur, Górnego i Dolnego Śląska, Opolszczyzny czy ziemi lubuskiej, ogólnie mówiąc tzw. Ziemi Odzyskanych stanowią dobitny przykład ludzkiej krzywdy i swoistego *mysterium iniquitatis* wyrosłego u boku II wojny światowej. Nowy podział Europy i wpływów politycznych doprowadza do niemal natychmiastowego wysiedlenia (wypędzenia) setek tysięcy ludzi. Najgorszy los spotyka autochtonów, którzy myśląc, że niczego złego nie zrobili, mogą pozostać na ziemi swoich przodków. Czują wprawdzie odium bycia „Niemcem” i gotowi są za winy swojego narodu odpokutować, ale wierzą jednocześnie, że będą mogli pozostać u siebie nie tracąc imienia, ziemi, języka, grobów rodzinnych i poważania sąsiadów. Jakże dalece się mylili.

Pytlakowski śledzi losy tych ludzi, wrywając ich indywidualne historie „aktywnemu zapominaniu”, zaprzeczając tezie, że: „Tysiąc i jeden to wciąż jeszcze tysiąc”. Autor w reporterską narrację, dodajmy bardzo oszczędną, pozostawiającą osąd czytelnikom, wprowadza wywiady, cytaty prasowe, fragmenty dzienników czy diariuszy, badania amatorskich i profesjonalnych historyków i literatów, dokumenty, pieśni, a nawet wiersze. Odwołuje się również do własnych, publikowanych już tekstów i prowadzi śledztwo spotykając się z bezpośrednimi i pośrednimi świadkami tamtych wydarzeń. Wszystko po to, by uwiarygodnić przywołane historie, opowiadając je z wielu punktów widzenia. Nade wszystko zaś wyposażać w szczegóły i detale, które pozwolą czytelnicy wyobrazić na odtworzenie losów konkretnych ludzi z krwi i kości. „To będzie opowieść o dzieciach niemieckich, mazurskich, śląskich, które w 1945 r. zasnęły tam, a obudziły się tutaj. (...) Wokół pojawili się ludzie mówiący nieznanymi językami. Ludzie, których bały się ich matki”.

Poznajemy zatem losy kilkuletnich wówczas dziewczynek i chłopców, ich matek, ojcowie najczęściej byli w Wehrmachcie, i dziadków w chwili, kiedy ich rodowe ziemie, miasta (np. Olsztyn – Allenstein, Zieloną Górę – Grünberg, Zabrze – Hindenburg, Siemianowice, Rybnik i miasteczka np. Olsztynek – Hohenstein, czy Pszów) już opuściły wojska niemieckie, zajęła je przejściowo Armia Czerwona, a po niej polska, komunistyczna administracja i przybyli z Kresów Wschodnich repatrianci.

Dlaczego panujący terror dotknął szczególnie ich? Dla radzieckich żołnierzy wszystko, co posiadali, łącznie z nimi samymi (fizycznie) stanowiło łup wojenny. Czerwonoarmiści bezkarnie rabowali i napadali miejscową ludność. Szukając wszelkimi sposobami „zemsty na wrogu” nie tylko kradli, cokolwiek wpadło im w ręce, ale wiecznie pijani i zwierzęco prymitywni gwałcili i mordowali. Ich ofiarą padały nie tylko bezbronne niemieckie matki z dziećmi, ale również ranni żołnierze niemieccy pozostawieni w jednej z koszalińskich szkół przyrobionej na lazaret.

Kolejnym źródłem zagrożenia było pojawiające się po przejściu czerwonoarmistów bezhołowie. Wówczas miejscowi brali sprawę w swoje ręce, nie szukając daleko kozła ofiarnego. Jak zauważa autor: „Lokalne władze powstawały w sposób samozwańczy i często tworzyły je grupy zwykłych kry-

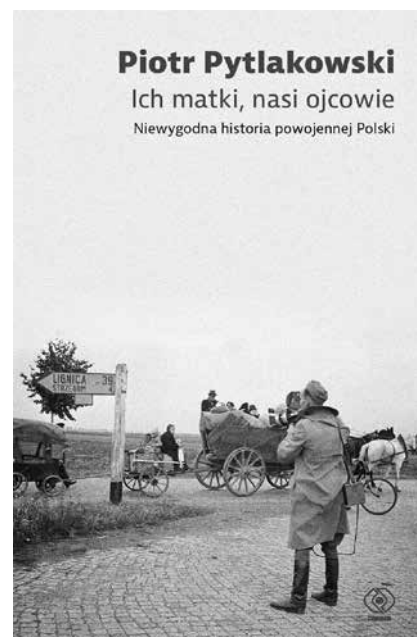
Pojęcie krzywdy jest uniwersalne

KSIAŻKI

minalistów. Dochodziło do masowego mordowania osób pochodzenia niemieckiego”. Przykładem takich praktyk są wydarzenia z Aleksandrowa Kujawskiego, gdzie w parowym młynie urządzono obóz śmierci, czy wydarzenia w Nieszawie, gdzie dokonano egzekucji zrzucając Niemców do Wisły.

Tamte wydarzenia na tyle uwiarygodniły grzechem zaniebdania wobec pamięci zamordowanych, że miejscowy proboszcz podczas nabożeństwa ekspiacyjnego wyznał w imieniu mieszkańców winę za zbrodnię popełnioną na ich niemieckich sąsiadach w 1945 roku. Podczas nabożeństwa mówił: „Są w naszej przeszłości niewyznane latami grzechy, które wpływają na nasze życie w postaci długotrwałych konfliktów, zadawnionych ran i podziałów w naszych rodzinach i społecznościach. Takie winy nie mogły być poznane wcześniej, bo przesłaniało je głębokie poczucie krzywdy doznanej. Są również w naszej przeszłości takie przypadki popełnionego zła, które nie dotyczą nas osobiście, ale obciążają naszą zbiorową pamięć. (...) Wszyscy mieszkańcy Nieszawy doświadczyli okropności wojny i każdy (...) został dotknięty jej tragedią. Wielu zginęło z rąk hitlerowców, rozstrzelanych bądź wywiezionych do obozów koncentracyjnych. Niektórzy zostali wydani w ręce niemieckiego okupanta przez swoich sąsiadów niemieckiego pochodzenia. Wszyscy przeżywali ogrom wyrządzonej im krzywdy. Czasami mogło się wtedy zrodzić pragnienie zemsty i odwetu”.

Mocnym zagrożeniem były również konfidenci, którzy woleli na wszelki wypadek pozbyć się niewygodnych świadków zanim sami zostaną zadenuncjowani. Niebagatelnym elementem zemsty wypędzeni byli czynnikami ekonomicznymi. Łatwo sięgnąć w takich okolicznościach po cudze, nie bacząc na krzywdę ludzką, przez miejscowych, a co dopiero przez ludność polską przybyłą zą nową wschodnią granicę, której obiecano poniemiecką gospodarkę. Gerhard Bartodzieja wspominał: Zapanował terror szabrowników i zwykłych bandytów, którym władza sprzyjała, bo miejscowych chciało wystraszyć, aby wyjechali. Szukano mieszkań dla przybywających osiedleńców”.



PIOTR SKOWRONEK

Pytlakowski pokazuje jak skomplikowanie potoczyły się losy tamtych trzy – czy sześciolatków. Jak pogmatwane były ich drogi, uczucia, poczucie przynależności narodowej wreszcie tożsamość. Koleje dziejów poszczególnych bohaterów stanowią osobne rozdziały. Poznajemy w nich Zygryda, który wiecznie uciekał, *Historię Jana Grzegorzycy* czy *Opowieść Gerharda Bartodzieja*. Autor ukazuje nie tylko ich tragiczne losy, ale ciemne strony życia w PRL-u i obecnie. Wspólnym mianownikiem ich doli jest długoletnie milczenie o tym, co się wydarzyło. Właściwie jakaś wspólnota milczenia. Milczą pokrzywdzeni, bo nie chcą się wychylać nawet po wielu, wielu latach, kiedy zainicjowano projekt *Ocalić od zapomnienia*. Co rozumiałe – milczą sprawcy. Niemiecka dziennikarka Helga Hirsch napisała w komentarzu do tamtych wydarzeń: „To pragnienie (zemsta – PK) było w powojennej Polsce, o tym jestem mocno przekonana, powszechne – i było ono zrozumiałe. Jedni mścili się myślami, słowami i uczuciami, inni – czynami. Biorąc pod uwagę skalę brutalności, z jaką reżim narodowo-socjalistyczny uciskał kraj, jest może nawet zadziwiające, że do aktów samosądów nie dochodziło jeszcze częściej i jeszcze brutalniejszych. Ale ponieważ zemsta z uwagi na swój bezmiar i niszczące działanie jest słusznie dyskredytowana i już samo przyznanie się do poczucia zemsty jest zawstydzające, polskie społeczeństwo – a nie tylko komunistyczna cenzura – szybko wyparło ze zbiorowej pamięci wypędzenie i internowanie Niemców”.

Pytlakowski kończy reportaż pytaniem: „Ile pokoleń musi przeminąć, aby następne zrozumiały, że żadna doznana krzywda nie daje prawa do krzywdzenia innych? Że nikt nie ma takiego prawa?”. No właśnie, ile?

Piotr Pytlakowski: *Ich matki, nasi ojcowie. Niewygodna historia powojennej Polski*. Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2020, s. 320.

Każde miasto ma takich bohaterów, o jakich pamięta. A o złoczyńcach po prostu zapominamy. By jednak odróżnić jednych od drugich, należy o dobrze zasłużonych pisać, a łobuzów pozostawić zacierającemu ich ślady czasowi. I tak się dzieje w Gliwicach. Nazwiska zdrajców i komunistycznych zbrodniarzy zostały – po wieloletnich staraniach – usunięte z publicznej przestrzeni, a wielkim postaciom kultury, nauki i polityki poświęca się tablice pamiątkowe i liczne publikacje.

W tym nurcie odnajdujemy nową książkę, wydaną przez Muzeum w Gliwicach oraz Śląskie Centrum Wolności i Solidarności w Katowicach. Redaktorzy tomu – Karol Chwastek i Bogusław Tracz – postanowili nagrać głosy żyjących jeszcze działaczy „Solidarności” i utrwalić ich opowieści. Ta koncepcja wymagała zawężenia perspektywy historycznej do lat 1976–1990 (wypadki wcześniejsze odnotowano we Wstępie).

Powojenna konspiracja antykomunistyczna została zmiażdżona i dopiero Marzec '68 pozwolił gliwiczansom wyrazić swoje polityczne uczucia. Wtedy nic nie było zaplanowane. Ot, pojawił się pretekst, by wykrzyczeć „Prasa kłamie!”, więc studenci w nagłej manifestacji tę okazję wykorzystali (przypomnę, że wcale nam nie chodziło o „Dziady”, raczej o dziadostwo. Pisał o tym „Śląsk” w miesiącach okrągłych rocznic). Represje były mniej dotkliwe niż w latach czterdziestych, ale też nic ważnego z tych marcowych protestów się nie zrodziło. Nie było koncepcji.

Przełomem okazał się oczywiście Sierpień '80. Można jednak przypuszczać, że i z tego zrywu też by nic nie powstało, gdyby wcześniej nie podejmowano prób samoorganizacji społecznej i gdyby nie dyskutowano nad koncepcją działania. Właśnie Gliwice wydały jednego z pierwszych (poza Warszawą) wybitnych działaczy, przygotowujących Sierpień koncepcją Wolnych Związków Zawodowych.

Nazwisko Władysława Suleckiego, górnika KWK „Gliwice”, pamiętają tylko słuchacze „Wolnej Europy”, bo reżimowa prasa o nim nie pisała. Był to niezwykle ofiarny działacz, a przede wszystkim – pewien wzorzec moralny i niejako siewca idei niewyobrażalnych wówczas, nowych związków zawodowych. Ta idea miała kilka lat kielkować, bo „normalny” człowiek przyjmował ówczesne oficjalne związki zawodowe jako coś oczywistego, właśnie „normalnego”. Do związków można było należeć lub nie, ale nie wiązano z tą formą organizacji społecznej żadnych nadziei. Tacy ludzie jak Władysław Sulecki w Gliwicach i Kazimierz Świtoń w Katowicach jakoś nas oswajali z ideą WZZ. Sulecki zmarł w roku 2004. W omawianej książce zamieszczono więc wypowiedź Józefa Śreniowskiego, z którym Władysław Sulecki współpracował w ramach KSS KOR.

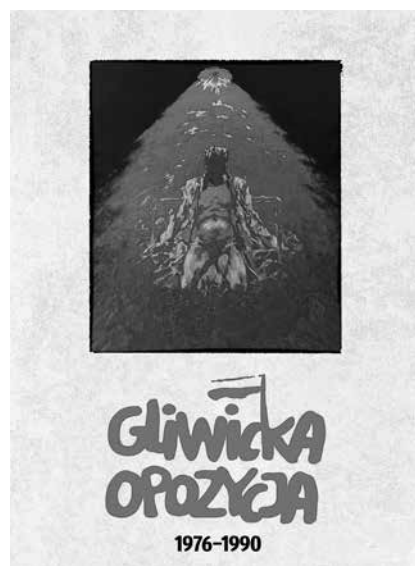
Od Suleckiego do Buzka

KSIAŻKI

„Gliwicka opozycja” to zapis wypowiedzi 17 działaczy „Solidarności”, w tym dwóch najważniejszych: założyciela i szefa gliwickiej konspiracyj w stanie wojennym Tadeusza Drzazgowskiego, żyjącego dziś w zapomnieniu i wielkiej biedzie oraz Jerzego Buzka, żyjącego w biedzie niewielkiej. Swoje wspomnienia dołożyli inni znani w III RP gliwiczanie: Marek Kempski – wojewoda katowicki, Janusz Moszyński – marszałek województwa śląskiego oraz posłowie Jadwiga Rudnicka i Andrzej Gałazewski. Inne nazwiska nie są tak sławne, choć w swoim czasie były doskonale znane... bezpiecznie.

Na szczególną uwagę zasługują wypowiedzi trzech kobiet: Jadwigi Rudnickiej, Barbary Kozłowskiej i Anny Dubińskiej-Szczerbińskiej. Te panie pracowały na pierwszej linii i były bardziej efektywne od wielu panów w pracy organizatorskiej, w kolportażu czy w zdobywaniu i utrzymywaniu cennych kontaktów. Tylko brudna robota drukarska była specjalnością mężczyszyn; z kolei kobiety zdominowały sferę pomocową. Ta dziedzina wymaga chyba odrębnej książki, bo „Gliwicka opozycja” poświęcona jest raczej organizacji oporu i walki, zawiera też ważne, często zabawne opisy interwowania, przesłuchania czy różnych niewiarygodnych, choć potwierdzonych dokumentami przygód.

Książka Chwastka i Tracza zawiera 430 stron formatu B5, z czego opowieści świadków historii zajmują może połowę. Resztę wypełnia rozbudowany warsztat naukowy. Każde wspomniane nazwisko jest rozszyfrowane w przypisach i odnotowane w ogromnym indeksie osobowym, a sama tylko bibliografia zajmuje 20 stron! Choćby z tego powodu omawiana książka musi znaleźć się w bibliotece każdego historyka Śląska. O ile wiem, tylko niewiele miast zdobyło się na tak rozbudowane dzieło o wła-



ANDRZEJ JARCZEWSKI

snej historii najnowszej. „Gliwicka opozycja” wyznacza więc pewne standardy, którym trudno będzie sprostać.

I jeszcze dwa słowa o metodzie pracy. Redaktorzy zebrali opowieści z różnych lat, sami też przeprowadzili wiele wywiadów. Jednakże – dyskretnie usunęli swoje pytania. Nie są to więc klasyczne wywiady, ale właśnie opowieści. Nie zawsze linearne, nie zawsze dobrze skomponowane i nie zawsze... cenzuralne. Cóż, zapisano to, co powiedziano. Niektóre fakty naświetlane są przez uczestników wydarzeń z różnych stron, a ich opis różni się w pewnych szczegółach. Redaktorzy nie dążyli do uzgodnienia przekazu. Przeciwnie. Wygląda na to, że nikt z tych 17 opowiadaczy nie sugerował się relacjami swoich kolegów. Okazuje się, że pamięć mamy zawodną w szczegółach, ale co do istoty rzeczy wszyscy są zgodni: należało walczyć z komuną, a udział w tej walce, w tym również represje i odsiadki – to powód do dumy, do przekonania, że to życie miało sens!

Ci, którzy twierdzą, że polska myśl i walka, że konspira stanu wojennego nie miała sensu, że wszystko nam załatwili Reagan, Thatcher i Gorbaczow... ci niech przeczytają „Gliwicką opozycję” i spojrzą na Ukrainę czy Białoruś. Tam upadek ZSRR nie był poprzedzony oryginalnymi koncepcjami i otwartą walką. Brakło im Suleckich, Drzazgowskich i policzonego poparcia dziesięciu milionów ludzi, bez których żaden Reagan nic by nie wskórał. Wolność wywalczona jest jednak więcej warta niż darowana. ■

Gliwicka opozycja 1976–1990. Relacje świadków i uczestników, oprac. Karol Chwastek i Bogusław Tracz, Gliwice-Katowice 2020, s. 430.

Projekt „Hotel”

MICHAŁ SZALAST



Krzysztof Gołuch

for. www.szereklkad.r.pl

Śląsk to miejsce, gdzie praca jest ściśle powiązana z życiem społecznym ludzi mieszkających na tej ziemi. Ślązacy są znani z ciężkiej pracy w kopalniach, hutach oraz w przemyśle ciężkim, który do niedawna królował na Śląsku. W wielu opracowaniach możemy spotkać się z określeniem – „śląski etos pracy”. Pracować na Śląsku musiał każdy, choć do niedawna funkcjonowali także ludzie niepełnosprawni, którzy mimo chęci i zaangażowania nie mogli pracować. Wiele osób niepełnosprawnych intelektualnie ze względu na swoje ograniczenia nie może wykonywać pracy zawodowej. Od kilku lat w Polsce, jak również i na Śląsku, powstają różnorodne miejsca, w których osoby niepełnosprawne mogą pracować. Jednymi z takich miejsc są Zakłady Aktywności Zawodowej, jak na przykład św. Marcin w Katowicach, zatrudniający osoby niepełnosprawne. Zakład Aktywności Zawodowej, prowadzi hotel oraz świadczy usługi gastronomiczne. To miejsce daje pracę oraz rehabilitację osobom niepełnosprawnym. Podjęcie pracy dla nich jest kolejnym etapem trudnej drogi, jaką muszą pokonać w swoim życiu, by normalnie żyć.

Fotografie z cyklu „Hotel” autorstwa Krzysztofa Gołucha przedstawiają pracę osób niepełnosprawnych, będąc jednocześnie refleksją nad przeznaczeniem człowieka. Statyczne postacie ze zdjęć zdają się zatrzymane w czasie. Nikt tutaj nie biegnie, nie spieszy się, nie walczy z upływającym czasem. Niespieszna praca, otoczona barwą i obłana światłem nie ma końca. Nie znajdziemy w nich nic zbyt celnego, a czystą kompozycję buduje specyficzny układ postaci, przedmiotów oraz barw. By przyciągnąć naszą uwagę do świata niepełnosprawności, autor posługuje się czytelną kompozycją i wyrazistym kolorem, które nieodparcie kojarzą się z malarstwem Edwarda Hoppera. Hopperowski realizm zdjęć Gołucha, wypełniając duże powierzchnie obrazu czystą barwą i klimatycznym światłem, oddziałuje równie silnie jak malarstwo amerykańskiego artysty. Wszystko to wydaje się umiejscowione w terytorium, w którym czas stracił jakiegokolwiek znaczenie. Jak opisuje fotografie z cyklu „Hotel” profesor Vladimír Birgus, autor zdjęć poprzez czyste, przemyślane kompozycje balansuje na pograniczu między klasycznym dokumentem a inscenizowaną twórczością.

Krzysztof Gołuch od ponad dwudziestu lat zajmuje się w swojej twórczości tematyką niepełnosprawności. Ten dłu-

gi czas jest gwarancją tego, iż nie jest to jedynie zimna relacja obserwatora przychodzącego z zewnątrz. Możemy być pewni, że w grę nie wchodzi epatowanie obrazem cierpienia, które łatwo i szybko skupia uwagę publiczności czy chęć przyciągnięcia uwagi obrazową wirtuozerią. Historia fotografii zna wiele przykładów cykli przedstawiających temat niepełnosprawności w sposób wyrafinowany pod względem formy, lecz powierzchowny. Wielu fotografów nie miało możliwości zgłębienia tematu, bo przebywali oni w świecie niepełnosprawności zbyt krótko, a często ich celem było zaspokojenie ciekawości widza. Krzysztof Gołuch obrał w twórczości fotograficznej inną drogę. Długoletnia i konsekwentna praca autora ewoluowała stopniowo. Jego cykl „Rugby” (przedstawiający niepełnosprawnych sportowców), a przede wszystkim książka fotograficzna „Co siódmy” są najlepszymi przykładami zupełnie odwrotnego podejścia do realizowanego tematu. Autor przypomina, że według statystyk, co siódmy obywatel naszego kraju jest osobą niepełnosprawną. Wyraża refleksję, że dobry stan zdrowia nie będzie nam dany przez cały czas trwania naszego życia. Ta trywialna, ale jednocześnie okrutna prawda prowokuje do przyjrzenia się osobom niepełnosprawnym z zupełnie innej perspektywy. Taką właśnie refleksję oferuje fotografia Krzysztofa Gołucha. Przystajemy się przyglądać osobom niepełnosprawnym z punktu widzenia komfortu pełnosprawności. Nasza pozycja nie jest już uprzywilejowana względem wymagających pomocy. Dochodzi do niezwykłej zamiany. Niepełnosprawni pełnią rolę nauczycieli wskazujących jak bez majątku, podziwu i jednodniowej sławy utrzymać war-

tość fundamentalną dla nas wszystkich, czyli poczucie własnej wartości. Niepełnosprawni, nie mogąc rywalizować w walce o osiągnięcia z pełnosprawnymi, wydają się na straconej pozycji. Nic bardziej mylnego. Praca to jedna z podstawowych wartości w ich życiu. Potrafi przynieść zmęczenie, ale i satysfakcję. Zabiera czas, oddając w zamian poczucie bycia potrzebnym, przydatnym, istotnym. Dzięki niej zarówno sprawni, jak i niepełnosprawni, mogą być z siebie dumni, zyskując nagrodę nieprzeliczalną na żadną walutę świata – poczucie godności.

Zoptymalizowany świat, w którym żyjemy, dąży do minimalizacji wysiłków i maksymalizacji efektów. Już dziś roboty przejmują zawody, które do tej pory wykonywali ludzie. Punkt ciężkości przenosi się z pracy na konsumpcję. Powszechnie akceptowanym pragnieniem jest pracować jak najmniej i jak najwięcej zarabiać oraz wydawać. Ten pęd ku światu dóbr nieokupionych wysiłkiem, wydaje się niemożliwy do zatrzymania. Aby tak się nie stało, potrzebujemy pokory i przykładu, za sprawą którego będziemy w stanie odnaleźć inną drogę. Wszystkie te fundamenty szczęśliwego i satysfakcjonującego życia odnajdziemy w fotografiach Krzysztofa Gołucha, który w swej opowieści o osobach niepełnosprawnych ujawnia, w jaki sposób praca nadaje życiu człowieka cel. ■

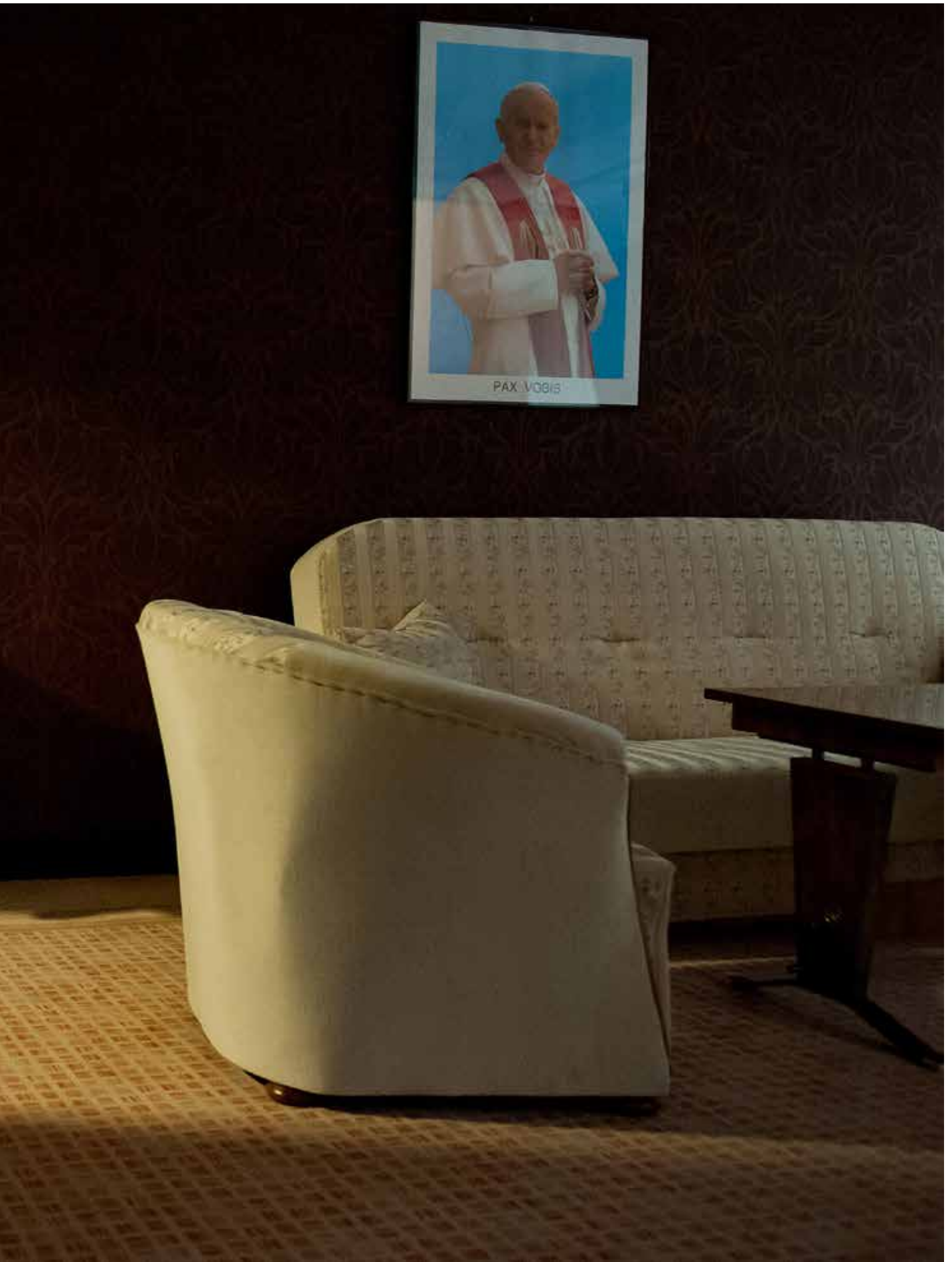
Krzysztof Gołuch – polski fotograf i pedagog urodzony w Rudzie Śląskiej, mieszka i tworzy w Knurowie i od kilkadziesiąt lat pracuje z osobami niepełnosprawnymi w tamtejszym ośrodku „Caritas”. Jest absolwentem Wydziału Pedagogiki i Psychologii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach oraz Instytutu Twórczej Fotografii Uniwersytetu Śląskiego w Opawie. Jego twórczość oscyluje wokół problemów ludzkiej egzystencji, zwłaszcza życia osób niepełnosprawnych.

Krzysztof Gołuch jest członkiem Polskiego Związku Artystów Fotografików, autorem książki fotograficznej „Co siódmy”. Za swoją działalność w 2017 roku został odznaczony przez papieża Franciszka medalem „Pro Ecclesia et Pontifice”. Laureat konkursów fotograficznych: pierwszej nagrody w konkursie Unii Europejskiej „Przełamując stereotypy” dla studentów artystycznych szkół wyższych (reprezentując Instytut twórczej fotografii), dwukrotnie nagrodzony polskim Grand Press Photo w latach 2021 za zdjęcie pojedyncze w kategorii „Życie codzienne”, a w 2018 za zestaw „Hotel”. Swoje fotografie wystawiał także poza granicami Polski, między innymi podczas różnych festiwali: Trasphotographiques we francuskim Lille oraz PhotoSaintGermain w Paryżu, Miesiąca Fotografii w Bratysławie, Prague Photo, Photokina w Kolonii, Europejskiego Miesiąca Fotografii w Luksemburgu.



Fotografie z cyklu „Hotel” autorstwa Krzysztofa Gołucha



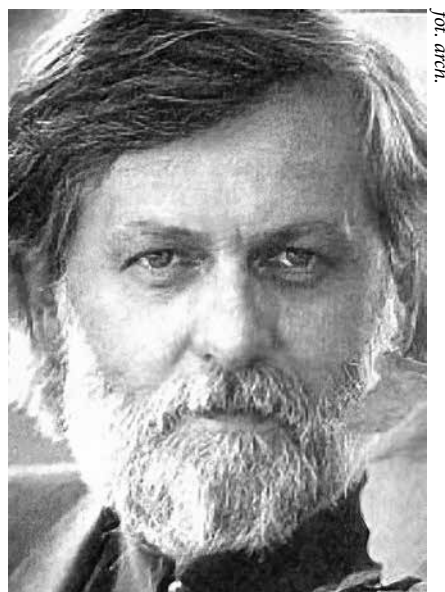




Fotografie z cyklu „Hotel” autorstwa Krzysztofa Golucha

Aleksandra Lasonia muzyka katedr i gór

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



for. arch.

Mówimy, że to lub tamto dzieło to „klasycyzm”, że dana artystka lub dany artysta to „klasycyzm”. Nieraz trudno się w tym połapać, bo właściwie każdy może nazwać „klasycyzmem”, czemu nie? Zazwyczaj określenia te rezerwujemy jednak dla tych osób, które łączy jedna jedyna wspólna cecha – osoby takie należą już do świata zmarłych. Działają tu więc czas oraz odporność na jego wpływ postaci i ich dzieł (postaci rzadziej niż dzieł), tych ostatnich w domyśle na tyle przekonujących już w chwili powstania lub z czasem na tyle docenionych, że działanie czasu tychże dzieł nie nadszarpnęło, nie umniejszyło ich znaczenia w nieustannym procesie rozwoju sztuk. Wydaje mi się przy tym, iż dużą rolę w obwołaniu jakiegoś dzieła „klasycyzmem” odgrywa też jego swoista, stała obecność w świadomości tych, którzy (jeszcze) się sztuką interesują tzn. czytają, chodzą do galerii, sal koncertowych, wyszukują zjawiska interesujące w Internecie, albo na płytach. Nie bez wpływu pozostaje tu zatem dostępność danego dzieła na tzw. rynku. Tysiące nagrań muzyki Chopina, wykonania jego kompozycji, używanie jego wizerunku w promowaniu różnych, nawet w tym kontekście zadziwiających produktów, jak np. wódki (tutaj winę ponosi zapewne nasz kolejny klasyk, Stanisław Wyspiański, bo przecież „Chopin gdyby jeszcze żył, toby pił!”), utwierdzają nas w przekonaniu, że ten Chopin – to niezniszczalny gość, może nawet rzeczywiście geniusz. Nie da się tego powiedzieć o naszych świetnych kompozytorach renesansowych i wczesnobarokowych, ich muzyka nadal istnieje na marginesie, co związane jest oczywiście z jej specyfiką – jak utwory awangardowe, tak i ich kompozycje wymagają wyspecjalizowanych odtwórców.

Czyli: dostępność dzieł ma wielkie znaczenie tuż obok reputacji samej muzyki, znacznie ważniejszej aniżeli reputacja autora i autorów (Benvenuto Cellini i Gesualdo da Venosa są sztandarowymi przykładami; dość nieprzyjemnym człowiekiem był Arnold Schoenberg, a o Ryszardzie Wagnerze nie ma co pisać; w czasach nam bliższych taki Marinetti musiał być nie do wytrzymania).

Cóż wreszcie poczynić w obliczu zjawisk, które już teraz, na naszych oczach, stają

się „klasycyzmami”? Wątpić, akceptować, czekać czy nie z ocenami? I to, i to, i to! Z drugiej strony nie da się ukryć, iż powiedzenie *vox populi vox Dei* ma w tym przypadku eleganckie zastosowanie, gdyż sztukę da się oceniać, wartościować. Gdyby tak nie było Franz Schmidt byłby tak ważny jak Alban Berg, a Tichon Chrennikow walczyłby o palmę pierwszeństwa z Prokofiewem. Warto przyjąć postawę pozytywną i przyznać rację apologetom jakiegoś fenomenu, który chwałę używając może nieco przesadnych określeń takich jak „żywy klasyk” – co brzmi trochę jak „żywa skamielina” – lub „to już klasyk”. Według mnie nie ma w tym nic złego. Nowi klasycy rodzą się na naszych oczach, dają nam sztukę już teraz ważną i potrzebną.

Za takiego nowego klasyka uważam Aleksandra Lasonia. Może to ryzykowne, lecz jego muzyka wydaje się – właśnie dzisiaj – zajmować osobne, eksponowane miejsce w historii polskiej twórczości kompozytorskiej.

Aleksander Lasoni przyszedł na świat w listopadzie 1951 roku i – trochę do zdumienia – powtarza się refren jego przynależności do tzw. Pokolenia '51, wraz z Eugeniuszem Knapikiem i śp. Andrzejem Krzanowskim. Podobnie jak jego dwaj koledzy, Lasoni podjął studia w Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach. Najpierw był to Wydział Jazzu i Muzyki Rozrywkowej, gdzie młody muzyk rozwijał swe okazałe umiejętności pianistyczne, także na gruncie improwizacji; np. w 1972 roku zdobył nagrodę na gdańskim IV Konkursie Improwizacji Fortepianowej. Potem przyszedł czas na klasę Józefa Świdra, zakończone dyplomem w roku 1979. Pod kierunkiem swego profesora Lasoni dojrzał jako autor oryginalnych dzieł, które mogły w jakimś sensie szokować wyrażonym, acz nigdy niewolniczym, przywiązaniem do tradycji. Partytury Aleksandra Lasonia z tamtego okresu zadziwiają żywą kolorystyką, formalną odrębnością, potocznością kontrapunktyki, świeżością naturalnej, niewydumanej, dyskursywnej ekspresji: *Muzyka kameralna nr 1* „Stalowo-wolska” na fortepian i kwartet smyczkowy (1974–78); *Symfonia nr 1* na instrumenty dęte, perkusję i dwa fortepiany (1975); *Sonata na skrzypce solo nr 1* (1975); *Muzyka kameralna nr 2* na fortepian, 2 rogi, trąbkę, 2

puzony i tubę (1976); *Symfonia nr 2* „Koncertująca” na fortepian i orkiestrę (1977–79); *Muzyka kameralna nr 3* na instrumenty dęte, perkusję i fortepian (1978). Wśród tych utworów szczególne miejsce zajmuje napisana dla Aurelego Błaszczyka *Sonata skrzypcowa*, dzieło trudne, ale zadysponowane z fantastyczną znajomością instrumentu, pełne pięknych sekcji, w których kompozytor nie wychodząc poza ogólnie znane techniki gry tworzy kalejdoskopowe kontinuum faktur. *Symfonię* „Koncertującą” wyróżniono w roku 1980 prestiżową Nagrodą im. Ludwiga van Beethovena przyznawaną przez miasto Bonn. Kolejne nagrody i wyróżnienia otrzymał śląski twórca za swe niezmiennie efektowne i niezmiennie efektywne partytury podczas Międzynarodowej Trybuny Kompozytorów UNESCO za *Symfonię nr 1* – tę nagrodę przyznano w 1980; za II *Kwartet smyczkowy* z 1987, wyróżniony w 1988; za *Concerto festivo* na skrzypce i orkiestrę, ukończone w 1995 i wyróżnione w 1997. Na polu kameralistyki wybija się seria kwartetów smyczkowych – Lasoni to jeden z nielicznych polskich kompozytorów, którzy uprawiają ten gatunek stale i, dodajmy, ze znakomitym skutkiem.

Muzyka Lasonia nie stroni od brzmień masywnych, nasyconych poważnym wyrazem, który charakteryzuje w szczególności jego późniejsze dzieła symfoniczne: *Góry* (1979–1980), *Katedra* (1987–1989), *Symfonia nr 4* „Satja” (2007), ta ostatnia niosąca, może dość zaskakująco, pozytywne przesłanie wywiedzione z praktyki jogistycznej – zaskakująco bowiem w kilku innych utworach kompozytor nie waha się przywoływać wzorców chrześcijańskich. Wszak jedno drugiemu nie przeczy. W tych i innych partyturach ekspresja osiąga wrzenie nieczęsto spotykane w Nowej Muzyce bardziej eksperymentalnej natury, by ustąpić nasyconej lirycy wysokiej próby. To są utwory, które powinno się grać w normalnych programach filharmonicznych, gdzie konkurować mogą z dziełami niewątpliwie uznanymi – za klasyczne.

Carl Sachs: pierwszy badacz elektrycznych ryb

STEFAN GIERLOTKA

Niektóre gatunki ryb, należące do rodzin: drętwy, strętwy, mruki i sum elektryczny, wyewoluowały niezależnie narządy elektryczne. Wytwarzane napięcie elektryczne u tych ryb, służy do obezwładniania zdobyczy lub odstraszenia napastników. Największe węgorze elektryczne zdolne są do wytworzenia rażeniowego prądu elektrycznego o napięciu 600 V, sumy do 350 V, a drętwa brunatna do 200 V i natężeniu około 30 A. Pierwsze bardzo dokładne badania narządów generujących energię elektryczną przeprowadził w 1877 roku pochodzący ze Śląska Carl Sachs. Badania elektryczne i histologiczne węgorzy elektrycznych przeprowadził w Wenezueli.

Carl Sachs urodził się 14 września w 1853 roku w Nysie w rodzinie kupieckiej. Naukę rozpoczął w gimnazjum św. Marii Magdaleny we Wrocławiu, a ukończył Friedrich-Wilhelms-Gymnasium w Berlinie. W roku 1871 rozpoczął studia medyczne w Berlinie. Będąc na drugim roku studiów napisał



Carl Sachs

rozprawę naukową, dotyczącą budowy komórek mięśni poprzecznie prążkowanych. Kolejna wysoko oceniona konkursowa praca odniosła się do nerwów

czuciowych mięśni oraz ścięgien i tym samym zbliżyła go do profesora Emila du Bois-Reymonda, w którego laboratorium wykonywał wszystkie badania. Dalsze badania laboratoryjne posłużyły Sachsowi do dysertacji, na podstawie której, w 1875 roku uzyskał stopień doktora medycyny. Po ukończeniu studiów medycznych w Berlinie kontynuował pracę naukową z anatomii porównawczej u prof. Karla Gegenbaura w Heidelbergu.

Doceniając pracowitość i wiedzę, w dziedzinie histologii oraz fizjologii, profesor Boys-Reymond zaproponował Sachsowi przeprowadzenie doświadczeń i badań nad węgorzami elektrycznymi z rodziny strętów *Electrophorus electricus*. Zleczone badania były finansowane przez fundację Humboldta w Berlinie. Alexander von Humboldt (1769–1859) – niemiecki przyrodnik i podróżnik, swoje wstępne badania poznawcze nad zjawiskiem elektryzacji ryb z gatunku strętowszkałtnych rozpoczął 75 lat wcześniej w Wenezueli.

Zainteresowany propozycją Sachs

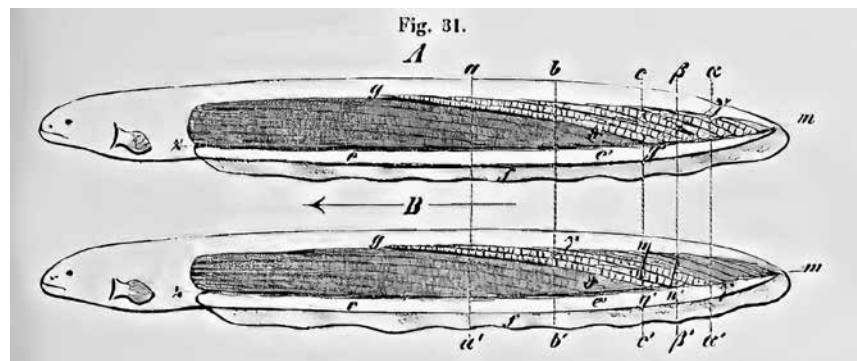
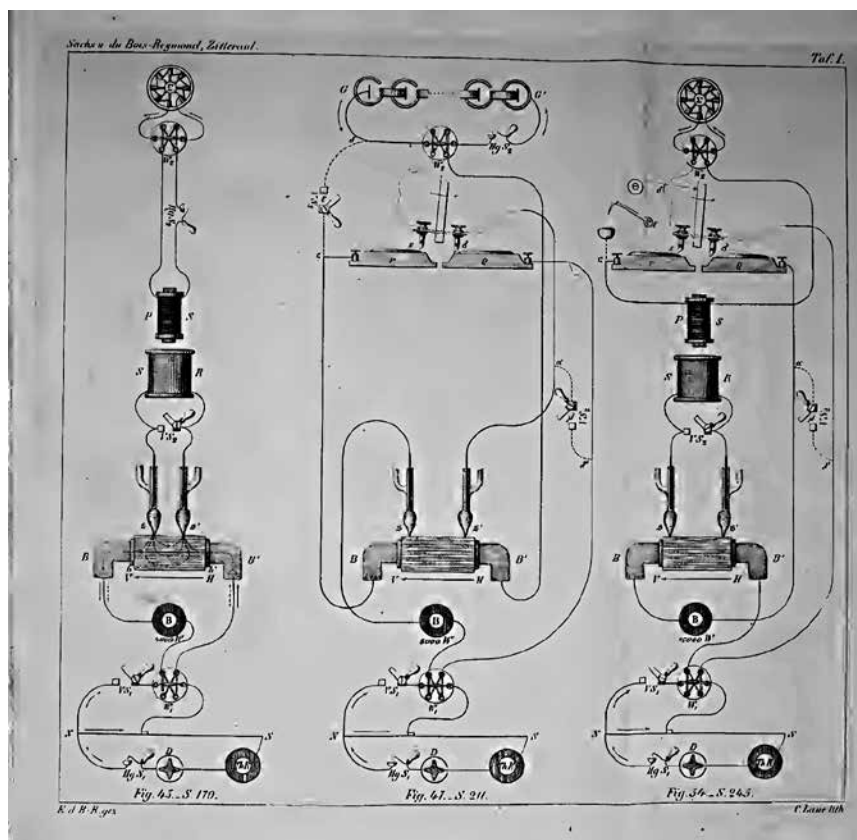
fot.arch.



rozpoczął naukę języka hiszpańskiego i przygotowania do badań w Ameryce Południowej. Nawiązał korespondencję z pochodzącym z Przemkowa na Dolnym Śląsku przyrodnikiem dr. Adolphem Ernstem (1832–1899), pracującym na uniwersytecie *Universidad Central de Venezuela* w Caracas. W podróż z Hamburga do Caracas przez Wyspę św. Tomasza wyruszył 27 września 1876 roku. W listopadzie dotarł do Wenzueli i udał się do Calabozo, gdzie swoje badania przeprowadzał wcześniej Alexander Humboldt. Poszukiwania węgorzy elektrycznych rozpoczął w Caño de Rastro, w wodach, gdzie było pełno kajmanów i piranii. Poszukiwania przez długi czas były bezowocne. Werbując miejscowych mieszkańców obeznanych z terenem i połowem, udało mu się odłowić pierwszych kilka węgorzy. Skutecznym środkiem, werbującym tubylców do pomocy przy badaniach, okazała się, w myśl zasady – *do ut des* – butelka mocnej wódki. Pierwszych odłowionych węgorzy tubylcy obawiali się dotykać. Sachs, natomiast, używał do tego celu kauczukowych rękawic. Odłowione trzy osobniki Sachs przetrzymywał w domu, z których dwa, po uprzednim uśmierceniu, wykorzystywał do badań histologicznych.

W początkach 1877 roku celu wyłowienia większej ilości węgorzy przemieścił się w dziki, zarośnięty i bagnisty obszar Uritucu w dorzeczu Orinoco. W poszukiwaniu strętów pomagali mu tubylcy. Sachs, z pobytu w tym bagnistym terenie, napisał w swym dzienniku, że „jedyną rozrywką było ulubione hawańskie cygaro i butla mocnego trunku”. Wspomina też, że całą energię rażenia węgorza elektrycznego poznał dopiero, gdy przy przekładaniu do bań osobnik o długości pięciu stóp wysliznął się z rąk i upadł Sachsovi na nogi rażąc boleśnie. Wcześniej, jak wspomina Sach, nie miał odwagi świadomie poddać się takiemu doświadczeniu. W rejonie Uritucu wykonał też wiele preparatów narządów i organów tych ryb. Kończąc badania w dorzeczu Orinoco zabrał w podróż 16 dużych węgorzy elektrycznych, z których 10 żywych dowiózł do Calabozo.

W Calabozo Sachs podjął się przywiezienia 10 żywych węgorzy elektrycznych do Niemiec. Wiosną 1877 roku wyruszył z San Fernando parowcem po rzece Apure w kierunku rzeki Orinoco, którą z kolei popłynął do Ciudad Bolivar. Stamtąd udał się do Port of Spain na Trynidadzie, skąd popłynął na Wyspę św. Tomasza. Wioząc w beczkach żywe węgorze elektryczne wyruszył w dalszą podróż angielskim parowcem z Wyspy św. Tomasza do Europy. W lipcu 1877 roku dopłynął z żywymi węgorzami do Bremy



Rysunki Carla Sachsa

w północnych Niemczech. Wiezione przez niego żywe węgorze elektryczne dobrze zniosły podróż parowcem, jednak nie przetrwały transportu koleją z Bremy do Berlina. Przywiózł jednak wystarczająco dużo notatek i preparatów, by móc napisać monografię o tym ciekawym zjawisku elektrycznym spotykanym w przyrodzie. Po powrocie z materiałami badawczymi prof. Boys-Reymond zaproponował mu stanowisko asystenta w berlińskim Instytucie Fizjologicznym.

Sachs rozpoczął pracę nad obszerną monografią poświęconą zjawisku elektryzacji u ryb z gatunku strętowkształtnych. Udało u się napisać jedną książkę *Aus den Llanos. Schilderungen einer naturwissenschaftlichen Reise nach Wenezuela*, którą wydano w 1879 roku.

Prace nad kolejną monografią przeważała śmierć badacza, który 18 sierpnia 1878 roku wraz z dwoma przyjaciółmi

wyruszył na alpinistyczną wspinaczkę wysokogórską na szczyt Monte Cevadale w Tyrolu. Cała grupa, powiązana liną, poruszała się po lodowcu Cevadale, wzdłuż szczeliny lodowej. Podczas pokonywania szczeliny lodowej, Sachs pośliznął się i stoczył po lodowej ścianie, pociągając za sobą pozostałych towarzyszy. Z wyprawy uratowała się tylko jedna osoba, która ze złamaną nogą utknęła w lodowej szczelinie.

Po śmierci Sachsa pozostawione materiały badawcze opracował prof. Emil du Bois-Reymond. Na podstawie zebranych materiałów i wykonanych preparatów, w 1881 roku wydał pracę liczącą 474 strony autorstwa Karla Sachsa *Untersuchungen am Zitteraal, Gymnotus electricus*.

Jego nazwiskiem nazwano wyspecjalizowany narząd elektryczny, tak zwany narząd Sachsa, odkryty u węgorzy elektrycznych (*Electrophorus electricus*).

NOTATNIK KULTURALNY

Redaguje:
Anna Gaitoer

W Siemianowicach Śląskich odsłonięto tablicę pamiątkową i mural z okazji 100. rocznicy wybuchu III powstania śląskiego

SIEMIANOWICE ŚLĄSKIE. W trakcie uroczystości zorganizowanej przez Fundację Polskiej Grupy Zbrojeniowej i firmę Rosomak S.A. odsłonięto tablicę pamiątkową i mural z okazji 100. rocznicy wybuchu III powstania śląskiego.

Mural o powierzchni 450 m² upamiętnia bohaterów Powstań Śląskich urodzonych lub zamieszkałych w Siemianowicach Śląskich, którzy poza Wojciechem Korfantym, pozostawali w cieniu historii. Wśród postaci na muralu znalazł się: płk. Jan Emil Stanek (dowódca, który wydał rozkaz o rozpoczęciu II powstania), Tadeusz Bawół (członek Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, uczestnik III powstania, znany na świecie tenor operowy), Walenty Fojkis (dowódca 1 Pułku Powstańczego im. J. Piłsudskiego podczas III powstania śląskiego) czy Zdzisław Tadeusz Stęślicki (kurier Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, który



for. UM Siemianowice



w III powstaniu, jako porucznik Wojska Polskiego, pełnił służbę przy Komendzie Głównej Powstańczej). Mural wykonał Wojciech Walczyk.

Projekt jest hołdem dla lokalnej społeczności, która bohatersko walczyła o wolność kraju i małej ojczyzny. Dzięki bohaterskim zrywom powstańców śląskich, ich determinacji i ofiarności, znacząca część Górnego Śląska została w 1922 roku włączona do odradzającej się II Rzeczypospolitej. Mural jest wspólną inicjatywą spółki Rosomak S.A. oraz Fundacji Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

W Radziechowach zainaugurowano obchody Roku Górali

RADZIECHOWY. W uroczystej inauguracji roku, która odbywała się w Domu Ludowym w Radziechowach, uczestniczył marszałek Jakub Chelstowski. Marszałek wręczył uczestnikom konferencji ciupagi, symbol związany z Rokiem Górali w Województwie Śląskim.

Rok 2021 uchwałą Sejmiku Województwa Śląskiego został ogłoszony Rokiem Górali w Województwie Śląskim. Stosowną uchwałę 14 grudnia 2020 roku przyjął jednogłośnie Sejmik Województwa Śląskiego. Wśród najważniejszych wydarzeń odbywających się w Roku Górali znajdują się wystawy związane z tradycjami góralskimi w regionie, koncerty, warsztaty i wydarzenia plenerowe, w tym Majówka na Magurce Wilkowickiej i Redyk na Buczu, czyli tradycyjne „mieszanie owiec”, któremu będą towarzyszyć występy artystyczne, pokazy, warsztaty oraz regionalna kuchnia.

Z wnioskiem o ustanowienie Roku Górali wystąpił Związek Górali Żywieckich i Śląskich Związku Podhalan w Polsce. Zarząd województwa śląskiego przyjął wówczas i przedłużył program Owca Plus do 2027 roku. Celem programu jest aktywizacja gospodarcza i turystyczna oraz wspieranie pasterstwa jako źródła góralskiej kultury. Województwo śląskie jest też jedynym regionem kraju, w którym można uzyskać kwalifikacje zawodowe w zawodzie juhas i baca.

Festiwal „Śląskie smaki”.

RACIBÓRZ. Tegoroczna edycja Festiwalu odbyła się 13 czerwca na Zamku Piastowskim w Raciborzu

Miłośnicy tradycyjnej kuchni województwa śląskiego, zaprezentowali swoje dania i produkty, stanęli do walki o Złotą, Srebrną lub Brązową Zopaskę w trzech kategoriach: potrawa regionalna, produkt lokalny, potrawa/produkt inspirowany tradycją.

Wyjątkowym elementem festiwalu była „Bitwa Smaków” – kulinarne zmagania, których efekty konsumowała publiczność zgromadzona na zamkowym dziedzińcu. Serwowano regionalne dania i produkty oferowane przez restauracje Szlaku Kulinarного „Śląskie Smaki” oraz producentów lokalnych.

Festiwal „Śląskie Smaki” promuje kuchnię regionalną i tradycje kulinarne, pokazując, że kuchnia ta jest zdrowa, urozmaicona i smaczna. Propaguje też gotowanie z produktów nieprzetworzonych. W ramach Festiwalu wystąpili m.in.: zespół Singers, Krzysztof Respondek, Remigiusz Rączka, Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”.

Szlak Przyrody Województwa Śląskiego

KATOWICE. Na szlaku znalazły się miejsca o wyjątkowych walorach przyrodniczych m.in.: rezerваты przyrody, zespoły przyrodniczo-krajobrazowe, ogrody bota-

niczne. Obecnie szlak liczy ponad 50 obiektów zlokalizowanych zarówno na obszarach naturalnych, jak i przekształconych przez człowieka.

Szlak Przyrody Województwa Śląskiego to propozycja przygotowana przez Śląską Organizację Turystyczną we współpracy z Centrum Dziedzictwa Przyrody Górnego Śląska, będąca zestawieniem miejsc atrakcyjnych przyrodniczo.

Głównym celem powstania Szlaku Przyrody jest zainteresowanie mieszkańców i turystów zwiedzaniem i poznawaniem przyrody województwa śląskiego, jednak w sposób świadomy i przyjazny dla środowiska przyrodniczego.

Śląska Organizacja Turystyczna opracowała konkretne trasy zwiedzania w oparciu o miejsca znajdujące się na Szlaku Przyrody. W zestawieniu z innymi, pobliskimi atrakcjami oraz trasami rowerowymi tworzą one gotową propozycję spędzenia wolnego czasu, a tego oczekują turyści odwiedzający region. Wypoczynek na świeżym powietrzu, piesze i rowerowe wycieczki, niedaleko miejsca zamieszkania, stanowić będą najczęściej wybraną formę relaksu i wypoczynku.

Większość miejsc na Szlaku Przyrody Województwa Śląskiego dostępnych jest przez cały rok, ale dla poszczególnych obiektów zaproponowano optymalny termin zwiedzania.

Do szlaku włączonych zostało ponad 50 obiektów, które wytypowane zostały w oparciu o wyjątkowe walory przyrodnicze, takie jak: flora, fauna, siedliska przyrodnicze czy walory przyrody nieożywionej. Kluczową rolę w zaproponowanej formie turystyki odgrywa kwestia ochrony przyrody.

Informacje na temat Szlaku Przyrody oraz innych atrakcyjnych przyrodniczo miejsc w regionie wraz z propozycjami wycieczek, dostępne są na stronie: przyroda.slaskie.travel

Województwo Śląskie zacieśnia współpracę z Krajem Morawsko-Śląskim

KATOWICE. Oba regiony – przez lata mocno utożsamiane z przemysłem ciężkim – będą wzajemnie się wspierały w procesie transformacji. W Sali Marmurowej Gmachu Sejmu Śląskiego podpisano umowę, wedle której obydwie strony będą realizowały wspólne projekty i wymieniały się doświadczeniami.

Komisja Europejska promuje dobre projekty transgraniczne, a bliskość i sąsiedztwo z Krajem Morawsko-Śląskim sprawia, że można przynajmniej część z nich realizować wspólnie, wymieniać się przy tym doświadczeniami. Aktywizacja terenów poprzemysłowych, ich zagospodarowanie są dla obu stron priorytetem.

Umowa bazuje na dotychczasowym porozumieniu o współpracy podpisanym w Ostrawie 21 listopada 2001 roku. Obecnie oba regiony są włączone do platformy europejskiej CRIT (Coal Regions in Transition). Dlatego współpraca w nowym wymiarze będzie dotyczyła przede wszystkim gospodarki w obszarze jej innowacji, rozwoju biznesu, restrukturyzacji przemysłu ciężkiego, nowej energetyki, ochrony środowiska, w szczególności w kontekście poprawy jakości powietrza i rekultywacji terenów pogórnich. Wspólne projekty będą realizowane również w takich dziedzinach jak transport i komunikacja, administracja samorządowa, kultura, nauka, oświata, edukacja, turystyka, sport i rekreacja, zatrudnienie i sprawy społeczne i wzajemna promocja regionów. Regiony będą także nawzajem się promować. Kolejnym etapem ma być włączenie do współpracy instytucji z otoczenia biznesu, w szczególności agencji rozwoju. Po stronie czeskiej będą to: Morawsko-Śląskie Centrum

Innowacji, Morawsko-Śląskie Inwestycje i Rozwój, Morawsko-Śląskie Centrum Energetyczne i MSPakt. Nasze województwo będą reprezentować: Śląski Fundusz Rozwoju, Fundusz Górnośląski, Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna, Główny Instytut Górnictwa.

W Muzeum Śląskim odbyła się debata poświęcona wykorzystaniu Funduszu Sprawiedliwej Transformacji. Wzięli w niej udział, marszałek Jakub Chelstowski i wicemarszałek Wojciech Kałuża. Stronę czeską reprezentowali: hejtmán Ivo Vondrak oraz Zdeněk Karásek, radny Kraju Morawsko-Śląskiego.

Podczas debaty zaakcentowano, że Śląskie pod kątem transformacji mocno będzie wspierać małe i średnie przedsiębiorstwa, edukację, ekologię oraz Parki Technologiczne. Odejście od węgla nie będzie jednak procesem łatwym. W sektorze, włącznie z branżą okologiczną, zatrudnionych jest ponad 200 tys. osób.

Spotkania zakończyło wspólne zwiedzanie Muzeum Śląskiego, Parku Śląskiego i Stadionu Śląskiego. Podpisanie umowy o współpracy towarzyszył występ Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”.

Przyznano stypendia w dziedzinie kultury

KATOWICE. Marszałek Województwa Śląskiego przyznał stypendia w dziedzinie kultury. Otrzymują je osoby zajmujące się twórczością artystyczną, upowszechnianiem i ochroną dóbr kultury. Wysokość jednego stypendium wynosi 10 tys. zł brutto, będzie ono wypłacane w pięciu miesięcznych ratach. Stypendia ustanowione zostały w 2002 roku. Do tej pory marszałek uhonorował już ok. 450 stypendystów.

„Miejsce Pamięci i Pojednania Zgoda”

KATOWICE. SIEMIANOWICE. Zarząd Województwa Śląskiego podjął uchwałę dotyczącą podpisania listy intencyjnego pomiędzy Gminą Świętochłowice a Województwem Śląskim w sprawie współdziałania na rzecz utworzenia i prowadzenia instytucji kultury pod nazwą „Miejsce Pamięci i Pojednania Zgoda” jako wspólnej instytucji kultury.

Personalne zmiany.

KATOWICE. BIELSKO BIAŁA. Zarząd Województwa Śląskiego podjął uchwałę o powierzeniu Panu Markowi Matlakowi pełnienia obowiązków dyrektora Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej od dnia 1 czerwca 2021 r. do czasu powołania dyrektora Muzeum jednak na okres nie dłuższy niż rok

„Rodzinny Dom – bezpieczna przystań”

KATOWICE. W Uchwale Sejmiku Województwa Śląskiego z dnia 24 maja 2021 r. przyjęto Oświadczenie „Rodzinny Dom – bezpieczna przystań”. W przyjętym tekście Oświadczenia zawarto m.in. następujące stwierdzenia:

„W życiu społecznym przyświeca nam wiele wartości. (...) Taką wartością jest niewątpliwie Rodzinny Dom, zwłaszcza taki, w którym wita nas uśmiech kochającego współmałżonka i entuzjazm roześmianych dzieci. W takim domu czujemy się najlepiej. Tu też nabieramy sił do walki z przeciwnościami losu. Rodzinny Dom pełen radości i wesela dodaje nam odwagi w trudnych chwilach, hartuje i wzmacnia naszą wolę, wyzwala wiele duchowych sił, dzięki którym jesteśmy w stanie sprostać

stawianym przez życie wyzwaniom. (...) Wszechobecny strach i lęk przed koronawirusem pokazał jak ważna jest bliskość i wsparcie kochających nas Rodzin. Chcemy więc docenić każdy Rodzinny Dom z tak wielkim trudem budowany, a jeszcze bardziej wspólnotę, która w nim zamieszkuje. Pielęgnowany i wsparty tradycjami Dom jest wartością samą w sobie, którą należy promować, chronić i otaczać szacunkiem. W duchu troski o Rodzinny Dom i jego bezpieczeństwo w dzisiejszym niełatwym świecie, My Radni Sejmiku Województwa Śląskiego, deklarujemy wsparcie i pomoc dla każdej Rodziny, która swój los i historię związała z naszym regionem. Będziemy podejmować różne działania mające na celu dobro powierzonych nam wspólnot rodzinnych. Dlatego chcemy wsłuchiwać się w głos każdej rodziny, dostrzegać problemy z jakimi się boryka i w miarę możliwości realizować jej potrzeby. Rodzina to priorytet naszych działań i przedsięwzięć. Chcemy więc ją skutecznie wspierać, dbać o jej rozwój poprzez wychowanie i kształtowanie młodego pokolenia oraz bronić jej godności. Do współpracy i zaangażowania na rzecz Rodziny zapraszamy władze wojewódzkie, samorządy powiatowe i gminne, instytucje państwowe, organizacje pozarządowe, organizacje pożytku publicznego, wspólnoty i organizacje religijne, stowarzyszenia i fundacje, które na co dzień pomagają rodzinom. Ufamy, że szeroki front pomocy płynący z tych źródeł wesprze nasze Rodziny niosąc im wszechstronną pomoc duchową i materialną, powszechnym poparciem i szacunkiem ze strony naszych obywateli. (...) Nie ustawajmy więc w wysiłkach na rzecz promowania Rodziny i zapewnienia jej właściwego statusu społecznego. Niech nadal chroni ją Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej i troska obywateli. Pamiętajmy, że stając po stronie Rodziny przyjmujemy na siebie odpowiedzialność za jej szczęśliwe dziś i jutro”.

Centrum Sztuki Archidiecezji Katowickiej. Galeria Sztuki „W Drukarni”. Muzeum Archidiecezjalne.

KATOWICE. Niedawno otwarta Galeria „W drukarni” wraz z Muzeum Archidiecezji Katowickiej tworzą nową przestrzeń sztuki, jaką dotychczas trudno było znaleźć na mapie Katowic. Galeria „W drukarni” mieści się w pomieszczeniach swego rodzaju poindustrialnych. Jeszcze kilka lat temu z impetem pracowały tu maszyny drukarskie. To tu „do życia” budziły się kolejne publikacje Księgarni św. Jacka. Tym razem ma służyć ukazaniu piękna i wrażliwości ludzkiej duszy wyrażonej nie tylko pędzlem. Galeria „W drukarni” prezentuje dzieła artystów: malarzy, rzeźbiarzy i twórców szeroko pojętego art. To tu dochodzi do swoistego spotkania sacrum i profanum, sztuki religijnej i kościelnej – podwalin europejskiej art – z tą pozareligijną, tworzoną przez wieki, aż po współczesną. Punktem wyjścia do osobistej refleksji może stać się przestrzeń Muzeum Archidiecezjalnego, gdzie koneser sztuki znajdzie nie tylko takie dzieła jak: „Przekazanie kluczy św. Piotrowi” (szkic Rafaela Santi) czy „Pieta z Ruptawy”, ale również współczesną, często niedocenianą sztukę sakralną. Prezentowane zbiory w dużej mierze opierają się na dziełach sztuki zgromadzonych w galerii założonej w 1985 roku przez Bożenę i Jana Kukuczków w Istebnej. Pomysł stworzenia katowickiej przestrzeni wystawienniczej zrodził się w 2019 roku. W galerii znajdują się dzieła malarskie oraz rzeźby najbardziej znanych artystów krajowych i zagranicznych. Galeria „W drukarni” przede wszystkim ma być jednak przestrzenią do od-poczynku i zachwytu nad ludzkim talentem; miejscem, by przy kawie, w gronie rodziny czy przyjaciół, omówić „artystyczne zachwyty”. Jest miejscem spotkań, konferencji



i wydarzeń, nie tylko związanych z szeroką pojętą sztuką. Zbiory galerii „W drukarni” to ponad siedemset obrazów artystów. Wśród wielu autorów katowickiej galerii warto wskazać na kilka nazwisk: Obrazy Stanisława Chomiczewskiego wielokrotnie były prezentowane na wystawach ogólnopolskich i międzynarodowych. W 2004 roku jego praca została wybrana spośród 30 tysięcy obrazów artystów z całej Europy i nagrodzona podczas polskiej edycji międzynarodowej wystawy „Europe in Art”. Artysta uczestniczył w wielu plenerach malarskich, między innymi w: Indiach, Meksyku, Korsyce, Macedonii, Ukrainie, Grecji, Szwecji, Słowacji oraz Polsce. Bogumił Burzyński jest autorem wielu pomników (m.in.: bł. ks. Adolpha Kolpinga w Niemczech; Z. Cybulskiego, K. Stryi, S. Ligonii, A. Śląskiej, S. Hadyń, A. Urbanowicza – zgromadzonych w „Galerii Artystów Katowic”), rzeźb („Świetlika – ducha opiekuńczego miasta Bytom”, rzeźb w śląskich kościołach – m.in. monumentalnej kompozycji 108 błogosławionych z rzeźbami portretowymi postaci bł. ks. E. Szramka i bł. ks. J. Czempieła w katowickiej Katedrze Archidiecezjalnej) oraz nowego projektu mogiły i pomnika „Harcerzom i powstańcom śląskim – obrońcom Katowic 1939”. Stanisław Mazuś prace tego artysty znajdują się w zbiorach państwowych i prywatnych w kraju i za granicą (m.in. w Galerii Uffizi we Florencji). Krzysztof Rapsa wystawiał w prestiżowej Galerii Jang Sun w Seulu, miała miejsce jego indywidualna wystawa, gdzie okrzyknięto go „poetą koloru”. Zygmunt Brachmański znany jako rzeźbiarz i medalier. W jego dorobku znajduje się około tysiąca prac rzeźbiarskich małych i dużych form oraz medali i statuetek. Do najbardziej znanych pomników należą: Wojciech Korfanty, Pomnik Harcerzy Września 1939 (I nagroda w konkursie rzeźbiarskim), Pomnik Walki i Męczeństwa w Radlinie, Orły Śląskie w Katowicach, pomniki Jana Pawła II (m.in. w Rybniku i Piekarach Śląskich). Ernest Zawada – stała ekspozycja jego prac prezentowana jest w Galerii Zapieček w Warszawie. Jego malarstwo reprodukowano w albumie wydanym przez Galerię Pre-

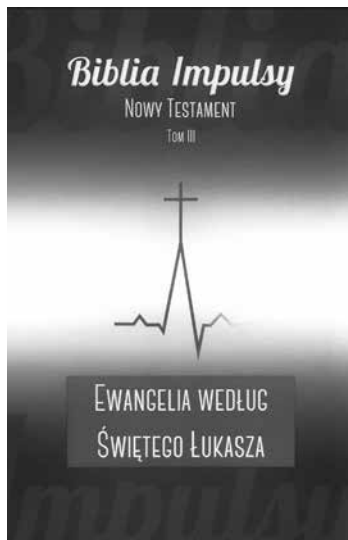
zydencką w Warszawie, obok prac znamienitych malarzy, takich jak Jerzy Nowosielski, Stefan Gierowski i Jan Tarasin. Prezentował instalacje podczas kolejnych edycji Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Ulicy w Warszawie. Wacław Jagielski jest konserwatorem dzieł sztuki i malarzem. Przez kilka lat pracował jako nauczyciel plastyki w liceum i szkołach podstawowych. Jest założycielem Stowarzyszenia Pastelistów Polskich, autorem kilkudziesięciu wystaw indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą. Jan Żyrek – w swoich dziełach nawiązuje do XIX-wiecznego romantyzmu oraz polskich kolorystów. Prace artysty znajdują się głównie w prywatnych kolekcjach w kraju i za granicą, m.in. w Niemczech, Austrii, Szwajcarii, Włoszech, Norwegii, Kanadzie i USA; również w muzeach, galeriach sztuki i domach aukcyjnych. Jan Wałach zajmował się m.in. rzeźbą sakralną – wykonał krucyfiksy z narteksu Archikatedry Chrystusa Króla w Katowicach i kościoła garnizonowego w Radomiu. Ludwik Konarzewski (junior) za pracę artystyczną i pedagogiczną był wyróżniany, m. in. Sztalugą im. Juliana Fałata, która jest nagrodą przyznawaną przez Beskidzkie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Uczestniczył w zbiorowych oraz indywidualnych wystawach krajowych i zagranicznych.

Wystawa historycznych i współczesnych pistoletów i karabinów ze zbiorów Stowarzyszenia Kolekcjonerów Broni Palnej „SPARROW” w Kaniowie

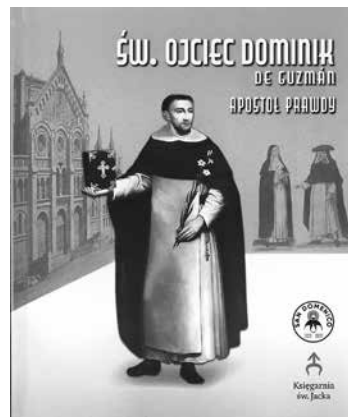
GOCZAŁKOWICE-ZDRÓJ. Z inicjatywy Muzeum Regionalnego w Goczałkowicach-Zdroju – 13 czerwca na terenie Parku Zdrojowego zorganizowano plenerową wystawę historycznych i współczesnych pistoletów i karabinów ze zbiorów Stowarzyszenia Kolekcjonerów Broni Palnej „SPARROW” w Kaniowie (Śląsk Cieszyński). Ekspozycja obejmowała 43 okazy polskiej, niemieckiej, rosyjskiej i amerykańskiej broni strzeleckiej z lat 1921-2020. Największe zainteresowanie spacerowiczów i turystów wzbudzał niemiecki szybkostrzelny karabin maszynowy MG 42, nazywany „piłą Hitlera” z powodu charakterystycznego odgłosu wydawanego podczas strzelania serią, zlewającego się w jeden dźwięk przypominający jazgot piły tarczowej.

Niezwykła kolekcja rzadko spotykanych militariów została zgromadzona przez zapaleńców z kaniowskiej rodziny, pielęgnującej wojskowe tradycje seniora rodu. Angielskojęzyczna nazwa założonego przez nich w 2018 roku stowarzyszenia nawiązuje do nazwiska Józefa Wróbla (1907-1999), rodowitego kaniowianina, uczestnika wojny obronnej we wrześniu 1939 („sparrow” to po angielsku „wróbel”). Potomkowie patrona hobbystycznej organizacji nie są zawodowymi żołnierzami, lecz pasjonatami strzelectwa. Plenerowa wystawa broni w popularnym uzdrowisku okazała się prawdziwą gratką dla miłośników historii i dawnego oręża. (luz)

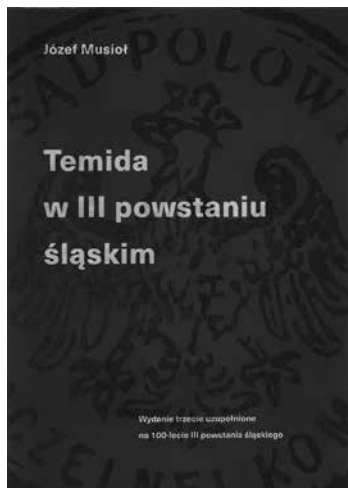




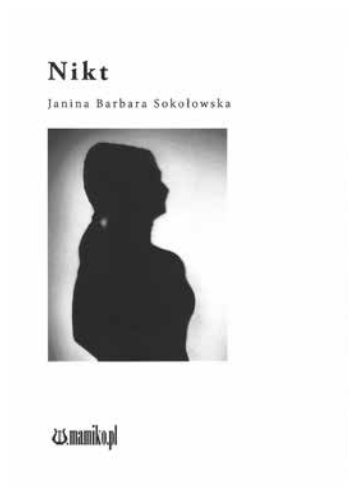
Biblia Impulsy. Nowy testament tom III. Ewangelia według świętego Łukasza. Wydawca: Księgarnia św. Jacka, Katowice 2021.



Piotr Stefaniak, Apostoł prawdy. Święty Ojciec Dominik de Guzman (1170–1221). Wydawca: Księgarnia św. Jacka, Katowice 2021.



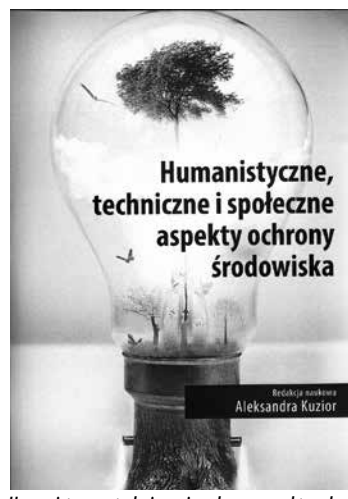
Józef Musioł, Temida w III powstaniu śląskim. Wydawca: Muzeum Śląskie, Katowice 2021



Janina Barbara Sokołowska, Nikt. Wydawca: Mamiko, Apolonia Maliszewska, Nowa Ruda 2021.



Rafał Ryszka, Tajemnica Cecylii Broll. Wydawca: Stowarzyszenie Rozwoju Zawodowego Śląska i Małopolski, Łęczyń 2021.



Humanistyczne, techniczne i społeczne aspekty ochrony środowiska. Redakcja naukowa: Aleksandra Kuzior. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.



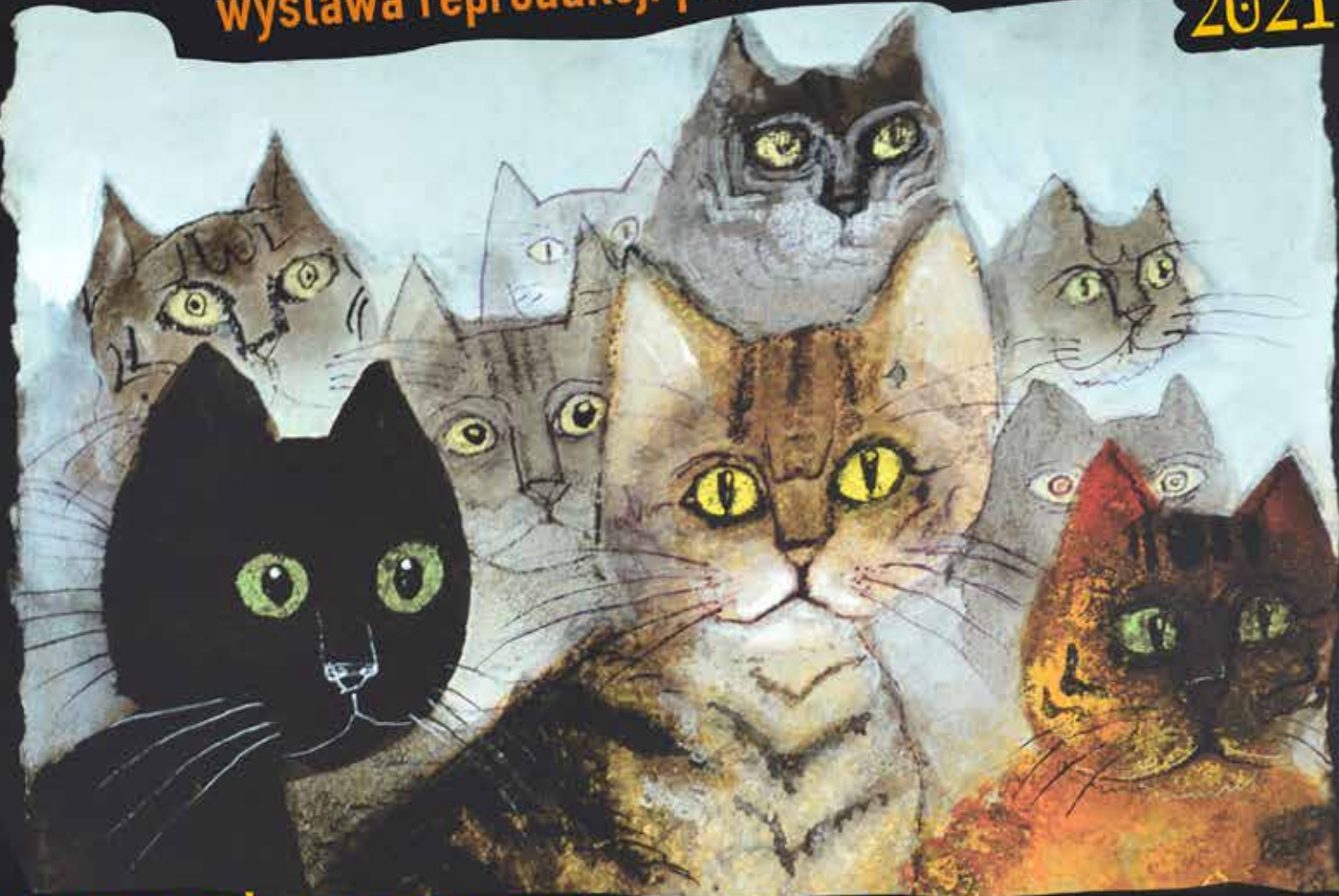
Premierowe wystawienie „La Rondine” na scenie Opery Śląskiej.

AKCJA - ILUSTRACJA

CZYLI KREATYWNE LATO Z BIBLIOTEKĄ

JÓZEF WILKOŃ
ilustracje naszego dzieciństwa
wystawa reprodukcji prac

**5 LIPCA -
31 SIERPANIA
2021**



WERNISAŻ: 5 LIPCA 2021, godz. 12:30

Galeria „Pod świetlikiem” Zagłębiowskiej Mediateki, ul. Kościelna 11

www.biblioteka.sosnowiec.pl

[mbpsosnowiec](https://www.facebook.com/mbpsosnowiec)

[mbp_sosnowiec](https://twitter.com/mbp_sosnowiec)

[mbp_sosnowiec](https://www.instagram.com/mbp_sosnowiec)

ORGANIZATOR



PATRONAT HONOROWY

Prezydent
Miasta Sosnowca
Arkadiusz Chęciński



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu

Dofinansowane ze środków
Ministerstwa Kultury,
Dziedzictwa Narodowego
i Sportu pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

PARTNERZY



PATRONI MEDIALNI



SPONSORZY

